

Sabahattin *Ali*

MADONNA
w futrze



REBIS

Sabahattin *Ali*

MADONNA
w futrze

Przełożył PIOTR BEZA



DOM WYDAWNICZY REBIS

Przedmowa do wydania tureckiego

Sabahattin Ali należy do grona tych czołowych autorów nowoczesnej literatury tureckiej, których nie da się jednoznacznie zaszukadkować. Istnieje wiele powodów, dla których warto dziś na nowo odkryć tego pisarza – jego pełne przeciwności życie i tragiczną śmierć, której zagadkowych okoliczności nie wyjaśniono do dziś – i jego twórczość, odczytując ją dziś przez soczewkę literatury współczesnej, wraz z wieloma jej aspektami. Równowaga między artystyzmem a zaangażowaniem w sprawy kraju, innym razem zaś zwrot ku wewnętrznemu światu jednostki, niepozbawiony skargi, melancholii i pesymizmu. Dotychczas dominowała tendencja, by pisać o Sabahattinie Alim jako o przedstawicielu jednego z dwóch, przeciwstawnych sobie, nurtów tureckiej nowelistyki. Klasyfikowano go więc jako „socjalistę”, przeciwstawiając Saitowi Faikowi Abasıyanıkwowi – „indywidualiście”. Tymczasem obaj ci twórcy, bez wątpienia wielkie literackie osobowości, wykraczają poza ramy tak płytkiego spojrzenia. W ich twórczości odnajdujemy wiele przykładów świadczących o tym, że jest już ono nieaktualne i pozbawione sensu.

Inni autorzy opowiadań, tworzący od lat pięćdziesiątych XX wieku po dziś dzień, również rozpatrywani są przez pryzmat tych dwóch prądów, reprezentowanych przez Sabahattina Alego i Saita Faika. Jest to najpewniej rezultat tego samego płytkiego spojrzenia, które niejako spycha literaturę na drugi plan i sprowadza ją do poziomu dziedziny podrzędnej, będącej na usługach innych dyscyplin pozaliterackich. Nie może być więc

wykorzystane do analizy twórczości żadnego prawdziwego pisarza.

Wielka szkoda, że utworzona na początku lat osiemdziesiątych przez rodzinę Sabahattina Alego – znanego bardziej ze swoich opowiadań niż powieści – kapituła nagrody jego imienia nie funkcjonowała zbyt długo. Jako członkini jury miałam okazję oceniać prace uczestników. Gdyby ta nagroda zdołała wówczas zmobilizować nie tylko twórców opowiadań, ale również badaczy i krytyków, to być może dziś dysponowalibyśmy wieloma wartościowymi opracowaniami rzucającymi nowe światło na tego wielkiego pisarza. Niestety, szanse te przekreśliło zubożenie wobec spraw kultury i sztuki, narastające stopniowo od tamtych czasów. Jeśli wznowienie dzieł Sabahattina Alego umożliwi nowemu pokoleniu czytelników odkrycie tego autora na nowo, będzie to bez wątpienia z wielkim pożytkiem dla życia literackiego Turcji.

Kürk Mantolu Madonna (1943, „Madonna w futrze”), *Kuyucaklı Yusuf* (1937, „Yusuf z Kuyucak”) i *İçimizdeki Şeytan* (1940, „Szatan, który jest w nas”) to jedyne powieści Sabahattina Alego. Przy czym należałoby może, w ślad za nim samym, określić *Madonnę w futrze* raczej mianem dłuższej noweli. Z punktu widzenia kompozycji i struktury dzieło to jest jednak odmienne od jego opowiadań. Stanowi ono najlepszy dowód na to, że patrzenie na tego pisarza, bez zagłębiania się w szczegóły, jedynie jako na „socjalistę” jest nieuzasadnione. Oczywiście, jeśli wziąć pod uwagę jego osobiste, naznaczone biedą życie, jego światopogląd, okaże się, że jest z całą pewnością również nim, i na to bowiem odnajdziemy potwierdzenie w jego dziełach. Opatrzanie etykietą jednego tylko nurtu – którego granice siłą rzeczy są ściśle określone – i epoki, która ukształtowała danego pisarza, zawsze będzie wobec niego krzywdzące i niesprawiedliwe.

Powieść, osadzona w latach przed drugą wojną światową, opowiada historię namiętnej i chorobliwej miłości. Przez swoją atmosferę i oddziaływanie na czytelnika z łatwością kojarzy się z dziewiętnastowieczną literaturą rosyjską, szczególnie z Dostojewskim i Gogolem. Duży wpływ na powstanie tego utworu miało dwuletnie

stypendium autora w Berlinie (1928–1930). Pierwsza część jest niejako samodzielnym rozdziałem. Poznajemy w nim historię narratora – szeregowego urzędnika, który właśnie zaczyna nową pracę. Stanowi to pretekst do ukazania pospolitego i ograniczonego świata urzędniczej egzystencji. Lecz na pierwszy plan wysuwa się tu historia przyjaźni z innym „małym człowiekiem” – Raifem Efendim, który na pierwszy rzut oka wydaje się kimś zupełnie nieinteresującym. Już w pierwszych zdaniach możemy dostrzec, że jest to bohater, jakiego nieczęsto spotyka się na kartach tureckiej literatury. Poznajemy go w następujący sposób:

Spośród wszystkich ludzi, których dotychczas spotkałem, chyba jeden człowiek wywarł na mnie największe wrażenie. Nie potrafiłem się od niego uwolnić nawet po upływie wielu miesięcy. Ilekroć jestem sam, przed oczyma staje mi poczciwa twarz Raifa Efendiego, o trochę nieobecny spojrzeń, skłonnego mimo to obdarzyć uśmiechem każdą napotkaną osobę. Nie był to jednak ktoś wyjątkowy. Należał do tych zupełnie zwyczajnych, pozbawionych jakichkolwiek wyjątkowych właściwości ludzi, których setki widzimy i mijamy każdego dnia, nie zwracając na nich większej uwagi. Nie ulegało wątpliwości, że żaden z aspektów jego życia, znany nam bądź nie, nie zawierał w sobie nic, co mogłoby wzbudzić zainteresowanie. Na widok takich osobników często zadajemy sobie pytania: „Po co oni w ogóle żyją? Co mają z życia? Jaka siła nakazuje im chodzić po świecie? Jaki jest sens tego, że oddychają?”.

Można odnieść zresztą wrażenie, że narrator pierwszej części powieści też należy do tego rodzaju ludzi.

Część druga, stanowiąca główny trzon powieści, opowiada historię miłości głównego bohatera, jakby wyjętą z rosyjskiej prozy. Poznajemy ją

wraz z narratorem z osobistych zapisków Raifa Efendiego, gdy ten znajduje się już na łożu śmierci, złożony jedną z tych chorób, tak bardzo lubianych przez literaturę rosyjską. Datowane na 20 czerwca 1933 roku notatki cofają nas o dziesięć lat, do okresu jego pobytu w Berlinie, kiedy to w jednej z galerii zobaczył portret kobiety w futrze, który znacząco wpłynął na jego dalsze życie. Zeszyt jest dokładną relacją z tego, co przeżył z tajemniczą autorką – i zarazem pierwowzorem – tego obrazu.

Wydaje się, że nie będzie nadużyciem stwierdzenie, że sam autor, ręką Raifa Efendiego, zdradza nam źródło, z którego czerpał inspirację:

Największy wpływ mieli na mnie pisarze rosyjscy. Obszerne nowele Turgeniewa pochłaniałem niemal jednym tchem. Szczególnie jedna z nich poruszyła mnie tak bardzo, że przez wiele dni nie mogłem się uwolnić spod jej wpływu. Jej bohaterka Klara Milicz zakochuje się w prostodusznym studencie. Wstydząc się namiętności do takiego głupca, nie zdradza się z nią przed nikim. Ostatecznie pada jej ofiarą i popełnia samobójstwo. Ta dziewczyna bardzo mi przypominała mnie: doskonale rozumiałem, co to znaczy nie móc wyrazić tego, co dzieje się w sercu, i ukrywać przed światem, z niepojętą zazdrością, najbardziej wyraziste, szczere i piękne strony swego charakteru.

Zeszyt Raifa Efendiego, napisany dalekim od ozdobników, prostym, ale zarazem poetyckim językiem, doskonale oddającym klimat tej opowieści, można uznać za niewielką, acz wyszukaną perełkę tureckiej prozy. Wydana po raz pierwszy w 1943 roku powieść powraca dziś do czytelnika w swojej oryginalnej postaci. Chciałabym przy tej okazji pogratulować Wydawnictwu, które oparło się pokusie uproszczenia narracji i oczyszczenia tekstu z archaizmów, zwłaszcza że takie literackie barbarzyństwo często popełnia się dziś w imię rzekomego szacunku dla

literatury, autora i czytelnika^[1]. Możliwość lektury oryginalnego tekstu będzie bez wątpienia dla młodego odbiorcy tyleż przyjemnym, ile cennym doświadczeniem, ukazującym bogactwo literatury okresu Republiki w całej jej językowej różnorodności – od Halita Ziyi Uşaklıgıla, przez Sabahattina Alego, aż po czasy obecne.

Füsün Akatlı

luty 2002

^[1] Zjawisko to wiąże się ze specyfiką języka tureckiego. Wraz ze zmianą alfabetu w 1928 roku zapoczątkowano szeroko zakrojoną akcję oczyszczania języka literackiego z obcych słów. Było to zadanie o tyle karkołomne, że używany przez inteligencję język osmański składał się w większości ze słów arabskich i perskich (z domieszką tureckich) i był siłą rzeczy niezrozumiały dla prostego ludu, który porozumiewał się pogardzanym przez elity językiem tureckim. Wraz z rozpoczęciem reformy to w języku ludu szukano właśnie rodzimych odpowiedników obcych słów. Proces ten trwał oczywiście wiele lat. Powieść Sabahattina Alego pochodzi ze stosunkowo wczesnego okresu tej rewolucji, stąd spora liczba słów arabskich i perskich, ale zarazem i na tyle późnego, że turecki wydawca mógł sobie pozwolić na wydanie oryginalnego tekstu, opatrując go zaledwie kilkoma przypisami (powieść z początku XX wieku, nie mówiąc o jeszcze wcześniejszych, dla dzisiejszego Turka byłaby w większości po prostu niezrozumiała). Nie zmienia to faktu, że powieść pod względem językowym i stylistycznym stanowi spore wyzwanie dla młodego czytelnika (a mimo to cieszy się popularnością, co o czymś świadczy). Oddanie tej jej specyfiki w języku polskim było, rzecz jasna, niemożliwe (wszystkie przypisy tłumacza).

Madonna w futrze

Spośród wszystkich ludzi, których dotychczas spotkałem, chyba jeden człowiek wywarł na mnie największe wrażenie. Nie potrafiłem się od niego uwolnić nawet po upływie wielu miesięcy. Ilekroć jestem sam, przed oczyma staje mi pocziwa twarz Raifa Efendiego, o trochę nieobecny spojrzeniu, skłonnego mimo to obdarzyć uśmiechem każdą napotkaną osobę. Nie był to jednak ktoś wyjątkowy. Należał do tych zupełnie zwyczajnych, pozbawionych jakichkolwiek wyjątkowych właściwości ludzi, których setki widzimy i mijamy każdego dnia, nie zwracając na nich większej uwagi. Nie ulegało wątpliwości, że żaden z aspektów jego życia, znany nam bądź nie, nie zawierał w sobie nic, co mogłoby wzbudzić zainteresowanie. Na widok takich osobników często zadajemy sobie pytania: „Po co oni w ogóle żyją? Co mają z życia? Jaka siła nakazuje im chodzić po świecie? Jaki jest sens tego, że oddychają?”. Lecz rozumując w ten sposób, dostrzegamy jedynie ich zewnętrzną powłokę. Nawet nam przez myśl nie przejdzie, że skoro oni też mają po jednej głowie, a w niej po jednym mózgu, mimowolnie skazanym na pracę, to jej owocem musi być jakiś skrojony na ich własną miarę świat wewnętrzny. Jeśli zamiast uznawać tych bliźnich za pozbawionych życia duchowego – tylko dlatego, że nie uzewnętrzniają jego przejawów – wiedzeni zwykłą ludzką ciekawością zainteresujemy się tym nieznanym światem, być może ujrzemy rzeczy zupełnie nieoczekiwane, napotkamy bogactwo, którego istnienia nigdy byśmy nie podejrzewali. Z jakiegoś względu ludzie wolą

jednak doszukiwać się raczej tego, czego istnienie założyli już wcześniej. Niewątpliwie bowiem łatwiej jest znaleźć bohatera, który świadomie wkroczy do jamy zamieszkaanej przez smoka, niż człowieka, który odważy się zstąpić na jej dno, nie wiedząc, co tam na niego czyha. Tak więc to, że poznałem bliżej Raifa Efendiego, było jedynie dziełem przypadku.

Po tym jak zwolniono mnie z posady szeregowego urzędnika bankowego – nie udało mi się dociec prawdziwych powodów, dla których straciłem pracę; powiedziano mi, że to w ramach oszczędności, ale już po tygodniu na moje miejsce przyjęto kogoś innego – dość długo nie mogłem znaleźć innego zatrudnienia w Ankarze. Te parę groszy, które miałem, pozwoliło mi w miarę znośnie przetrwać lato, zbliżająca się zima miała jednak położyć kres waletowaniu u przyjaciół. Nie stać mnie już było nawet na przedłużenie kończącego się za tydzień karnetu na obiady w taniej stołówce. Gdy rozmowy o pracę, na które chodziłem, wiedząc, że i tak nie przyniosą żadnego rezultatu, rzeczywiście kończyły się niczym, mimo wszystko znów pograżałem się w smutku. Gdy otrzymałem odpowiedź odmowną od kilku sklepów, w których, przed nikim się do tego nie przyznając, starałem się o posadę sprzedawcy, do późnej nocy włączyłem się przybity po mieście. O beznadziejności swego położenia nie mogłem zapomnieć nawet wtedy, gdy piłem ze znajomymi – tymi, którzy jeszcze od czasu do czasu zapraszali mnie do siebie. Dziwna rzecz, ale w miarę jak pogarszała się moja sytuacja, a zaspokajanie nawet codziennych potrzeb stawało się niemożliwe, narastała we mnie zarazem nieśmiałość i zażenowanie. Gdy spotykałem na ulicy ludzi, u których szukałem protekcji w sprawie pracy i ze strony których nie zaznałem nigdy najmniejszej przykrości, spuszczałem głowę i przyspieszałem kroku. Zmieniłem się nawet w stosunku do tych przyjaciół, których jeszcze całkiem niedawno swobodnie i bez skrępowania prosiłem o zafundowanie obiadu czy pożyczkę. Na ich pytania o moją sytuację odpowiadałem z nieporadnym uśmiechem: „Nie jest źle... Czasem uda mi się znaleźć coś dorywczego”, po czym jak najszybciej starałem się zniknąć z ich pola

widzenia. Im bardziej potrzebowałem od ludzi pomocy, tym większą miałem chęć od nich uciec.

Pewnego dnia pod wieczór szedłem sobie powoli opustoszałą drogą między dworcem a Domem Sztuki. Chciałem napawać się wspaniałą ankarską jesienią i w ten sposób wykrzesać w sobie choć iskrę optymizmu. Odbijające się w oknach Domu Ludowego słońce, które pstrzyło budynek z białego marmuru krwistoczerwonymi cętkami; unosząca się nad akacjami i młodymi sosenkami mgła, może kurz, nie wiadomo do końca co; lekko przygarbieni robotnicy w postrzępionych ubraniach, wracający w milczeniu z jakiejś budowy... To wszystko i wszyscy, nawet poznaczony śladami opon asfalt, wydawali się zadowoleni ze swojego istnienia, akceptowali wszystko wokół takim, jakie było. Nie pozostawało mi nic innego, jak podporządkować się temu. I właśnie wtedy jakiś samochód szybko przejechał obok mnie. Obejrzałem się. Twarz osoby za szybą wydała mi się znajoma. Rzeczywiście, samochód zatrzymał się kilka metrów dalej. Drzwi się otworzyły, z pojazdu wychylił się Hamdi, mój kolega ze szkoły. Zawołał mnie.

Podszedłem.

– Dokąd idziesz? – spytał.

– A, tak sobie chodzę.

– Wsiadaj, pojedziemy do mnie!

Nie czekając odpowiedzi, zrobił mi miejsce obok siebie. Po drodze dowiedziałem się, że wraca z objazdu zakładów należących do spółki, w której pracuje.

– Wysłałem telegram, że wracam, w domu już pewnie czekają z kolacją. Inaczej nie odważyłbym się ciebie zaprosić.

Zaśmiałem się.

Nie widziałem Hamdiego, odkąd straciłem posadę w banku, dawniej jednak spotykaliśmy się dosyć często. Wiedziałem, że handlował jakimiś maszynami, a jednocześnie był zastępcą dyrektora w spółce z branży drzewnej, gdzie zarabiał całkiem przyzwoite pieniądze. To właśnie dlatego

nigdy nie zwróciłem się do niego z prośbą o pomoc – obawiałem się, że mógłby pomyśleć, iż przyszedłem prosić go o pożyczkę, a nie o znalezienie pracy.

– Nadal pracujesz w banku?

– Już nie, zwolniłem się.

Zdziwił się.

– To co teraz robisz?

– Nie mam pracy – odpowiedziałem niechętnie.

Zmierzył mnie spojrzeniem od stóp do głów, zatrzymując wzrok na mojej garderobie. Zdaje się, że nie pożałował swego zaproszenia, bo z przyjacielskim uśmiechem klepnął mnie w ramię i powiedział:

– Wieczorem pogadamy i coś wymyślimy, nie martw się.

Wyglądał na człowieka zadowolonego z życia i pewnego siebie. Widocznie osiągnął już tyle, że mógł pozwolić sobie nawet na luksus pomagania znajomym. Pozazdrościłem mu tego stanu.

Mieszkał w małym, przytulnym domu. Jego żona była nieco brzydką, ale bardzo sympatyczną kobietą. Bez skrupowania pocałowali się przy mnie na powitanie. Hamdi poszedł się odświeżyć, zostawiając mnie samego.

Jako że nie przedstawił mnie żonie, czekałem pośrodku pokoju gościnnego, nie wiedząc, co robić dalej. Gospodyni stała przy drzwiach, dyskretnie mnie obserwując. Rozważała coś przez chwilę. Pewnie przemknęło jej przez myśl, aby powiedzieć: „Proszę usiąść!”, później uznała chyba jednak, że nie jest to konieczne, i powoli opuściła pokój.

Zastanawiałem się, dlaczego Hamdi potraktował mnie w ten sposób. Trudno było posądzić go o brak ogłady, wręcz przeciwnie – przesadnie zwracał uwagę na wszelkiego rodzaju konwenanse, czemu też zapewne w jakiejś mierze zawdzięczał swój życiowy sukces. Może wynikało to po trosze z typowej dla parweniuszy cechy, a mianowicie ze świadomego roztargnienia, jakie okazywali wobec swych dawnych, niedotrzymujących im kroku znajomych. Pozwalało im ono w dodatku zachowywać się wobec nich uroczo i bezpretensjonalnie na tyle, by po przyjacielsku przejść nagle

na „ty”, wejść w słowo i spytać o jakąś przypadkową, pozbawioną znaczenia rzecz. Wszystko to przychodziło im bardzo naturalnie, z uśmiechem pełnym współczucia i litości. Ze wszystkim tym spotykałem się w ostatnich dniach na tyle często, że nawet mi przez myśl nie przeszło gniewać się czy obrażać na Hamdiego. Myślałem tylko o tym, żeby stąd wyjść bez pożegnania i uratować się z tej kłopotliwej sytuacji. Lecz właśnie wtedy do pokoju weszła stara wieśniaczka w białym fartuchu, z chustą na głowie i w cerowanych czarnych skarpetach. Podała mi kawę, nie odzywając się przy tym ani słowem. Usiadłem w jednym z granatowych foteli w wyszywane złotą nicią kwiaty i rozejrzałem się dookoła. Na ścianach wisiały fotografie członków rodziny i aktorów. W kącie pokoju stała półka na książki, najwidoczniej należąca do pani domu, z żurnalami mody i kilkoma tanimi wydaniem powieści. Pod stolikiem na popielniczkę stało kilka dość sfatygowanych albumów, najwidoczniej doprowadzonych do tego stanu przez często przeglądających je gości. Nie mając nic innego do roboty, sięgnąłem po jeden z nich. Nim zdążyłem go otworzyć, w drzwiach pojawił się Hamdi. Jedną ręką gładził wilgotne włosy, a drugą zapinał guziki białej koszuli z kołnierzykiem i długimi rękawami.

– No, opowiadaj, co u ciebie.

– Już ci mówiłem, nic!

Wyglądał na zadowolonego z tego przypadkowego spotkania ze mną. Był chyba szczęśliwy, że może pochwalić się swymi osiągnięciami, a może też, myśląc o mojej sytuacji, cieszył się z tego, iż sam nie znajduje się w podobnej. Gdy dowiadujemy się o nieszczęściach i kłopotach, jakie spotykają ludzi, z którymi przez jakiś czas wypadło nam wspólnie kroczyć przez życie, mimowolnie doznajemy ulgi, że to nie nas one dotknęły. Tym nieszczęśliwcom zaś, przeżywającym to, co równie dobrze może spotkać i nas, okazać chcemy litość i zainteresowanie. Hamdi zachowywał się wobec mnie tak, jakby podzielał te odczucia.

– Dalej piszesz? – spytał.

– Czasem... Wiersze, opowiadania.

– Masz chociaż coś z tego?

Znów się roześmiałem.

– Daj sobie z tym spokój, mój drogi! – powiedział, rozpoczynając tyradę na temat korzyści płynących z bardziej praktycznego stylu życia i szkód, jakie po ukończeniu szkoły może wyrządzić coś tak bezwartościowego jak literatura. Mówił, jakby pouczał małe dziecko, nie dopuszczając do siebie myśli, że ktoś mógłby mu odpowiedzieć czy z czymś się nie zgodzić, bez skrępowania okazując swoją postawą, iż animusz ten czerpie z sukcesów, jakie osiągnął w życiu. Czułem, że wpatruję się w niego oczarowany, z niezmiernie głupkowskim uśmiechem na twarzy, ośmielając go tym samym jeszcze bardziej.

– Wpadnij do mnie jutro rano – powiedział. – Zobaczymy, co da się zrobić. Jesteś bystrym chłopakiem, wiem. Nie byłeś co prawda zbyt pilny, ale to nieważne. Życie i bieda niejednego mogą człowieka nauczyć... Pamiętaj... Tylko przyjdź wcześniej!

Mówiąc te słowa, zdaje się, zapomniał, iż sam w latach szkolnych przodował w lenistwie. Śmiałość ta wynikała też może z przekonania, że nie wypomnę mu tego tutaj prosto w twarz.

Gdy wykonał ruch, jakby miał zamiar podnieść się ze swego miejsca, natychmiast wstałem i podałem mu rękę.

– Czas na mnie.

– Dlaczego, mój drogi, jeszcze wcześniej? Ale jak chcesz...

Zapomniałem, że zaprosił mnie na kolację. Przypomniałem sobie o tym dopiero w tej chwili. Hamdi zdawał się zupełnie o tym nie pamiętać. Podszedłem do drzwi.

– Uszanowanie dla małżonki! – powiedziałem, biorąc kapelusz.

– Dobrze, dobrze, wpadnij do mnie jutro. I nie martw się! – dodał i poklepał mnie po plecach.

Kiedy wyszedłem na zewnątrz, było już dobrze po zmroku, świeciły się uliczne latarnie. Wzięłem głęboki oddech. Powietrze, nawet jeśli lekko nasycone kurzem, wydało mi się wyjątkowo czyste i rześkie. Ruszyłem

przed siebie wolnym krokiem.

Następnego dnia przed południem udałem się do firmy Hamdiego. Wieczorem, gdy opuszczałem jego dom, wcale nie miałem takiego zamiaru. Właściwie to nie obiecał mi nic konkretnego. „Zobaczmy, co da się zrobić, coś zaradzimy!” Przywykłem już do tego rodzaju frazesów – zegnali mnie nimi wszyscy dobroczyńcy, do których się zwracałem. Mimo to poszedłem. Bardziej chyba niż nadzieja powodowała mną chęć upokorzenia się. Zupełnie jakbym chciał sobie powiedzieć: „Słuchałeś go wczoraj wieczorem w milczeniu i pozwoliłeś mu postawić się w roli twojego protektora. Niech więc doprowadzi rzecz do końca, zasłużyłeś na to!”.

Woźny zaprowadził mnie do niewielkiego pokoju i kazał mi chwilę poczekać. Wchodząc do Hamdiego, uświadomiłem sobie, że na mojej twarzy znowu zagościł ten sam co wczoraj głupkowaty uśmiezek, i jeszcze bardziej zezłościłem się na samego siebie.

Hamdi zaabsorbowany był stertą dokumentów piętrzącą się przed nim na biurku, a także gromadą urzędników nieustannie przewijających się przez jego gabinet. Skinieniem głowy wskazał mi stołek, po czym wrócił do swoich obowiązków. Usiadłem, nie odważywszy się uścisnąć mu ręki. W jego obecności poczułem się zakłopotany, jakbym rzeczywiście był nie tylko jego podwładnym, ale i dłużnikiem. Uznałem, że jego zachowanie jak najbardziej licuje z moją podeptaną godnością. Jak wiele zaszło w ciągu tych kilkunastu godzin między mną a kolegą ze szkoły, który dzień wcześniej wziął mnie do swojego samochodu z ulicy! Jakże śmieszne, czcze i nieistotne jest wszystko to, co kształtuje relacje między ludźmi, i w jak niewielkim stopniu wiąże się to z prawdziwym człowieczeństwem...

Od poprzedniego wieczoru ani Hamdi, ani ja nie zmieniliśmy się istotnie, byliśmy tacy jak przedtem. Mimo to niektóre rzeczy, nieznaczące szczegóły, których dowiedzieliśmy się o sobie nawzajem, oddaliły nas od siebie. Najdziwniejsze było jednak to, że obydwaj zaakceptowaliśmy tę przemianę, uważając ją za naturalną. Byłem zły nie na siebie czy na

Hamdiego, irytowała mnie jedynie moja obecność tutaj.

Gdy gabinet w końcu opustoszał, Hamdi uniósł głowę znad papierów.

– Znalazłem dla ciebie pracę! – powiedział. Następnie, wbijając we mnie śmiało, wymowne spojrzenie, dodał: – A raczej utworzyłem dla ciebie posadę. Nic męczącego. Masz śledzić nasze interesy w kilku bankach, oczywiście głównie w naszym. W skrócie, będziesz odpowiedzialny za kontakty firmy z bankami. W wolnym czasie możesz zająć się swoimi sprawami, pisz tyle wierszy, ile tylko zapragniesz... Rozmawiałem z dyrektorem, wszystko załatwimy. Na razie nie możemy zaproponować ci wiele, najwyżej czterdzieści, pięćdziesiąt lir... Oczywiście w przyszłości będziesz mógł liczyć na więcej. To chyba wszystko, powodzenia!

Nie wstając z fotela, wyciągnął do mnie dłoń. Podeszedłem i podziękowałem. Jego twarz wyrażała niekłamano satysfakcję z wyświadczonej mi przysługi. Tak naprawdę nie uważałem go wcale za złego człowieka. Zachowywał się po prostu tak, jak przystoi komuś na jego stanowisku. Pomyślałem, że takie zachowanie może rzeczywiście jest konieczne. Po wyjściu na korytarz zatrzymałem się na chwilę. Nie mogłem się zdecydować, iść do przeznaczanego mi pokoju czy raczej zostawić to wszystko i odejść. Wolnym krokiem pokornie ruszyłem przed siebie. Pierwszego napotkanego woźnego spytałem o pokój tłumacza, Raifa Efendiego. Mężczyzna wskazał ręką jakieś drzwi i poszedł dalej. Znow się zatrzymałem. Co mnie tam trzymało? Czy rzeczywiście nie byłem w stanie poświęcić tych czterdziestu lir miesięcznej pensji? A może nie miałem śmiałości, by zachować się w ten sposób wobec Hamdiego? Nie! To raczej trwające od miesięcy bezrobocie, to, że nie wiedziałem, do kogo jeszcze mógłbym się zwrócić, gdzie jeszcze mógłbym szukać pracy... No i strachliwość, która, jak się zdaje, zawładnęła mną już całkowicie. Wszystko to zatrzymało mnie w tym ciemnym korytarzu, każąc czekać na kolejną przechodzącą osobę.

W końcu uchyliłem pierwsze lepsze drzwi. Zobaczyłem za nimi Raifa Efendiego. Nie znałem go wcześniej, mimo to w jednej chwili zrozumiałem,

że ten pochylony nad biurkiem człowiek nie może być nikim innym. Zastanawiałem się później, skąd wzięło się we mnie to przeświadczenie. Hamdi powiedział mi tak: „Kazałem dostawić dla ciebie biurko, podzielisz gabinet z Raifem Efendim, naszym tłumaczem niemieckiego. To milczkowaty i prostoduszny człowiek, muchy by nie skrzywdził”. Zwróciłem uwagę, że mówiąc o nim, Hamdi używał jeszcze (staromodnego) tytułu „efendi”, podczas gdy do pozostałych (kolegów i koleżanek) zwracał się już na „bay” lub „bayan”. Obraz, jaki sobie wyrobiłem, tak bardzo pasował do tego nieogolonego, siwego człowieka w rogowych okularach, że śmiało wszedłem do środka.

– Raif Efendi? – spytałem, gdy podniósł głowę i spojrzał na mnie zamyślony.

Przypatrywał mi się przez jakiś czas, po czym łagodnym, niemal wystraszonym głosem odpowiedział:

– Tak, to ja. A pan jest chyba tym nowym pracownikiem. Niedawno przygotowano dla pana biurko. Witam, proszę się rozgościć!

Zająłem swoje miejsce. Zacząłem przypatrywać się wyblakłym plamom atramentu i rysom na biurku. Chciałem dyskretnie wybadać kolegę, z którym będę dzielił pokój. Rzucając nań ukradkowe spojrzenia, chciałem wyrobić sobie wstępne – i siłą rzeczy błędne – zdanie na jego temat, jak to się robi zazwyczaj, przebywając sam na sam z kimś obcym. Zdawało się, że on nie odczuwał takiej potrzeby, pogrążony w pracy, jakby dalej był sam w pokoju.

Przesiedzieliśmy tak do południa. Przyglądałem mu się już bez skrepowania. Przez krótko ostrzyżone włosy zaczynała prześwitywać łysina. Od małych uszu po kark biegły głębokie bruzdy. Dłońmi o długich i cienkich palcach wodził wśród rozłożonych przed sobą papierów, bez większych problemów tłumacząc jakiś tekst. Z rzadka podnosił wzrok, jakby zastanawiał się nad odpowiednim słowem, a gdy nasze spojrzenia spotykały się, przez jego twarz przebiegało coś w rodzaju uśmiechu. Twarz ta, mimo że wyglądała na dość starą, gdy patrzyło się na nią z boku lub

z góry, szczególnie w tych momentach uśmiechu przybierała zadziwiająco naiwny i dziecięcy wyraz, potęgowany dodatkowo przez jego przystrzyżone płowe wąsy.

Idąc na obiad, zauważyłem, że Raif Efendi zostaje na swoim miejscu. Z jednej z szuflad biurka wyciągnął owinięty w papier chleb i niewielką menażkę. Życzyłem mu smacznego i wyszedłem.

Mimo że całe dni siedzieliśmy naprzeciw siebie w jednym pokoju, nie rozmawialiśmy prawie wcale.

Poznałem się już z większością pracowników, po pracy zaczęliśmy nawet wychodzić razem na partyjkę tryktraka do kawiarni. Dowiedziałem się od nich, że Raif Efendi ma najdłuższy staż ze wszystkich. Jeszcze przed założeniem naszej firmy był tłumaczem w powiązanim z nią obecnie banku – nikt nie pamiętał, kiedy zaczął tę pracę. Mówiono, że ma dość liczną rodzinę i że jego pobory ledwie starczą na jej utrzymanie. Spytałem kiedyś, dlaczego dyrekcja, która szasta pieniędzmi na lewo i prawo, nie podniesie pensji jednemu z najbardziej doświadczonych pracowników. Młodzi odpowiedzieli na to śmiechem: „To dlatego, że nic nie robi. Właściwie to nie wiadomo nawet, czy zna język”. Dopiero później dowiedziałem się, że niemiecki zna jednak bardzo dobrze, a jego tłumaczeniom nie można było niczego zarzucić. Tłumaczenie dokumentu dotyczącego transportu tarcicy jesionowej i jodłowej, który miał nadejść z jugosłowiańskiego portu Susak, czy instrukcji eksploatacji wiertarek do podkładów i ich części zamiennych nie stanowiło dla niego problemu, a dyrektor firmy bez wahania podpisywał i wysyłał gdzie trzeba przetłumaczone przez niego na niemiecki specyfikacje i kontrakty. Zauważyłem, że w wolnych chwilach Raif Efendi otwiera szufladę i w roztargnieniu czyta książkę, nie wyciągając jej na zewnątrz. Pewnego dnia spytałem:

– Co pan czyta?

Zaczerwienił się, jakbym przyłapał go na czymś niestosownym.

– Nic takiego... Niemiecką powieść! – odpowiedział drżącym głosem

i natychmiast zatrzasnął szufladę.

Mimo to w firmie nikt nie wierzył w jego umiejętności językowe. Może i mieli rację, bo wygląd i zachowanie naszego tłumacza dalekie były od powierchowości kogoś, kto włada językiem innym niż ojczysty. Nikt nie słyszał, żeby kiedykolwiek z jego ust padło jakieś niemieckie słowo, nigdy nie widziano go też z zagraniczną gazetą ani czasopismem. Krótko mówiąc, w niczym nie przypominał on ludzi, którzy całym swoim istnieniem zdają się krzyczeć o tym, że znają jakiś język obcy. Skoro ufał swym umiejętnościom, to dlaczego nigdy nie poprosił o podwyżkę, dlaczego nie szukał innej, lepiej płatnej pracy? Wszystko to uprawdopodobniało plotki na jego temat.

Do pracy przychodził zawsze punktualnie, obiady jadał przy biurku, a wieczorami, po zrobieniu drobnych zakupów, od razu wracał do siebie. Kilka razy odrzucił moje zaproszenie na kawę: „Czekają na mnie w domu!”. Szczęśliwy ojciec rodziny, pomyślałem, jak najszybciej chce się znaleźć wśród swoich. Potem przekonałem się, że byłem w błędzie, ale do tego jeszcze wrócę. Jego pilność i pracowitość nie przekładały się na dobre traktowanie w biurze. Hamdi za każdym razem, gdy w tłumaczeniu Raifa Efendiego odkrył choć najmniejszą literówkę, natychmiast wzywał biedaka do siebie, a czasem fatygował się nawet z reprimendą aż do naszego pokoju. Wobec innych pracowników był zawsze bardziej ostrożny, chyba obawiał się reakcji tych młodych ludzi, z których każdy miał za sobą jakiegoś protektora. Łatwo zrozumieć, dlaczego tak poniewierał Raifem Efendim, o którym wiedział, że nigdy nie odważy się mu przeciwstawić; dlaczego, czerwony ze złości z powodu kilkugodzinnego opóźnienia, wrzeszczał na niego tak, że słyhać go było w całym budynku. Bo cóż nie upaja człowieka tak bardzo, jak możliwość wykorzystania na bliźnim swojej władzy i siły? Szczególnie gdy nadarza się okazja, by – uwzględniając przy tym własne, misterne kalkulacje – wypróbować ich na tej konkretnej kategorii ludzi.

Raif Efendi co jakiś czas chorował i nie przychodził do pracy. Były to

zazwyczaj normalne przeziębienia; zapalenie opłucnej, jakie przeszedł przed laty, sprawiło jednak, że stał się przewrażliwiony na ich punkcie. Przy najłżejszym katarze zamykał się w domu, a wychodząc na zewnątrz, wkładał na siebie kilka warstw wełnianych podkoszulków. W pracy nigdy nie pozwalał otwierać okien, a z biura nie wychodził, dopóki nie owinął się szczelnie szalikiem i nie postawił należycie kołnierza swojego grubego, choć już przetartego płaszczem. Ale nawet podczas choroby nie zaniedbywał pracy. Bieżące tłumaczenia wysyłało mu przez gońca do domu i odbierano gotowe po kilku godzinach. Mimo to w zachowaniu dyrektora i Hamdiego wobec niego było coś, co zdawało się mówić: „Zobacz, trzymamy cię tutaj, starego marudę, mimo że ciągle chorujesz!”. Często też nie krępowali się nawet wyrzucić mu tego prosto w twarz. Gdy wracał do pracy po kilkudniowej nieobecności złośliwie witali jego powrót do zdrowia, pytając: „No i jak tam? Miejmy nadzieję, że już po wszystkim? Najwyższy czas!”.

Raif Efendi zaczynał powoli nużyć i mnie. Nie spędzałem zbyt wiele czasu w biurze. Z aktówką w ręku biegałem po bankach i instytucjach państwowych, które złożyły u nas zamówienia. Z rzadka tylko zasiadałem za biurkiem, by uporządkować dokumenty i złożyć raport dyrektorowi lub jego zastępcy. A jednak doszedłem do wniosku, że ten człowiek, siedzący za biurkiem naprzeciwko mnie – nieruchomy tak bardzo, że można było zważyć w to, że żyje – i który ciągle tłumaczył albo czytał z szuflady swoją „niemiecką powieść”, rzeczywiście jest istotą nudną i pustą. Sądziłem, że ktoś, kto czuje i żyje, nie może oprzeć się naturalnemu pragnieniu, by wyrazić to na zewnątrz. Zgadywałem, że życie tłące się w tak cichym i obojętnym człowieku niewiele musi się różnić od wegetacji rośliny: przychodzi tutaj codziennie niczym maszyna, wykonuje swoje obowiązki, czyta książki w jakiś dziwny sposób, a wieczorem po zrobieniu zakupów znowu wraca do domu. Niewykluczone, że w ciągu tych wszystkich tak bardzo podobnych do siebie dni, czy nawet lat, jedyną odmianę stanowiły dla niego właśnie te okresy choroby. Jeśli wierzyć słowom kolegów z pracy, jego życie wyglądało tak od zawsze. Nie zdarzyło się do tej pory, by ktoś

zobaczył go wzburzonego. Na najbardziej absurdalne i niesprawiedliwe zarzuty ze strony przełożonych niezmiennie odpowiadał tym spokojnym i pozbawionym wyrazu spojrzeniem; z tym samym bezmyślnym uśmiechem prosił, oddając do przepisania gotowe tłumaczenia, i dziękował, gdy odbierał je z powrotem.

Pewnego dnia, z winy maszynistek, które zlekceważyły prośbę Raifa Efendiego, Hamdi znów zawitał do naszego pokoju.

– Ile mamy czekać? Mówiłem przecież, że to pilne, wychodzę. Wciąż nie dostałem tego pisma od węgierskiej firmy! – wykrzyczał dosyć ostrym głosem.

Tłumacz odpowiedział, błyskawicznie zrywając się z miejsca:

– Ja już skończyłem, proszę pana, maszynistki jeszcze nie przepisały. Miały i inne obowiązki.

– Chyba mówiłem, że to priorytetowe?

– Tak, proszę pana, też im to powiedziałem...

– Zamiast się ze mną kłócić, niech pan lepiej zrobi, co mu kazano! – wrzasnął jeszcze głośniejszym głosem, trzaskając drzwiami.

Raif Efendi wyszedł tuż za nim, by po raz kolejny dopraszać się czystopisu.

Pomyślałem o Hamdim, który w trakcie całej tej absurdalnej sceny nie zaszczycił mnie bodaj jednym spojrzeniem. Tymczasem tłumacz wrócił do pokoju i ze zwieszoną głową zajął swoje stałe miejsce. Na jego twarzy malował się wciąż ten niezachwiany spokój, który mógł przyprawić człowieka o zdziwienie czy nawet wściekłość. Wziął do ręki ołówek i zaczął kreślić nim coś na kartce. Ale nie pisał, zdaje się, że rysował jakieś linie. Nie było to zachowanie typowe dla zdenerwowanego człowieka, który nieświadomie chwytą się jakiegokolwiek zajęcia. W dodatku wydało mi się, że w kąciku jego ust, tuż pod płowymi wąsami, zarysował się wyrażający pewność siebie uśmiech. Powoli wodził dłonią po papierze, co chwilę przerywając i wpatrując się weń zmrużonymi oczami. Po tym ledwo uchwytnym uśmiechu można było poznać, że jest zadowolony z tego, co

widzi. W końcu odłożył na bok ołówek i przez dłuższą chwilę oglądał swoje dzieło. Obserwowałem go, nie spuszczać z niego oczu. Zaskoczył mnie zupełnie nowy wyraz, jaki pojawił się teraz na jego twarzy: wyglądał, jakby komuś współczuł. Z ciekawości nie mogłem usiedzieć na miejscu. Gdy miałem już wstać, on podniósł się pierwszy i ponownie udał się do pokoju maszynistek. Natychmiast poderwałem się z krzesła i jednym susem znalazłem się przy biurku Raifa Efendiego. Wziąłem do ręki jego rysunek i osłupiałem ze zdumienia.

Na skrawku papieru wielkości dłoni zobaczyłem Hamdiego. To był on, we własnej osobie, ujęty w kilku prostych, lecz nadzwyczaj zręcznie nakreślonych liniach. Nie sądzę, by można było doszukać się tu podobieństwa do kogoś innego. Może gdyby spojrzeć na linie oddzielnie, w niczym by go nie przypominały; ale ktoś, kto widział, jak przed chwilą wydierał się tutaj na środku pokoju, nie mógł mieć żadnych wątpliwości. Te usta, rozwarte na kształt prostokąta, zastygłe w zwierzęcej furii, z niemożliwą do opisanego podłością; te oczy, naszkicowane, jakby dusiły się z bezsilności, chcąc prześwidrować miejsce, na które patrzą; i wreszcie ten nos, o przesadnie rozszerzonych nozdrzach, przydający przez to twarzy jeszcze bardziej dzikiego wyrazu... Tak, to był Hamdi, który stał tutaj przed kilkoma minutami, czy raczej ilustracja stanu jego ducha. Lecz nie to było zasadniczym powodem mojego zdziwienia. Odkąd zacząłem tę pracę, czyli już od dobrych kilku miesięcy, miotałem się między mnóstwem sprzecznych sądów na jego temat. Czasem starałem się być wobec niego wyrozumiały, wielokrotnie zdarzyło mi się też nim pogardzać. Dostrzegałem, że jego prawdziwa osobowość zatraciła się w tej nadanej mu przez obecną pozycję. Chciałem je od siebie oddzielić, lecz wciąż dochodziłem przy tym w ślepy zaułek. I oto Hamdi, przedstawiony przez Raifa Efendiego w kilku kreskach, był człowiekiem, którego od dawna chciałem zobaczyć, a którego w żaden sposób zobaczyć nie mogłem. W jego twarzy, mimo jej całej pospolitości i dzikości, było coś godnego współczucia. Połączenie okrucieństwa i słabości nigdzie nie zostało chyba uchwycone

tak dobitnie. Zdaje się, że dziś po raz pierwszy w ciągu naszej dziesięcioletniej przyjaźni zobaczyłem go naprawdę.

Rysunek ten mówił zarazem wiele o samym Raifie Efendim. Doskonale rozumiałem teraz jego stoicki spokój i dziwną powściągliwość w relacjach z ludźmi. Czy ktoś, kto tak dobrze znał swoje otoczenie, kto tak wyraźnie i przenikliwie widział wewnątrz stojącej przed nim osoby, mógł się przejmować i złościć na kogokolwiek? Jak inaczej mógłby się zachować wobec człowieka wijącego się przed nim w całej swej małości, jeśli nie pozostać nieporuszonym jak kamień? Wszystkie nasze żale, rozczarowania i złości są rezultatem niezrozumiałych i nieoczekiwanych aspektów tego, co nas w życiu spotyka. Czy można wstrząsnąć kimś, kto gotów jest na wszystko i kto z góry wie, czego może się spodziewać po innych ludziach?

Raif Efendi na nowo rozbudził moją ciekawość. Czułem, że mimo tego nowego światła, w jakim zobaczyłem go przed chwilą, wciąż mam w głowie pełno sprzecznych informacji na jego temat. Trafność rysunku, który trzymałem w dłoni, świadczyła o tym, że nie mógł on wyjść spod ręki amatora. Ktoś, kto tak rysuje, przez całe lata musiał zajmować się tym profesjonalnie. Znać tu było nie tylko wprawne oko, które widzi to, na co patrzy; krył się w nim także kunszt zdolny utrwalić to, co widzi, wraz ze wszystkimi tego odcieniami.

Otworzyły się drzwi. Chciałem szybko odłożyć świstek, ale było już za późno. Raif Efendi zbliżał się do mnie, trzymając w ręku tłumaczenie pisma od węgierskiej firmy.

– Świetny rysunek... – powiedziałem przepaszającym tonem.

Myślałem, że zdziwi się albo przestraszy, że wyjawię jego tajemnicę. Nic takiego się jednak nie stało. Z tym samym co zwykle obcym i roztargnionym uśmiechem odebrał ode mnie kartkę.

– Przed laty trochę się tym zajmowałem. Czasem coś tam sobie naszkicuję, z przyzwyczajenia... Sam pan widzi, jakieś bohomazy... Tak z nudów... – Po czym zmiął ją i wyrzucił do kosza. – Panie przepisały to na szybko – zamruczał pod nosem. – Pewnie są literówki, ale jak zacznę teraz

sprawdzać, Hamdi Bey zezłości się jeszcze bardziej... I nie będzie bez racji... W takim razie zaniósę natychmiast...

Ponownie wyszedł z pokoju. Śledziłem go spojrzeniem. „I nie będzie bez racji, i nie będzie bez racji!” – powtarzałem sobie.

Po tym incydencie z większym zainteresowaniem zacząłem się przyglądać Raifowi Efendiemu, jego nawet najbardziej pozbawionym znaczenia gestom. Wykorzystywałem każdą okazję, żeby z nim porozmawiać i dowiedzieć się czegoś o jego prawdziwym „ja”. Zdawało się, że nie dostrzega tej mojej wyostrzonej uwagi. Był wobec mnie uprzejmy, lecz konsekwentnie zachowywał pewien dystans. Jakkolwiek, sądząc po pozorach, rozwijałaby się nasza znajomość, jego wnętrze wciąż pozostawało dla mnie niedostępne. Gdy poznałem już jego rodzinę i z bliska zobaczyłem panujące w niej stosunki, moja ciekawość sięgnęła zenitu. Każdy krok, który stawiałem w celu zbliżenia się do niego, przynosił ze sobą kolejne zagadki.

Po raz pierwszy odwiedziłem go podczas jednej z jego chorób. Hamdi, jak zwykle, chciał wysłać mu przez woźnego dokumenty do tłumaczenia na jutro.

– Ja je zaniósę, przy okazji sprawdzę, jak się czuję – zaproponowałem.

– Niech będzie... Dowiedz się, co mu jest. Tym razem trwa to już trochę za długo!

Rzeczywiście, tym razem choroba Raifa Efendiego trwała dłużej niż zwykle. Już od tygodnia nie było go w biurze. Woźny wyjaśnił mi, jak trafić do jego domu w starej dzielnicy İsmetpaşa. Był środek zimy, szybko robiło się ciemno. Ruszyłem w drogę. Wkrótce znalazłem się w ciasnych dzielnicach z dziurawymi chodnikami, w niczym nieprzypominającymi innych, wyłożonych asfaltem dróg stolicy. Droga to wznosiła się, to opadała. Na końcu długiej ulicy, zdaje się, że już na obrzeżach miasta, skręciłem w lewo i w kawiarni na rogu spytałem o interesujący mnie adres. Pomędzy parcelami zawalonymi stertami kamienia i piasku stał samotnie pomalowany na żółto, dwupiętrowy budynek. Wiedziałem, że

Raif Efendi mieszka na parterze. Zadzwońiłem do drzwi. Otworzyła mi dziewczynka wyglądająca na jakieś dwanaście lat. Gdy spytałem o jej ojca, wydeła wargi i z grymasem na twarzy powiedziała: „Proszę wejść!”.

Wnętrze domu było zupełnie inne, niż to sobie wyobrażałem. W holu, który najwyraźniej służył za jadalnię, zobaczyłem duży rozkładany stół, a z boku kredens z kryształową zastawą. Podłogę zdobił piękny, ręcznie tkany dywan z Sivas; z przylegającej do pomieszczenia kuchni dochodziły zapachy jedzenia. Dziewczynka zaprowadziła mnie najpierw do pokoju gościnnego, pełnego ładnych – i drogich – sprzętów. Na jego umeblowanie składały się czerwone aksamitne fotele, niskie orzechowe stoliki pod popielniczkę i ogromne radio. Wszędzie, na stołach i na oparciach kanap, leżały misterne koronki o kremowym kolorze, a na ścianie wisiała tabliczka z zasadami wiary, wykaligrafowanymi na kształt statku.

Po kilku minutach dziewczynka podała mi kawę. Z jej twarzy nie znikwała ta swobodna mina, z której można było wyczytać lekceważenie i chęć dokuczenia mi.

– Tata nie czuje się najlepiej, proszę pana, nie może wychodzić z łóżka, prosi do siebie! – powiedziała, odbierając ode mnie pustą filiżankę. Kiedy to mówiła, jej brwi i oczy znów zdawały się podkreślać, że niczym nie zasłużyłem sobie na tak grzeczne zachowanie z jej strony.

Niewielki pokój zajmowany przez chorego całkowicie mnie zaskoczył. W niczym nie przypominał on pozostałych części domu. Zastawiał go rząd białych łóżek, ustawionych jedno przy drugim, jak w sypialni internatu czy na oddziale szpitalnym. Raif Efendi, pod białą kołdrą, leżał na jednym z nich w pozycji półsiedzącej i usiłował pozdrowić mnie zza szkieł okularów. Rozejrzałem się, gdzie mógłbym usiąść. Dwa znajdujące się w pokoju krzesła zarzucone były wełnianymi swetrami, pończochami i kilkoma sztukami jedwabnej garderoby. Przez na wpół uchylone drzwi stojącej nieco z boku ciemnowiśniowej szafy widać było porozwieszane jak popadnie ubrania i ułożone pod nimi, zapinane na guziki tobołki. W pokoju panował zadziwiający rozgardiasz. Na szafce nocnej u wezgiłowia, na

blaszanej tacy stały niesprzątnięty od obiadu brudny talerz po zupie, niewielka odkorkowana karafka i całe mnóstwo tubek i buteleczek z lekarstwami.

– Proszę usiąść tutaj – powiedział chory, wskazując na miejsce w nogach pośłania.

Raif Efendi ubrany był w wełniany, zrobiony na drutach jaskrawy damski sweter z przetartymi łokciami. Głowę opierał o żelazną ramę łóżka. Po przeciwległej stronie, dokładnie tam, gdzie usiadłem, jedno na drugim wisiały jego ubrania.

Gospodarz zauważył, że rozglądam się po pokoju.

– Śpię tutaj razem z dziećmi... – wyjaśnił. – To one doprowadzają wszystko do takiego stanu... Dom jest zresztą za mały, nie mieścimy się...

– Dużą ma pan rodzinę?

– Oj tak, sporą! Dorosła córka chodzi do liceum. Jest jeszcze młodsza, ta, którą pan poznał... Poza tym siostra żony z mężem, dwóch szwagrów... Mieszkamy tak wszyscy razem. Szwagierka też ma dzieci... Dwoje... Sam pan wie, jak ciężko o mieszkanie w Ankarze. Nie ma szans na przeprowadzkę...

Kilkakrotnie rozległ się dźwięk dzwonka. Hałas i krzyki świadczyły o tym, że ktoś z rodziny wrócił do domu. W pewnej chwili otworzyły się drzwi. Do pokoju weszła korpulentna kobieta około czterdziestki. Krótkie włosy opadały jej na twarz i uszy. Nachyliła się i wyszeptała coś do Raifa Efendiego. Zamiast odpowiedzieć, skinął w moją stronę i dokonał prezentacji:

– Kolega z pracy... Moja żona – po czym, odwracając się do niej, dodał: – Weź z kieszeni mojej marynarki.

Nie siląc się już na dyskrecję, kobieta poskarżyła się na głos:

– Nie przyszedłem po pieniądze, nie ma kto iść do sklepu... Ty też jeszcze nie wyzdrowiałeś...

– Wyślij Nurten, to trzy kroki stąd!

– Małe dziecko, do sklepu, po nocy? Samą, jeszcze w takie zimno...

A nawet jak jej powiem, to czy mnie posłucha?

Raif Efendi zamyślił się, a następnie pokiwał głową, jakby w końcu znalazł rozwiązanie.

– Pójdzie, pójdzie! – powiedział i opuścił głowę.

Gdy kobieta wyszła z pokoju, odwrócił się do mnie.

– U nas nawet kupienie chleba to problem... Nie ma kogo wysłać, jak zachoruję!

– Pańscy szwagrowie to też jeszcze dzieci? – spytałem, jakby mnie to interesowało.

Spojrzał na mnie, ale nie odpowiedział. Sprawiał przy tym wrażenie, jakby nie usłyszał mojego pytania.

– Nie, są już dorośli – odpowiedział jednak po kilku minutach. – Obaj pracują. Urzędnicy, tak jak my. Szwagier jest z Ministerstwa Gospodarki, załatwił im pracę. Nie uczyli się, nie mają nawet dyplomu szkoły średniej!

– nagle urwał i spytał o coś innego: – Przyniósł pan dla mnie coś do tłumaczenia?

– Tak... Potrzebne na jutro. Rano przyślą woźnego.

Wziął ode mnie dokumenty i odłożył je na bok.

– Martwi mnie też pańska choroba...

– Dziękuję... Trochę się wydłużyła. Nie mogę znaleźć sił, by podnieść się z łóżka!

Wpatrywał się we mnie badawczo, jakby chciał dociec, czy moja troska jest autentyczna. Byłem gotowy na wiele, aby go o tym przekonać, lecz jego oczy, w których po raz pierwszy dostrzegłem jakieś poruszenie, momentalnie przybrały swój dawny wyraz i powróciły do tego co zawsze, nic niewyrażającego uśmiechu.

Ciężko westchnąłem i podniosłem się ze swego miejsca. Raif Efendi nagle wyprostował się i chwycił mnie za rękę.

– Dziękuję za odwiedziny, synu!

W jego głosie brzmiała nuta serdeczności. Wyczuł chyba to, co się działo w moim sercu.

Rzeczywiście, po tym dniu pojawiła się między nami pewna więź. Nie mogę powiedzieć, żeby jego zachowanie wobec mnie uległo znaczącej zmianie. Szczególnie zaś nie można by stwierdzić, że się przede mną otworzył i zaczął zachowywać swobodniej. Nadal był tym samym skrytym w sobie, cichym człowiekiem. Co prawda zdarzały się dni, gdy wieczorem po pracy odprowadzałem go do domu. Czasem nawet wchodziłem z nim do środka i siadałem w pokoju gościnnym z czerwonymi meblami. Przy kawie milczeliśmy albo rozmawialiśmy o drożyznie w Ankarze, złym stanie chodników w jego dzielnicy, o tym i owym. Rzadko zdarzało się, żeby wspomniał coś o domu czy rodzinie. Czasem wtrącił coś w rodzaju: „Córka znowu przyniosła złą ocenę z arytmetyki!”, ale od razu zmieniał temat. A ja nie odważyłem się go wypytywać. Domownicy, których spotkałem podczas mojej pierwszej wizyty, nie zrobili na mnie najlepszego wrażenia.

Po wyjściu od chorego, przechodząc przez hol, natknąłem się na dwóch młodzieńców i piętnasto-, może szesnastoletnią dziewczynę, stojących rzędem przy dużym stole na środku. Pochylali się ku sobie i mówili coś szeptem. Wybuchnęli śmiechem, nie czekając, aż wyjdę. Nie było we mnie nic, co mogłoby sprowokować tę wesołość. Jak każdy pusty człowiek w ich wieku, i oni uważali, że takie zachowanie przy kimś obcym jest swoistą manifestacją wyższości. Nawet mała Nurten dawała z siebie wszystko, by dostosować się do zachowania starszej siostry i wujów. Podobne sceny obserwowałem za każdym razem, gdy przychodziłem do tego domu. Ja też byłem jeszcze młody, nie skończyłem dwudziestu pięciu lat; mimo to zadziwiała mnie ta osobliwa skłonność do uważania za śmiesznych ludzi widzianych po raz pierwszy, jaką często miałem okazję obserwować u młodzieży. Szybko zorientowałem się, że pozycja Raifa Efendiego w tym domu nie była godna pozazdroszczenia – zdawało się, że ma w oczach tej gromadki status zbędnego, niepotrzebnego przedmiotu.

Po pewnym czasie, w miarę jak stawałem się tam coraz częstszym gościem, zaprzyjaźniłem się z nimi wszystkimi. Bez wątplenia nie były to złe dzieciaki. Jedynie puste, całkowicie puste istoty... To z tego właśnie

wynikało ich niestosowne zachowanie. Dopiero przez lekceważenie, uchybianie i wyśmiewanie się z obcych, w obliczu pustki ziejącej z ich wnętrza, osiągnąć mogli satysfakcję i odkryć przez to własną tożsamość. Przysłuchiwałem się ich rozmowom. Sprowadzały się one do obgadywania kolegów z biura – Vedat i Cihat byli zwykłymi urzędnikami w Ministerstwie Gospodarki – albo szkolnych koleżanek Necli, starszej córki Raifa Efendiego. Naśmiewali się z niektórych osobliwości ich ubioru czy zachowań, nie dostrzegając tych samych cech u siebie.

– Ach, co ta Muallâ miała na sobie na weselu! Che, che, che!

– Żebyś widziała, jak dogadała naszemu Orhanowi... Cha, cha, cha!

Szwagierka Raifa Efendiego, Ferhunde Hanım, myślała jedynie o dwójce swoich dzieci, urwisach trzy- i czteroletnim, i o tym, by gdy tylko nadarzy się okazja, zostawić je pod opieką starszej siostry, a samej wystroić się w jedwabie, naprędcie umalować i wyjść z domu na spacer. Widziałem ją kilka razy, jak przed stojącym na kredensie lustrem usiłowała schować pod kapelusz z woalką kosmyki farbowanych, kręconych włosów. Była jeszcze dosyć młoda, lecz mimo niespełna trzydziestu lat miała twarz usianą zmarszczkami, szczególnie pod oczami i w kącikach ust. Turkusowe oczy nie potrafiły zatrzymać się na niczym dłużej niż przez sekundę. Wyrażały one bezgraniczne znużenie, na które skazana była już od chwili urodzenia. Na swoje dzieci – zawsze blade, w zaniedbanych ubrankach, o wiecznie umorusanych rączkach i buzi – wściekała się, jakby były plagą zesłaną nań przez nieznanego, zajadłego wroga, i nie wiedziała, jak utrzymać je z dala od siebie, by swoimi brudnymi łapskami nie dotykały jej kreacji, gdy szykowała się do wyjścia na swe zwyczajowe spacer.

Mąż Ferhunde Hanım, dyrektor jednego z wydziałów w Ministerstwie Gospodarki – Nurettin Bey, był z kolei innym wydaniem naszego Hamdiego. Miał jakieś trzydzieści, trzydzieści dwa lata. O swoje kasztanowe, falowane włosy dbał niczym początkujący fryzjer, pieczołowicie zaczesując je do tyłu. Pytając kogoś o samopoczucie, zaciskał usta z poważną miną, lekko kiwając przy tym głową, jakby właśnie rzucił

błyskotliwym bon motem. Podczas rozmowy wbijał wzrok w twarz rozmówcy, a w jego oczach błąkał się uśmiech mówiący: „Proszę pana, co mi pan tutaj opowiada? Co pan tam może wiedzieć?”.

Po ukończeniu szkoły zawodowej z jakiegoś powodu wysłany został do Włoch na naukę garbarstwa. Zdołał nauczyć się tam jednak tylko trochę języka i tego, jak zachowywać się niczym ktoś ważny. Posiadał przy tym wiele cech pomocnych w osiągnięciu sukcesu. Przede wszystkim z dużym przekonaniem uważał się za godnego najwyższych stanowisk. Starał się dowieść swej wartości, mniej lub bardziej sensownie wypowiadając się na każdy temat – abstrahując od tego, czy się w nim w jakikolwiek sposób orientował – i okazując pogardę każdemu bez wyjątku. (Podejrzewam, że cała podziwiająca go rodzina uczuciem tym zaraziła się właśnie od niego). Poza tym bardzo dbał o swój ubiór, golił się każdego dnia i osobiście nadzorował proces prasowania swoich spodni. Całą sobotę był w stanie poświęcić na chodzenie po sklepach, byle tylko znaleźć najbardziej eleganckie buty czy oryginalne skarpetki. Potem dowiedziałem się, że ponieważ dyrektorska pensja starczała jedynie na ubrania dla niego i żony, a z trzydziestu pięciu lir, które trafiały do kieszeni młodych szwagrów, też nie było żadnego wspólnego pożytku, cały ciężar wydatków domowych spoczywał na Raifie Efendim i jego mizernym uposażeniu. Mimo to każdy miał w tym domu do powiedzenia więcej niż on. Jego małżonka, Mihriye Hanım, postarzała się, nie ukończywszy jeszcze czterdziestu lat. Zwiotczałe ciało i obwisłe aż po pępek piersi łączyły się w niej z niezwykłą wręcz otyłością. Całe dni spędzała w kuchni na gotowaniu, a w wolnym czasie cerowała sterty dziecięcych skarpet i doglądała „urwipołciów” siostry, z których jeden rozpuszczony był bardziej od drugiego. W żaden jednak sposób nie mogła dogodzić domownikom. Nikogo nie interesowały codzienne sprawy, każdy potrafił jedynie – uważając, że należy mu się wszystko, co najlepsze – narzekać na jedzenie i kręcić na wszystko nosem. Odzywki Nurettina Beya w rodzaju: „Co to ma być, kochana?” oznaczały raczej zakamuflowane: „Na co, na

litość boską, idą te setki lir, które położę na dom?”. Z kolei jej bracia, nieodmawiający sobie szalików za siedem lir, bez skrupułów potrafili oderwać starszą siostrę od stołu i ze słowami: „Nie smakuje mi to, ugotuj jajko!”, „Nie najadłem się, usmaż jeszcze kielbasy!” wysłać ją z powrotem do kuchni. Mało tego, gdy wieczorem okazywało się, że trzeba kupić chleb za jedenaście kuruszy, zdolni byli nawet wyrwać ze snu chorego Raifa Efendiego, byle tylko nie dać tej kwoty ze swojej kieszeni. Jakby i tego jeszcze było mało, mieli do niego pretensje, że ciągle choruje i że sam nie może pójść przez to do sklepu.

W przeciwieństwie do rozgardiaszu, jaki panował w częściach mieszkania niedostępnych dla oczu gości, porządek w holu i pokoju gościnnym był w znacznym stopniu dziełem Necli. Pozostali członkowie rodziny, mając na uwadze wizyty znajomych, z którymi utrzymywali kontakty, pochwalali przywdzianie przez ich dom tego rodzaju maski. Dlatego też, by także mieć swój udział w tej maskaradzie, latami spłacali raty za meble, znosząc przy tym sporo niedogodności. Ale za to teraz goście mogli kiwać z uznaniem głową, podziwiając aksamitny wypoczynek, a dwunastolampowe radio słychać było w całej dzielnicy. Ustawiony w oszklonym kredensie komplet połączonych, kryształowych kieliszków sprawiał, że Nurettin Bey nie musiał się wstydzić przed kolegami, których często zapraszał do siebie na buteleczkę raki.

Znoszący to wszystko Raif Efendi wydawał się czymś zupełnie obojętnym dla domu, jakby nikt – od najmłodszego po najstarszego członka rodziny – nie zauważał jego istnienia. Nie rozmawiano z nim o niczym, co nie dotyczyło codziennych potrzeb albo spraw finansowych. Lecz często nawet i te kwestie woleli załatwiać za pośrednictwem Mihriye Hanım. Był niczym robot, wypuszczany codziennie rano z listą zamówień, pod wieczór wracający z naręczem zakupów do domu. Nawet Nurettin Bey, który zaledwie pięć lat wcześniej, starając się o rękę Ferhunde Hanım, nie odstępował go na krok i robił wszystko, aby mu się przypodobać, a po zaręczynach przy każdej wizycie pamiętał o przyniesieniu dla przyszłego

szwagra jakiegoś ujmującego drobiazgu, obecnie był jakby znudzony mieszkaniem pod jednym dachem z takim nienadającym się do niczego człowiekiem. Złościło ich, że zarabia tak mało i że nie jest w stanie prowadzić bardziej luksusowego życia, a jednocześnie byli przekonani o jego bezwartościowości, o tym, że jest nic nieznaczącym zerem. Również wyglądająca na inteligentną Neclâ i chodząca jeszcze do podstawówki Nurten, prawdopodobnie pod wpływem ciotki i wujów, dostosowywały się do ogólnej atmosfery panującej wokół ich ojca. W okazywanej mu przez nie miłości było coś z gorączkowością znamionującej zakończenie niewdzięcznej pracy, a w pochyleniu się nad jego chorobą coś wymuszonego, niczym fałszywe miłosierdzie okazane żebrakowi. Jedynie Mihriye Hanım, która od wieloletniej harówki i troski o codzienny byt wydawała się lekko nieprzytomna, na ile tylko mogła, zajmowała się mężem i robiła wszystko, by nie był on lekceważony i poniewierany przez własne dzieci.

Gdy mieli gościa na kolacji, by uniknąć sytuacji, że ktoś z jej rodzeństwa albo Nurettin Bey poleci na głos: „Niech szwagier pójdzie do sklepu!”, uprzedzająco wyciągała męża do sypialni i siląc się na słodki ton, mówiła do niego: „No, idź kupić z osiem jajek i butelkę rakı. Nie będziemy teraz odciągać ich od stołu”. Lecz nie zastanowiła się przy tym nigdy, może nawet nie była tego świadoma, dlaczego oni też nie zasiądą przy tym stole, nawet jeśli miałyby się to zdarzyć raz na sto lat, i dlaczego patrzy się na nich niemal tak, jakby dopuszczali się zniewagi wobec pozostałych zgromadzonych.

Raif Efendi z kolei odczuwał wobec swojej żony dziwną litość. Szczerze współczuł tej kobiecie, która nie była w stanie wygospodarować chwili, by choć raz włożyć na siebie coś innego niż kuchenny fartuch. Niekiedy pytał: „Jak tam, bardzo się dzisiaj napracowałaś?”, a czasem rozmawiał z nią na osobności o sytuacji dzieci w szkole albo o wydatkach na nadchodzące święta.

Nie było jednak żadnych przejawów świadczących o istnieniu jakiegokolwiek emocjonalnej więzi między nim a pozostałymi członkami

rodziny. Czasem zatrzymywał tylko spojrzenie na swojej starszej córce, wpatrując się w nią, jakby oczekiwał tu czegoś więcej, czegoś serdecznego i podtrzymującego na duchu. Chwile te przemijały jednak bardzo szybko, bo pustka jego dziecka zdawała się ukazywać nagle poprzez zbyteczne, kokieteryjne zachowanie albo niestosowny uśmiech.

Wiele myślałem o sytuacji Raifa Efendiego. Taki człowiek – sam nie wiedziałem jeszcze do końca jaki, ale byłem przekonany, że z pewnością nie taki, na jakiego wyglądał – tak, taki człowiek nie mógł po prostu z premedytacją uciec od najbliższych mu ludzi. Cały problem polegał na tym, że jego bliscy tak naprawdę go nie znali, a i on sam nie należał do osób, które zrobiłyby cokolwiek, by dać się poznać. Przy tym wszystkim nie było już możliwe, by przełamać istniejące między nimi lody i pozbyć się tej przerażającej obcości, jaką do siebie czuli. Ponieważ ludzie wiedzą, jak trudno jest poznać drugiego człowieka, zamiast podejmować to zmusne wyzwanie, wolą zachowywać się jak ślepcy i o swoim wzajemnym istnieniu dowiadywać się dopiero wtedy, gdy zderzą się ze sobą.

Jak już mówiłem, Raif Efendi zdawał się oczekiwać czegoś jedynie po swojej starszej córce Necli. Mimikę twarzy i gesty przejęła od swojej eleganckiej ciotki, a całą swą wewnętrzną siłę czerpała z przemądrzałości wujka. Lecz mimo tej grubej skorupy można było zaobserwować oznaki tego, że we wnętrzu tej dziewczyny zostało jeszcze coś z prawdziwego człowieczeństwa. Czuć było czasem jej niekłamaną wściekłość w tym, jak besztła Nurten, która swoją bezczelność wobec ojca usiłowała wynieść na poziom pogardy. Gdy przy stole lub w pokoju gościnnym lekceważąco mówiono o Raifie Efendim, potrafiła nawet wyjść, trzaskając drzwiami. Lecz były to jedynie porywy ukrytego w niej człowieka, który co jakiś czas potrzebował nabrać odrobinę powietrza. Ta zewnętrzna skorupa – rezultat cierpliwej, wieloletniej pracy środowiska, w którym wyrosła – była bowiem na tyle szczelna, że nie dopuszczała do głosu jej prawdziwej natury.

Mimo wszystko, pewnie przez biorącą się z młodości niecierpliwość, denerwowała mnie ta zatrwazająca bierność Raifa Efendiego. I w pracy,

i w domu nie tylko przyzwał, by całkowicie obcy mu duchem ludzie traktowali go jak kogoś gorszego, lecz uważał to niemal za coś zupełnie naturalnego. Wiedziałem co prawda, że ludzie nierozumiani i zawsze źle oceniani przez swe otoczenie z czasem zaczynają z tego powodu odczuwać swoistą dumę i gorzką satysfakcję; nigdy jednak nie przyszłoby mi do głowy, że któryś z nich mógłby uznać to za coś właściwego.

Wiele drobnych zdarzeń świadczyło o tym, że wcale nie jest on wyzuty z uczuć. A wręcz przeciwnie, był bardzo wrażliwym, troskliwym i uważnym człowiekiem. Nic nie umykało jego oczom, mimo że sprawiały wrażenie wiecznie wpatrzonych w ziemię. Pewnego razu usłyszał, jak w kuchni dziewczęta sprzecają się ze sobą ścisłym głosem o kawę, którą miały dla mnie przygotować („Ty zaparz!”). Nic wtedy na to nie powiedział, ale dziesięć dni później, podczas mojej kolejnej wizyty, już od progu zawołał:

– Kolega nie będzie pił kawy, nie podawajcie!

Ten wyprzedzający ruch, wykonany, by nie dopuścić do powtórki przykrej dla niego sceny, był dowodem dużego zaufania i sprawił, że przywiązałem się do niego jeszcze bardziej.

Wciąż jednak nie rozmawialiśmy na poważniejsze tematy, ale przestałem się już temu dziwić. Jego dyskretna egzystencja, pobłażliwość, współczucie dla ludzkich słabości, ironiczny dystans wobec ich impertynencji, czyż nie mówiły wystarczająco wiele o jego charakterze? Czy przez cały okres naszej znajomości nie towarzyszyło mi silne przeświadczenie, że ten człowiek obok mnie naprawdę tym człowiekiem jest? Zrozumiałem wówczas, dlaczego rozmowa nie zawsze jest konieczna, gdy ludzie szukają się, odnajdują i poznają swoje serca. Dlaczego niektórzy poeci przez całe życie poszukiwali kogoś, kto jedynie mógłby w milczeniu kroczyć obok nich, razem z nimi podziwiając piękno natury? Nie miałem wątpliwości, że ten człowiek, bez słowa idący bok mnie i równie cicho pracujący przy biurku naprzeciwno – mimo że nie potrafię dokładnie określić czego – nauczył mnie o wiele więcej, niż mógłby to zrobić ktoś, kto dawałby mi lekcje przez całe lata.

Czułem, że on też zadowolony jest z naszej przyjaźni. Nic nie zostało z rezerwy i nieśmiałości, jakie okazywał wobec całego świata, a które i ja odczułem przy naszym pierwszym spotkaniu. Jedynie czasem nagle stawał się nieuprzejmy, oczy kurczyły się i traciły cały swój wyraz, a gdy się do niego zwracano, odpowiadał spokojnie, lecz tonem niedopuszczającym jakiegokolwiek bliskości. W takich chwilach zaniedbywał też pracę, często odkładał pióro i godzinami wpatrywał się w leżące przed nim papiery. Rozumiałem, że błądzi wówczas myślami daleko, poza wszelką przestrzeń i czasem, dokąd nie dopuści nikogo z zewnątrz. Nie podjąłem nawet jednej próby, aby się tam dostać. Budziło to wyłącznie mój niepokój, zauważyłem bowiem, że takie dni poprzedzają przeważnie jego następną chorobę. Wszystko wyjaśniło się bardzo szybko, lecz w bardzo dramatycznych okolicznościach. Ale po kolei.

W połowie lutego Raif Efendi znowu nie przyszedł do pracy. Gdy pod wieczór wstąpiłem do jego domu, drzwi otworzyła mi jego Mihriye Hanım:

– Proszę, to pan? Niedawno usnął... Jeśli pan chce, mogę go obudzić!

– Nie, proszę go nie niepokoić... Jak się czuje?

Przeszliśmy do pokoju gościnnego.

– Ma gorączkę. Tym razem mówi też coś o ostrym bólu! – odpowiedziała, po czym dodała ze skargą: – Ech, synku, w ogóle o sobie nie dba... Nie jest przecież dzieckiem... Nagle denerwuje się, bez powodu... Nie wiem, co się dzieje... Nie odezwie się do człowieka choćby słowem... Łazi gdzieś... A potem tak to się kończy...

Tymczasem z pokoju obok rozległ się głos Raifa Efendiego. Kobieta szybko pobiegła do niego. Nie mogłem wyjść ze zdumienia. Czy kogoś, kto tak jak on chuchał na swoje zdrowie, nakładał na siebie warstwy wełnianych podkoszulków i szalików, nie wiedząc, co jeszcze mógłby zrobić, byle tylko uchronić się przed chorobą, można było posądzić o jakąkolwiek nieostrożność?

Mihriye Hanım wróciła do pokoju.

– Obudził go dzwonek do drzwi. Proszę do niego iść!

Tym razem zastałem Raifa Efendiego w gorszej formie niż zwykle. Był blady jak ściana, miał przyspieszony oddech. Jego normalny, dziecięcy uśmiech przypominał dzisiaj raczej męczący mięśnie twarzy grymas. Także oczy, schowane za szkłem okularów, wydawały się bardziej zapadnięte.

– Raifie Efendi, co się dzieje? Niech pan szybko do nas wraca!

– Dziękuję.

Miał lekko zachrypnięty głos. Gdy kaszłał, z jego drżącej piersi wydobywało się rżenie.

– Jak się pan doprowadził do takiego stanu? – spytałem, by natychmiast zaspokoić ciekawość. – To wygląda na poważne przeziębienie.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w białą pościel. Mały żelazny piecyk, wciśnięty między łóżka żony i dzieci, sprawił, że w pokoju było trochę za gorąco. A jednak wyglądało na to, że leżącemu jest zimno. Podciągnął kołdrę aż po samo gardło i odpowiedział:

– Tak, chyba mnie trochę przewiało. Wczoraj po kolacji wyszedłem na miasto...

– Miał pan coś do załatwienia?

– Nie, chciałem się po prostu przejść. Czy ja wiem, to chyba z nudów...

Zdziwiło mnie takie wyznanie z jego strony.

– Widocznie przesadziłem z tym spacerem... Poszedłem w stronę Instytutów Rolniczych... Doszedłem aż do ulicy wznoszącej się na Keçiören... Szedłem zbyt szybko czy co... Zrobiło mi się gorąco... Rozpiąłem płaszcz... Wiało... W dodatku padał drobny śnieg... Musiałem przemarznąć...

Wielogodzinna przechadzka po pustych ulicach w wietrzną, śnieżną noc, w rozpiętym płaszczu... Nie było to zachowanie, którego można by się po nim spodziewać.

– Coś się stało?

– Ależ nie, czasem tak mam, że najdzie mnie ochota na samotny spacer po nocy... Kto wie, może to zgiełk domu tak na mnie wpływa... – Po czym,

jakby nie chciał powiedzieć za dużo, dodał naprędce: – Człowiek robi się już chyba taki na starość. Dzieci, rodzina nie mają tu nic do rzeczy!

Za drzwiami znów zaczęło się jakieś zamieszanie. To Neclâ wróciła ze szkoły. Weszła do pokoju, aby przywitać się z ojcem.

– Jak się czujesz, tatusiu? – spytała, całując go w policzki.

Następnie odwróciła się do mnie i poskarżyła się, ściskając mnie za rękę:

– Ciągle to samo, proszę pana... Co jakiś czas wpadnie mu coś do głowy i wychodzi „na trochę do kawiarni”, po drodze albo na miejscu marznie – i proszę, choroba gotowa! Kolejny raz... Nie wiem, co go tak ciągnie do tej kawiarni!

Ściągnęła palto, rzuciła je na krzesło i od razu wyszła z pokoju. Raif Efendi przywykł już chyba do takiego zachowania, bo nie zwrócił na nie większej uwagi.

Spojrzałem mu w twarz. On też patrzył na mnie, bez najmniejszych oznak zakłopotania czy usprawiedliwienia. Nie interesowało mnie, dlaczego okłamywał w ten sposób swoją rodzinę; byłem raczej ciekaw powodów jego szczerości wobec mnie. Odczuwałem swoistą dumę: dumę kogoś, kto stał się dla drugiego człowieka kimś bliższym niż pozostali.

Po skończonej wizycie wyszedłem i skierowałem się w stronę domu, pogrążony w rozmyślaniach. Zastanawiało mnie, czy Raif Efendi rzeczywiście nie jest banalnym i pustym człowiekiem. Było oczywiste, że nie posiadał w życiu żadnego celu, żadnej pasji, że nie interesowali go inni ludzie, nawet najbliżsi... Co chciał przez to osiągnąć? Czy to właśnie nie ta wewnętrzna pustka i bezcelowość jego życia kazały mu się błąkać nocą po mieście?

Nagle zdałem sobie sprawę, że doszedłem do swojego hotelu. Wynajmowałem w nim z kolegą niewielki pokój, z trudem mieszczący dwa łóżka. Mijała ósma. Jako że nie byłem głodny, chciałem od razu pójść do siebie i trochę poczytać. Szybko jednak zmieniłem zdanie: gramofon w kawiarni na dolnym piętrze budynku o tej właśnie porze grał tak głośno, jak tylko pozwalały na to jego możliwości, a mieszkająca po sąsiedzku

syryjska artystka, strojąc się do pracy, śpiewała najbardziej przejmujące arabskie piosenki. Zawróciłem i skierowałem się w stronę dzielnicy Keçiören. Najpierw minąłem warsztaty samochodowe i niskie, drewniane kawiarnie znajdujące się po obu stronach zabłoconej, asfaltowej drogi. Potem po prawej zobaczyłem wspinające się na wzgórze domy, a po lewej położone nieco w dole ogrody z огоłconymi z liści drzewami. Postawiłem kołnierz płaszcz. Wiał wilgotny, gwałtowny wiatr. Narastało we mnie przemożne pragnienie, by iść, a nawet biec, które odczuwałem tylko wtedy, gdy byłem pijany. Sądziłem, że mogę chodzić tak przez wiele godzin, całymi dniami. Uszedłem dość spory kawałek, zapominając zupełnie o obserwowaniu okolicy. Wiatr przybierał na sile. Szedłem dalej, pokonując opór jakiejś niewidzialnej dłoni, która starała się mnie odepchnąć w przeciwnym kierunku. Walka z tą siłą i to ciągle posuwanie się naprzód sprawiały mi dużą satysfakcję.

Nagle przemknęło mi przez myśl jedno pytanie: Czemu właściwie tutaj przyszedłem? Ot tak... Bez powodu... Tak po prostu, zupełnie przypadkowo. Drzewa po obu stronach ulicy huczały, a chmury szybko przesuwały się z wiatrem po niebie. Czarne wzgórza przede mną nie do końca jeszcze pograżyły się w ciemności. Obłoki, przepływając nad nimi, zdawały się czepiać skał. Wciąż szedłem przed siebie z przymkniętymi oczami, wdychając wilgotne powietrze. Pytanie, które przed chwilą zignorowałem, ponownie zarysowało się w mojej głowie: Dlaczego tutaj przyszedłem? Wiatr wiał zupełnie tak jak wczoraj, za chwilę mógł zacząć padać śnieg... Poprzedniego wieczoru szedł tędy szybkim krokiem ktoś inny – w zaparowanych okularach, z kapeluszem w ręku, w rozpiętym płaszczu... Wiatr owiewał jego krótkie, rzadkie włosy, przynosząc z zewnątrz orzeźwienie tej – kto wie jak bardzo – rozpalonej głowie. Ale co się działo wewnątrz niej? Co kazało jej przywlec aż tutaj to schorowane, stare ciało? Usiłowałem sobie wyobrazić, co wyrażała twarz Raifa Efendiego, gdy szedł tędy wczoraj w taką ciemną, mroźną noc. Wiedziałem już, co mnie tutaj przywiodło: nadzieja, że w tym miejscu zdołam lepiej

zrozumieć to, co zachodzi w jego sercu. Ale prócz wiatru usiłującego zerwać mi z głowy kapelusz, szumiących drzew i chmur, które pędząc po niebie, przybierały coraz to nowe kształty, nie dostrzegałem niczego więcej. Przeżyć coś w tym samym miejscu co on nie oznaczało wcale, że przeżyje się to tak samo jak on... Żeby tak pomyśleć, trzeba było być bardzo naiwnym i tak roztrzepanym jak ja.

Pośpiesznie wróciłem do hotelu. Nie było już słyhać gramofonu ani syryjskiej piosenkarki. Mój współlokator leżał na łóżku i czytał książkę. Spojrzał na mnie kątem oka.

– I jak tam, zabawieś się? – spytał.

Jak bardzo ludzie mylą się, sądząc, że rozumieją siebie nawzajem... Nawet ja, bez większego namysłu, chciałem przejrzeć wnętrze drugiego człowieka i odkryć w nim pospolitego lub wzniosłego ducha. Nie wziąłem pod uwagę, że najbardziej godny współczucia, najprostszy, a nawet najgłupszy na świecie człowiek posiada tak niezwykle i tak bogate wnętrze, że nie może ono nie wzbudzić naszego największego zdziwienia! Dlaczego nie chcemy tego dostrzec, uważając osąd i zrozumienie tej istoty za jedną z najprostszych rzeczy pod słońcem? Dlaczego jesteśmy tak ostrożni, gdy przyjdzie nam określić gatunek sera, który próbujemy po raz pierwszy, a nie mamy skrupułów, by z miejsca osądzić nowo poznanego człowieka, uważając przy tym naszą opinię na jego temat za ostateczną i z czystym sumieniem przechodząc nad nią do porządku?

Długo nie mogłem zasnąć. Raif Efendi leżał teraz pewnie w gorączce, pod białą kołdrą w dusznym pokoju, obok córek i strudzonej małżonki. Miał zamknięte oczy i któż mógłby odgadnąć, gdzie błądziły jego myśli?

Tym razem choroba Raifa Efendiego rzeczywiście się przedłużyła. Nie przypominała zwykłego przeziębienia. Stary doktor, sprowadzony przez Nurettina Beya, zalecił okłady z gorzycy i przepisał lekarstwo na kaszel. Zachodziłem tam co drugi, trzeci dzień i za każdym razem zastawałem Raifa Efendiego coraz bardziej osłabionego. On sam był jednak spokojny

i zdawał się nie przejmować zbyt swoj ą chorob ą. Nie chciał mo że jeszcze bardziej martwi ć domownik ów. Bo rzeczywi ście, stan Mihriye Hanım i Necli mógł dawa ć powody do niepokoju. Kobieta, która od wieloletniego kieratu niemal odwykła od my ślenia, wchodziła zagubiona do m ęża, by wykona ć zalecony okład. R ęczniki i talerz leciały jej przy tym z r ąk, zapominała czegoś przynie ść i nieustannie tego szukała. Do dziś pamiętam, jak biegała po całym domu w swoich wykrzywionych pantoflach włożonych na gołe stopy, i wciąż czuję na sobie jej spojrzenie, które zdawało się szuka ć pomocy u każdego, kto stanął na jej drodze. Neclâ, mimo że trzymała się lepiej od matki, również bardzo to przeżywała. Ostatnimi dniami nie chodziła nawet do szkoły i cały czas czuwała przy ojcu. Gdy pod wieczór przychodziłem dowiedzie ć się o jego zdrowie, oczy dziewczyny były opuchnięte i zaczerwienione od płaczu. Lecz wszystko to jedynie jeszcze bardziej drażniło chorego. Kiedyś, jak zostaliśmy sami, poskarżył mi się nawet z tego powodu:

– Co się z nimi wszystkimi dzieje? Jakby już szykowali się na mój pogrzeb. A nawet jeśli, wielka mi rzecz... Co im do tego? Kim takim niby dla nich jestem? – Po czym dodał bardziej gorzkim i okrutnym tonem: – Nikim... Zawsze tak było... Tyle lat mieszkaliśmy pod jednym dachem... Nigdy nie zainteresowali się, co to za człowiek... A teraz nagle boją się, że ich zostawię...

– Raifîe Beyu! Co pan wygaduje, na litość boską?! To prawda, mo że rzeczywi ście trochę przesadzają, ale mówiąc tak, jest pan bardzo niesprawiedliwy... Pańska żona! Pańska córka!

– Tak, żona i córka... Ale tylko one...

Odwrócił się. Nie zrozumiałem czegoś z jego ostatnich słów i nie miałem śmiałości ciągnąć dalej.

Aby uspokoić rodzinę, Nurettin Bey wezwał lekarza internistę. Po długim badaniu rozpoznał on zapalenie płuc. Zauważywszy, że jego diagnoza wywołała poruszenie, dodał:

– Ale spokojnie, wbrew pozorom to nic groźnego! Na szczęście organizm

ma silny, serce mocne, wyjdzie z tego. Musi tylko na siebie uważać, unikać przeziębień... Nie zaszkodziłoby też położyć go do szpitala!

Mihriye Hanım na wzmiankę o szpitalu całkowicie się rozkleiła. Osunęła się na jedno z krzeseł stojących w holu i zaczęła lamentować. Nurettin Bey też nie pozostał obojętny – poczuł się chyba dotknięty tą propozycją, bo marszcząc twarz, powiedział:

– Ale po co? Gdzie zaopiekują się nim lepiej niż w domu?

Doktor jedynie wzruszył ramionami i wyszedł.

Raif Efendi początkowo nawet chciał iść do szpitala: „Przynajmniej tam trochę od nich odpocznę”. Było widać, że potrzebuje nieco samotności. Nie zaprotestował jednak na tak gwałtowną reakcję bliskich.

– Zresztą nawet i tam nie zostawiliby mnie w spokoju! – wymamrotał pod nosem, z uśmiechem wyrażającym rezygnację.

Pewnego razu, w piątek wieczorem, pamiętam jak dziś, siedziałem przy nim, w milczeniu wsłuchując się w jego chrapliwy oddech. W pokoju nie było nikogo oprócz nas. Duży kieszonkowy zegarek, leżący na szafce nocnej wśród buteleczek z lekarstwami, napełniał pokój metalicznym dźwiękiem.

– Dziś czuję się trochę lepiej – powiedział, otwierając zapadłe oczy.

– Oczywiście... Przecież nie mogło się to ciągnąć w nieskończoność...

Wówczas, niemal zbolalym tonem, spytał:

– No dobrze, ale jak długo to jeszcze potrwa?

Przestraszyłem się, zrozumiałwszy prawdziwy sens jego pytania. Znużenie obecne w jego głosie bardzo wyraźnie wskazywało, o co mu chodzi.

– Raifie Efendi, co pan znowu...

Spoglądając mi w oczy, spytał z naciskiem:

– No dobrze, ale po co to dalej ciągnąć? Czy już nie dosyć?

Właśnie wtedy do pokoju weszła Mihriye Hanım. Zbliżając się do mnie, powiedziała:

– Dzięki Bogu, dziś nieco lepiej! Miejmy nadzieję, że wylizaliśmy się i tym razem. – Potem odwróciła się do męża. – W niedzielę robimy pranie...

Poprosiłbyś pana, żeby przyniósł z pracy twój ręcznik!

Raif Efendi kiwnął głową na znak potwierdzenia. Kobieta wzięła coś z szafy i odeszła. Ta choćby niewielka poprawa u chorego sprawiła, że cały jej niepokój i zdenerwowanie minęły jak ręką odjął. Po dawnemu pochłaniały ją już tylko domowe bolączki, gotowanie i pranie. Jak wszystkie proste kobiety naturalnie przechodziła od smutku do radości, od wzburzenia do spokoju ducha i szybko zapominała o niedawnych problemach. W spojrzeniu Raifa Efendiego dało się zauważyć pełen smutku, szczery uśmiech. Wskazał głową marynarkę wiszącą na ramie w nogach łóżka.

– W prawej kieszeni powinien być klucz do mojego biurka. Przynieś, proszę, ten ręcznik, o którym wspomniała żona, jest w górnej szufladzie. Wybacz, że cię fatyguję, ale...

– Przyniosę jutro wieczorem!

Przez dłuższą chwilę w milczeniu wpatrywał się w sufit. Nagle spojrzał na mnie.

– Przynieś wszystko, co w niej znajdziesz – powiedział. – Co znajdziesz... Żona też chyba wyczuła już, że więcej nie pójdę do pracy... Na mnie czeka już zupełnie inne miejsce... – dodał, a głowa ponownie opadła mu na poduszkę.

Następnego dnia pod wieczór, przed wyjściem z firmy, podszedłem do biurka Raifa Efendiego. Po prawej stronie miało ono trzy szuflady. Najpierw otworzyłem dwie dolne: jedna była całkowicie pusta, w drugiej znalazłem jakieś papiery i brudnopisy tłumaczeń. Gdy miałem wkładać klucz do ostatniej, przebiegły mi dreszcze po plecach: dopiero teraz zorientowałem się, że siedzę na krześle od lat zajmowanym przez Raifa Efendiego i robię dokładnie to, co on sam robił po kilka razy w ciągu każdego dnia. Pośpieszenie otworzyłem najwyższą szufladę. Na pierwszy rzut oka i ta wyglądała na pustą. Tylko w jednym kącie leżały dość brudny ręcznik, kawałek mydła owinięty w gazetę, manierka, widelec i scyzoryk z korkociągiem Singera. Szybko zawinałem to wszystko w papier

i zasunąłem szufladę. Gdy wstałem, przyszło mi na myśl, że może jeszcze coś przeoczyłem. Otworzyłem ją ponownie i zbadałem ręką jej wnętrze. Rzeczywiście, w głębi wyczułem coś jakby zeszyt. Schowałem go razem z pozostałymi rzeczami i wypadłem z biura. Gdy tam siedziałem, nie opuszczała mnie myśl, że być może Raif Efendi nie usiądzie więcej za biurkiem i nie zajrzy już do tej szuflady.

W domu znów przywitała mnie nerwowa krzątanka. Neclâ, która otworzyła drzwi, na mój widok pokiwała tylko głową, dając tym samym do zrozumienia: „Niech pan nawet nie pyta!”. Stałem się już niemal jednym z członków tej rodziny, bo traktowano mnie tam jak swojego.

– Tata znowu poczuł się gorzej. Dzisiaj zasłabł już dwa razy. Bardzo nas wystraszył. Wujek sprowadził lekarza, jest teraz u niego... Robi zastrzyk...
– opowiedziała i pośpiesznie wróciła do pokoju ojca.

Nie wszedłem dalej. Usiadłem na krześle w holu i położyłem na kolanach owiniętą w papier paczkę. Mimo że Mihriye Hanım kilka razy wyszła od chorego, wstydzilem się przekazać jej to żalosne zawiniątko. Oddać jej teraz ten brudny ręcznik i stary widelec, podczas gdy za ścianą człowiek walczy o życie, wydawało mi się czymś niesłychanie absurdalnym. Poza tym sądziłem, że nie mam prawa okazywać więcej przywiązania i żalu niż jego najbliższa rodzina. Podniosłem się i zacząłem chodzić dookoła stołu. Zdziwiłem się, zobaczywszy swoje odbicie w ustawionym na kredensie lustrze: byłem blady jak płótno, serce waliło mi jak młotem. Zmaganie każdego człowieka, który stoi na wielkim moście między życiem a śmiercią, ostatecznie zawsze jest czymś strasznym.

Tymczasem moją uwagę przyciągnęły uchylone drzwi do pokoju gościnnego. Gdy podszedłem bliżej, zobaczyłem, jak Cihat i Vedat siedzą obok siebie na sofie i palą papierosy. Widać było, że strasznie się nudzą, źli, że nie mogą teraz wyjść sobie z domu. Nurten siedziała na fotelu, podpierając głowę ręką, najwyraźniej spała lub płakała. Trochę z boku jej ciotka Ferhunde starała się uciszyć dzieci, które siedziały na jej kolanach. Każdy ruch Ferhunde i każde słowo świadczyły o tym, jak bardzo nie ma

w tym wprawy.

Z pokoju chorego wyszedł lekarz. Towarzyszył mu Nurettin Bey, który mimo całej swojej obojętności wydawał się znudzony.

– Niech cały czas ktoś przy nim czuwa, a jak znów dostanie gorączki, zróbcie kolejny zastrzyk.

– Czy to groźne? – spytał Nurettin Bey, marszcząc brwi.

Lekarz odpowiedział tak, jak to robią w podobnych sytuacjach wszyscy jego koledzy po fachu:

– Nie można niczego wykluczyć!

I żeby uniknąć kolejnych pytań, szczególnie od żony pacjenta, pośpiesznie zarzucił na siebie palto i kapelusz. Wyszedł, krzywiąc się, odebrawszy od Nurettina Beya przygotowane zawczasu trzy srebrne liry.

Odważyłem się zajrzeć do środka. Mihriye Hanım i Neclâ troskliwie przyglądały się leżącemu w łóżku choremu. Raif Efendi miał zamknięte oczy. Dziewczyna zauważyła mnie i gestem zaprosiła do środka. Chciały zobaczyć, jakie wrażenie zrobi na mnie jego stan. Wyczułem to i ze wszystkich sił starałem się robić dobrą minę do złej gry. Lekko skinąłem głową, jakby uspokojony tym, co zastałem. Następnie odwróciłem się do kobiet, które siedziały, niemal stykając się głowami, po mojej lewej stronie, i powiedziałem z wymuszonym uśmiechem:

– Wygląda na to, że nie ma się czego obawiać... Da Bóg, że wyzdrowieje!

Raif Efendi uchylił powieki i przez chwilę patrzył na mnie nieprzytomnie. Z wysiłkiem odwrócił się w kierunku żony i córki. Wszeptał kilka niezrozumiałych słów i z grymasem na twarzy wykonał jakiś nieokreślony gest.

Neclâ podeszła do ojca.

– Potrzeba ci czegoś, tatusiu?

– Zostawcie mnie na trochę samego... – Powiedział to bardzo słabym, urywanym głosem.

Mihriye Hanım dała nam znak do odejścia. Zauważywszy to, mężczyzna wyciągnął rękę spod kołdry i przytrzymał mnie za nadgarstek.

– Ty zostań!

Trochę je to chyba zdziwiło.

– Tatku, nie odkrywaj się – powiedziała z wyrzutem Neclâ.

Raif Efendi szybko pokiwał głową, jakby chciał tym powiedzieć: „Dobrze, dobrze!”, i ponownie pokazał, by opuściły pokój.

W końcu spełniły jego prośbę, posyłając mi na odchodnym pytające spojrzenia.

Gdy zostaliśmy sami, Raif Efendi skinął na zawiniątko w moim ręku, o którym zdążyłem już całkowicie zapomnieć.

– Przyniosłeś wszystko?

Z początku nie rozumiałem, o co mu chodzi. Tyle zachodu tylko po to, by spytać o te drobiazgi? Chory nie spuszczał ze mnie wzroku. Oczy błyszczały mu, jakby ożywiane wielką troską.

Wówczas po raz pierwszy pomyślałem o zeszycie w czarnej okładce. Ani razu do niego nie zajrzałem, nie zainteresowałem się jego zawartością. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że ten zeszyt może być dla niego tak ważny.

Pośpiesznie rozwinąłem paczkę. Ręcznik i pozostałe przedmioty położyłem na krześle przy drzwiach. Następnie wyciągnąłem zeszyt i pokazałem go Raifowi Efendiemu.

– Czy o to panu chodziło?

Przytaknął skinieniem głowy.

Powoli przekartkowałem brulion. Czułem, jak coraz bardziej narasta we mnie niepohamowana ciekawość. Był to zwykły szkolny zeszyt w linie, zapisany dużymi, niestarannymi literami, wyraźnie wskazującymi na pośpiech. Rzuciłem okiem na pierwszą stronę, nie było na niej żadnego nagłówka ani tytułu. Jedynie po prawej stronie widniała data: „20 czerwca 1933”, a pod nią od razu te słowa: „Wczoraj przydarzyło mi się coś dziwnego i na nowo ożywiło pamięć o zdarzeniach sprzed dziesięciu lat...” – nie zdołałem przeczytać dalej, bo Raif Efendi znów wyciągnął rękę spod przykrycia i złapał mnie za ramię.

– Nie czytaj tego! – Wskazując głową przeciwległy kąt pokoju, dodał szeptem: – Wrzuć to tam!

Podążając za jego spojrzeniem, zobaczyłem rozgrzany do czerwoności żelazny piecyk.

– Do pieca?

– Tak!

W tym momencie moja ciekawość sięgnęła zenitu. Nie mieściło mi się w głowie, że mógłbym zniszczyć dziennik Raifa Efendiego własnymi rękami.

– Raifie Beyu! Czy panu nie szkoda? Czy można ot tak, bez powodu wrzucać w ogień zeszyt, do którego przez tyle lat przywiązał się pan jak do najlepszego przyjaciela?

– Nie będzie potrzebny! – powiedział, ponownie kiwając głową w stronę pieca. – Już nie będzie potrzebny!

Zrozumiałem, że niełatwo będzie odwieść go od tej decyzji. Niewykluczone, że przelał w ten zeszyt całą swoją duszę, wszystko to, co tak zazdrośnie skrywał przed innymi. I teraz chciał odejść razem z nim.

Ten człowiek, który nie chciał zostawiać na ziemi żadnej części siebie i który idąc ku śmierci, zamierzał zabrać swoją samotność do grobu, budził we mnie bezgraniczną litość i podsycił ciekawość co do dziejów jego życia.

– Rozumiem pana, Raifie Beyu! Tak, doskonale pana rozumiem. Ma pan rację, nie chcąc dzielić się sobą z innymi. Ma pan nawet rację, że chce go spalić... Ale czy nie mógłby pan odłożyć tego na jakiś czas, przynajmniej o jeden dzień?

Spojrzał na mnie pytająco.

Aby dokończyć to, co zacząłem, i spróbować ostatniej szansy, przysunąłem się do niego jeszcze bliżej i starałem się skupić w swoich oczach całe przywiązanie i sympatię, jakie do niego czułem:

– Nie powierzyłby mi pan tego zeszytu na jedną noc, tylko na tę jedną noc? Tak długo się przyjaźniliśmy, a nic mi pan o sobie nie opowiedział... Czy dziwi pana, że chciałbym dowiedzieć się o nim czegoś więcej? Czy

naprawdę uważa pan za konieczne ukrywać się tak bardzo również wobec mnie? Jest pan dla mnie najdroższą osobą na świecie... A mimo to chce mnie pan teraz tak zostawić i odejść, dając do zrozumienia, że jestem w pańskich oczach nikim, jak wszyscy pozostali ludzie...

Stanęły mi łzy w oczach. Wzruszony mówiłem dalej, jakbym w tej właśnie chwili wyrzucał z siebie wszystkie żale, jakie zebrały się w moim sercu wobec tego człowieka, który od miesiący nie pozwalał, bym się do niego zbliżył jeszcze bardziej.

– Może i ma pan rację, nie ufając ludziom. Ale czy nie ma wśród nich wyjątków? Czy to naprawdę niemożliwe? Proszę pamiętać, że pan też jest przecież człowiekiem, jednym z nas... A poza tym to, co pan chce zrobić, to nic innego jak czysty egoizm!

Nagle zdałem sobie sprawę, że nie powinienem mówić takich rzeczy człowiekowi na łożu śmierci, i zamilkłem. On też milczał. Po chwili przystąpiłem do ostatniej próby.

– Raif Beyu, niech pan zrozumie i mnie! Ja jestem dopiero na początku tej drogi, z której pan już ustępuje. Chciałbym lepiej poznać ludzi, a przynajmniej dowiedzieć się, co takiego panu zrobili...

Przerwał mi gwałtownym ruchem głowy. Powiedział coś cichym, słabym głosem. Nachyliłem się tak blisko, że czułem jego oddech na twarzy.

– Nie, nie, to nie tak! – powiedział. – Ludzie nic mi nie zrobili... Nic... Wszystko ja... Ciągle ja...

Nagle urwał, głowa opadła mu na pierś. Oddychał teraz jeszcze szybciej. Scena ta najwyraźniej bardzo go wymęczyła, podobnie zresztą jak i mnie. Byłem emocjonalnie wyczerpany i chciałem wrzucić już ten zeszyt do pieca, by jak najszybciej stąd odejść. Ale Raif Efendi ponownie otworzył oczy.

– Nie ma tu niczyjej winy... Nawet mojej! – Nie mógł mówić dalej. Kaszłał. W końcu spojrział na zeszyt. – Przeczytaj, sam zobaczysz!

Jakbym tylko na to czekał, pośpiesznie wsunąłem go do kieszeni.

– Jutro rano przyniosę z powrotem, spalę go na pańskich oczach!

Chory, bez śladu niedawnej drażliwości, wzruszył tylko ramionami,

jakby mówiąc: „Rób, jak chcesz!”.

Zrozumiałem, że zubożał już nawet na ten zeszyt, który najwidoczniej zawierał w sobie najbardziej doniosłe chwile z jego życia. Pocałowałem go w rękę i przyłożyłem ją do swojego czoła w geście pożegnania. Gdy chciałem się wyprostować, zatrzymał mnie, przyciągnął do siebie i ucałował moje czoło i policzki. Zauważyłem, że łzy płyną mu z oczu, ściekając aż na skronie. Raif Efendi nie zrobił nic, aby je otrzeć lub ukryć przede mną – patrzył mi prosto w twarz. Nie mogłem się powstrzymać i również zacząłem płakać: był to płacz największego, najbardziej autentycznego smutku, cichy i spokojny. Spodziewałem się, że nasze rozstanie będzie trudne. Nie sądziłem jednak, że będzie również tak bardzo gorzkie.

Raif Efendi znów poruszył ustami.

– Nigdy sobie, synku, tak szczerze nie porozmawialiśmy... Szkoda! – powiedział ledwo dosłyszalnym głosem i ponownie zamknął oczy.

I tak się pożegnaliśmy... Nie chciałem, żeby czekające pod drzwiami kobiety zobaczyły mnie teraz w tym stanie, szybkim krokiem przeciąłem więc hol i wypadłem na ulicę. Po drodze do domu chłodny wiatr osuszył łzy z moich policzków. Ciągle powtarzałem sobie to jedno słowo: „Szkoda! Szkoda! Szkoda!”.

Gdy wróciłem do hotelu, mój współlokator już spał. Wszedłem do łóżka, zapaliłem nocną lampkę i nie tracąc ani chwili, zacząłem czytać zeszyt Raifa Efendiego, zwykły szkolny brulion w czarnej okładce.

20 czerwca 1933

Wczoraj przydarzyło mi się coś dziwnego i na nowo ożywiło pamięć o zdarzeniach sprzed dziesięciu lat. Wiem już, że wspomnienia, które uważałem za bezpowrotnie stracone, po wczorajszym spotkaniu już nigdy mnie nie opuszczą... Co za przewrotny los postawił je wczoraj na mej drodze, wyrywając mnie tym samym z głębokiego snu, w jakim byłem

pogrążony od tylu lat, i z apatii, do której też już powoli przywykłem. Skłamię, jeśli powiem, że umrę lub oszaleję z tego powodu. Człowiek bardzo szybko przyzwyczaja się i znosi rzeczy, o których sądził, że będą ponad jego siły. I ja będę żył więc dalej... Ale jakie to będzie życie! Jak nieznośną udręką będzie ono po tym wszystkim! Lecz ścierpię i to... Tak, jak to robiłem do tej pory...

Tylko jednego już nie zniosę: dalszego duszenia tego w sobie, we wnętrzu głowy. Zwierzyć się, opowiedzieć o tak wielu rzeczach, o wszystkim... Ale komu? Ciekawe, czy jest jeszcze na tym wielkim świecie drugi człowiek równie samotny jak ja? Co mógłbym opowiedzieć, komu? Nie pamiętam, żebym rozmawiał z kimś naprawdę od dziesięciu lat. Niepotrzebnie od wszystkich uciekłem, zupełnie na darmo oddaliłem od siebie wszystkich ludzi; ale czy po tym wszystkim mogłem zachować się inaczej? Już niczego nie da się zmienić... Nie ma nawet takiej potrzeby. Widocznie tak miało być. Gdybym tylko miał komu... Otworzyć serce, choćby przed jednym człowiekiem... Nawet jeśli rzeczywiście bym tego chciał, to nie znajdę już takiej osoby... Nie mam na to siły... Jakbym miał, to też bym pewnie nie szukał... Czy to nie dlatego kupiłem ten zeszyt? Gdybym miał choć cień nadziei, to czy zabierałbym się, mimo że tak tego nie znoszę, do tej całej pisaniny? Człowiek widocznie musi wszystko z siebie jakoś wyrzucić... Gdyby nie ten wczorajszy dzień... Ach, gdybym wczoraj się o wszystkim nie dowiedział... Teraz moje dawne, może nawet i spokojne życie trwałoby dalej...

Spotkałem wczoraj przypadkowo na ulicy dwie osoby. Jedną z nich widziałem na oczy po raz pierwszy, drugą uważałem z kolei za jednego z najbardziej odległych mi ludzi. Czy mógłbym się spodziewać, że zostawią w moim życiu taki trwały ślad?

Skoro już raz zdecydowałem się pisać, to powinienem opowiedzieć wszystko, spokojnie i po kolei, niczego nie ukrywając... Muszę się więc cofnąć o kilka czy nawet o dziesięć, dwanaście lat... A może i o piętnaście... Możliwe, że wśród nieistotnych szczegółów uda mi się utopić rzeczy

prawdziwie straszne i uwolnić się przez to spod ich władzy. Może, ubrane w słowa, okażą się mniej bolesne niż w rzeczywistości, i zrobi mi się przez to choć trochę lżej na sercu. Gdy zobaczę, że wszystko jest bardziej banalne i proste, niż mi się zdawało, zawstydzę się swojego obecnego stanu... Może...

Mój ojciec pochodził z Havranu. Tam urodziłem się i wyrosłem. Ukończyłem podstawówkę, a potem kontynuowałem edukację w szkole średniej, w oddalonym od nas o godzinę drogi Edremicie. Pod koniec Wielkiej Wojny – miałem wtedy dziewiętnaście lat – powołano mnie do wojska. Nie zdążyłem trafić na front, kiedy ogłoszono zawieszenie broni. Wróciłem do swojego miasteczka. Podjąłem naukę w liceum, ale ostatecznie nie zdołałem go ukończyć. Prawdę mówiąc, nigdy nie miałem zacięcia do nauki, a wydarzenia ostatniego roku i pogmatwana sytuacja w naszej okolicy już zupełnie mnie do niej zniechęciły.

Po rozejmie wszystko u nas trzeszczało w szwach, brakowało zarówno stabilnego rządu, jak i konkretnej myśli przewodniej czy celu. Część kraju była okupowana przez obce wojska. Pojawiło się całe mnóstwo partyzantów, którzy działali pod różnymi imionami, to stawiając czoło wrogowi, to łupiąc miejscowych chłopów. Bywało, że imię jakiegoś herszta jednego dnia przekazywano sobie z ust do ust jako imię bohatera, a już po tygodniu pojawiało się w obwieszczeniu informującym, że noszący je człowiek został przykładnie powieszony na centralnym placu w Edremicie. Ciężko było więc w takich czasach siedzieć zamkniętym w czterech ścianach nad historią Imperium Osmańskiego czy umoralniającymi przypowiestkami. Lecz ojciec, który zaliczał się do najlepiej sytuowanych ludzi w naszych stronach, nie wiedzieć czemu za punkt honoru postawił sobie moją edukację. Większość moich rówieśników, obwiesiwszy się ładownicami, zarzucała mauzery na plecy i wstępowała w szeregi partyzantki. Część z nich poległa z ręki wroga, a część została zabita przez pospolitych bandytów. Ojciec, widząc to, zaczął się obawiać, że i ja pójdę w ich ślady. Rzeczywiście nie chciałem siedzieć beczynn timer i po kryjomu

przygotowywałem się do walki. Ale właśnie wtedy siły okupacyjne weszły do naszej miejscowości i moje bohaterskie zapędy zostały zduszone w zarodku.

Przez kilka miesięcy nie wiedziałem, co mam z sobą zrobić. Większość moich przyjaciół zaginęła. Ojciec zdecydował w końcu wysłać mnie do Stambułu, choć sam nie wiedział, co miałbym tam dokładnie robić. Mimo że zawsze byłem mało zdolnym i dość nieśmiałym dzieckiem, powiedział do mnie: „Znajdź sobie jakąś szkołę, ucz się!”. Takie słowa w jego ustach były najlepszym dowodem na to, jak bardzo nie znał on własnego syna. Ale i ja miałem swoje ciche ambicje. W szkole zyskałem uznanie nauczycieli tylko z jednego przedmiotu: byłem mianowicie dość dobry z rysunku. Pojawiająca się co jakiś czas myśl o Akademii Sztuk Pięknych w Stambule wprawiała mnie w stan rozmarzenia. Od dziecka zresztą odnajdywałem się o wiele lepiej w świecie marzeń niż w rzeczywistości. Właściwa mojej naturze niezwykła, niemal ocierająca się o absurd nieśmiałość często była źródłem nieporozumień z moim najbliższym otoczeniem. To przez nią zostałem powszechnie uznany za głupca, co wówczas sprawiło mi oczywiście wielką przykrość. Nic nie przerażało mnie tak, jak konieczność prostowania sądów na swój temat. Mimo że to na mnie zawsze zwalano wybryki kolegów z klasy, nigdy nie zdobyłem się, by powiedzieć choć słowo w swojej obronie. A po powrocie do domu zaszywałem się w jakimś kącie i płakałem. Pamiętam, jak rodzice – szczególnie ojciec – mówili mi: „Co z ciebie za chłopak, powinienes raczej urodzić się dziewczyną!”. Najprzyjemniejsze były dla mnie chwile, gdy siedząc samotnie w ogrodzie lub nad brzegiem strumyka, swobodnie mogłem oddawać się marzeniom. Śmiałe i dalekosiężne, kontrastowały one z moim zachowaniem na co dzień. Zdarzało się, że – jak bohaterowie zagranicznych powieści – zamaskowany, z dwoma rewolwerami za pasem, wraz ze swą szajką słuchającą każdego mojego słowa, najeżdżałem okolicę i uprawiałem w góry, do swojej wspaniałej groty, dziewczynę z sąsiedniej dzielnicy, Fahriye, która budziła we mnie słodkie, niejasne pragnienia. Wyobrażałem

sobie, że najpierw się przestraszy i będzie próbowała się wyrywać. Potem zadziwi ją widok drżących przede mną ludzi i nieprzebranych bogactw zgromadzonych w jaskini i w końcu, gdy zdejmę maskę, ona z okrzykiem niepohamowanej radości rzuci mi się na szyję. Innym razem, niczym wielcy odkrywcy, podróżowałem po Afryce i przeżywałem niezwykle przygody wśród ludożerców albo byłem słynnym malarzem, który jeździ po Europie. Powieści Michela Zevaco, Juliusza Verne'a, Aleksandra Dumasa, Ahmeta Mithata Efendiego czy Vecihiego Beya, które wręcz pochłaniałem, na zawsze zostawiły po sobie ślad w mej pamięci.

Ojcu nie podobało się to, że tak dużo czytam. Czasem wyrzucał mi nawet książki albo zabraniał przynosić do mnie lampę na noc. Zrezygnował jednak z tych metod, gdy się zorientował, że zawsze znajduję jakiś sposób, by obejść jego zakazy, czytając *Tajemnice Paryża* czy *Nędzników* w świetle niewielkiej lampki naftowej. Czytałem wszystko, co tylko wpadło mi w ręce, i pod wpływem każdej mojej lektury – nieważne, czy były to *Przygody pana Lecoqa* czy *Historia powszechna* Murata Beya – pozostawałem przez długi czas.

U zarania dziejów Rzymu poseł Mucjusz Scewola negocjował z wrogiem warunki pokoju. Gdy nieprzyjaciel, próbując zmusić go do uległości, zagroził mu śmiercią, Rzymianin aż po łokieć wsunął rękę do palącego się obok ognia, dając do zrozumienia, że tego rodzaju groźby nie są w stanie go poruszyć. Przeczytawszy tę historię, zapragnąłem zrobić dokładnie to samo i sprawdzić, czy przejawiam podobny hart ducha. Skończyło się na ciężkim oparzeniu palców. Obraz tego człowieka, który wobec największego cierpienia był w stanie zachować uśmiech, nigdy mnie już nie opuścił. W pewnym momencie sam też chwyciłem za pióro i skreśliłem kilka drobnych wierszy. Szybko jednak zarzuciłem pisanie: uniemożliwiał mi je głęboko zakorzeniony absurdalny lęk przed wyrażeniem siebie w jakikolwiek sposób. Ale z rysunku nie rezygnowałem. Wydawało mi się, że nie wymaga on od twórcy, by włożył weń coś od siebie. Myślałem, że sprowadza się on do swoistego pośrednictwa, przelania na papier

wyłącznie tego, co się widzi. Gdy zrozumiałem później, że nie na tym to jednak do końca polega, porzuciłem także rysunek... Znów z powodu tego samego lęku...

Do tego, że grafika też jest jakimś sposobem wyrażenia siebie, doszedłem zupełnie sam, podczas studiów w Akademii Sztuk Pięknych w Stambule. Odkrycie to pociągnęło za sobą decyzję o odejściu z uczelni. Zresztą profesorowie też nie dostrzegli we mnie żadnych zadatków na artystę. Z tego, co narysowałem w domu albo w atelier, pokazywałem im jedynie najbardziej jałowe prace, a rysunki wyrażające cokolwiek osobistego, w których zawarłem jakąś część siebie, pieczołowicie odkładałem do szuflady, nie mając śmiałości ich zaprezentować. Jeśli któryś z nich przypadkiem dostał się w niepowołane ręce, rumieniłem się jak zaskoczona nago kobieta i uciekałem.

Przez dłuższy czas beczynnie błąkałem się po Stambule bez żadnego pomysłu na siebie. Trwał rozejm, wszechobecny cynizm i atmosfera okupowanego miasta stały się dla mnie nie do wytrzymania. Poprosiłem ojca o pieniądze na powrót do Havranu. Po dziesięciu dniach dostałem od niego długi list. Znalazł ostatni sposób, by wyprowadzić mnie w końcu na ludzi.

Doszło do jego uszu, że z powodu inflacji w Niemczech można utrzymać się teraz za niewielkie pieniądze, nawet mniejszym kosztem niż w Stambule. Chciał, żebym pojechał tam poznać sposoby „produkcji mydła, przede wszystkim mydła pizmowego”. Zawiadamiał też, że wysłał już dla mnie pewną kwotę na opłacenie podróży i innych wydatków. Bardzo spodobał mi się ten pomysł. Nie żebym odczuwał jakieś zainteresowanie tym rzemiosłem – ucieszyło mnie, że w zupełnie nieoczekiwanym momencie nadarza się okazja wyjazdu do Europy, która ukazując się przed moimi oczami w niezliczonych odsłonach, była przedmiotem moich marzeń już od najmłodszych lat. Ojciec pisał: „Przez rok, dwa wyuczysz się zawodu. Jak wrócisz, rozbudujemy i unowocześnimy naszą mydlarnię. Oddam ją pod Twój zarząd i Ty też wejdiesz wreszcie do świata handlu,

i dzięki fachowi w ręku będziesz prowadził szczęśliwe, dostatnie życie!”. Ale ja nie patrzyłem na to z tej strony...

W tej osławionej „Europie” chciałem nauczyć się języka obcego i zacząć czytać w tym języku książki, nade wszystko zaś zobaczyć ludzi, których dotychczas spotykałem jedynie na kartach powieści. Czy przyczyną mojej alienacji nie było właśnie to, że w swym najbliższym otoczeniu nie mogłem odnaleźć osób podobnych do moich ulubionych bohaterów literackich?

Byłem gotowy do drogi w ciągu tygodnia. Dotarłem do Berlina pociągiem przez Bułgarię. Nie umiałem nawet słowa po niemiecku. Podczas czterodniowej podróży nauczyłem się kilku zwrotów z rozmówek, dzięki czemu po przyjeździe bez trudu odnalazłem pensjonat, którego adres zapisałem sobie jeszcze w Stambule.

Pierwsze tygodnie poświęciłem na poznawanie miasta i opanowanie języka w stopniu umożliwiającym mi załatwianie codziennych spraw. Z zachwytem rozglądałem się dookoła. To oszołomienie z pierwszych dni nie trwało jednak długo, ostatecznie: miasto jak miasto. To prawda: z szerokimi ulicami, o wiele czystsze niż Stambuł i zamieszkane przez ludzi o jaśniejszych włosach. Lecz nie było tu niczego zapierającego dech w piersiach. Do końca sam nie wiedziałem, czego właściwie spodziewałem się po Europie z moich marzeń, nie mogłem więc dokładnie określić, czego brakuje mi w tym mieście... Nie zdawałam sobie jeszcze wówczas sprawy z tego, że rzeczywistość nigdy nie będzie w stanie dorównać naszym wyobrażeniom o niej.

Jako że nie mogłem przystąpić do nauki zawodu bez znajomości języka, zacząłem pobierać lekcje niemieckiego u byłego oficera, który w czasie wojny przez jakiś czas stacjonował w Turcji i mówił trochę po turecku. Właścicielka pensjonatu również była chętna do pomocy i swój wolny czas poświęcała na konwersacje ze mną. Pozostali goście pensjonatu także korzystali z okazji, by poznać się z Turkiem, i wciąż naprzykrzali mi się z różnymi głupimi pytaniami. Gromadka zasiadająca co wieczór do stołu stanowiła dość barwne towarzystwo. Szczególnie zaprzyjaźnili się ze mną

wdowa z Holandii Frau van Tiedemann, portugalski kupiec Herr Camera, sprowadzający do Berlina pomarańcze z Wysp Kanaryjskich, i stary Herr Döppke. Ten ostatni prowadził interesy w Kamerunie, który przed wojną był niemiecką kolonią. Po zawieszeniu broni został zmuszony rzucić wszystko i szukać schronienia w ojczyźnie. To, co udało mu się ocalić ze swego majątku, pozwalało mu na dość skromne życie. Całe dni spędzał na popularnych wówczas w Berlinie wieczach politycznych, a wieczorem dzielił się swymi wrażeniami z innymi. Często przyprowadzał do pensjonatu świeżo zdemobilizowanych, pozostających bez pracy oficerów i prowadził z nimi wielogodzinne dyskusje. Na ile mogłem zrozumieć, nadziei dla Niemiec upatrywali oni w dojściu do władzy nowego Bismarcka, kanclerza o żelaznej woli, i w natychmiastowym rozpoczęciu zbrojeń, by przygotować się do kolejnej wojny, która naprawi krzywdy, jakie spadały obecnie na ich kraj.

Gdy któryś z gości opuszczał pensjonat, na jego miejsce natychmiast pojawiał się ktoś nowy. Z czasem przyzwyczailem się do tej ciągłej rotacji, podobnie jak i do lampy w czerwonym abażurze, zawsze palącej się w ciemnym salonie, w którym jadaliśmy posiłki, a także do zapachu kapusty, roznoszącego się o każdej porze dnia i nocy, i do politycznych dysput przy stole. Zaczęło mnie już nawet powoli to wszystko nudzić. Szczególnie ta polityka... Każdy miał własną receptę na ocalenie Niemiec, w rzeczywistości podyktowaną nie tyle dobrem państwa, ile własnym, indywidualnym interesem. Staruszka, która z powodu inflacji straciła cały swój majątek, wściekała się na oficerów, oficerowie obwiniali strajkujących robotników i żołnierzy niechcących walczyć dalej, a kupiec kolonialny ni z tego, ni z owego zaczynał złorzeczyć cesarzowi, który rozpętał całą tę wojnę. Nawet pokojówka, która co rano sprzątała mój pokój, chciała rozmawiać ze mną o polityce, a wolny czas poświęcała na pochłanianie gazet. Ona też miała swoje żarliwe przekonania – mówiąc o nich, robiła się czerwona z przejęcia i zaciskając pięści, wymachiwała nimi w powietrzu.

Jakbym zupełnie zapomniał, po co przyjechałem do Niemiec.

O mydlarstwie przypominałem sobie tylko wówczas, gdy odbierałem listy od ojca. Odpisywałem mu, że ciągle jeszcze szlifuję język i że wkrótce zacznę się za czymś rozglądać, zwodząc w ten sposób zarówno jego, jak i siebie. Każdy mój dzień był podobny do poprzedniego. Obszedłem całe miasto, ogród zoologiczny, muzea. Przygnębiało mnie, że nawet to milionowe miasto zdążyło mi się znudzić w zaledwie kilka miesięcy. Powtarzałem sobie: „I to ma być ta Europa? Nic specjalnego!” i doszedłem w końcu do wniosku, że świat z zasady musi być niezwykle nudnym miejscem. Popołudniami często spacerowałem po wielkich, zatłoczonych alejach. Obserwowałem mężczyzn, którzy w chodzie nie wyzbyli się jeszcze żołnierskiego kroku, i uwieszone ich ramion kobiety nieswojo uśmiechające się do wszystkich dookoła. Inne z kolei wracały do domów z malującą się na ich twarzach powagą, typową dla ludzi zajmujących się niezwykle ważnymi sprawami.

By trochę uspokoić sumienie, z pomocą kilku tureckich kolegów zdołałem nawiązać kontakt z należącą do szwedzkiej grupy firmą, która słynęła z produkcji luksusowego mydła. Pracujący w niej Niemcy, przez wzgląd na niedawne braterstwo broni, przyjęli mnie bardzo dobrze, lecz nie pokazali mi niczego więcej ponad to, co wcześniej podpatrzyłem już w naszej mydlarni w Havranie; najwyraźniej nie chcieli zdradzać tajemnic firmy.

A może też, widząc, że nie pałam zbyt dużym entuzjazmem do tej pracy, nie chcieli po prostu tracić czasu na darmo. Gdy po pewnym czasie przestałem tam przychodzić, nie spotkało się to z żadną reakcją z ich strony. Ojciec pisał coraz rzadziej, a ja żyłem sobie spokojnie w Berlinie, nie zastanawiając się nad przyszłością i rzeczywistym celem mojego przyjazdu.

Dnie spędzałem w muzeach i w nowo otwartych galeriach, a trzy razy w tygodniu wieczorami brałem lekcje niemieckiego u byłego oficera. Zawsze, gdy wracałem do pensjonatu, już z odległości stu kroków wyczuwałem woń kapusty. Nie nudziłem się już tak jak w pierwszych

miesiącach. Powoli zacząłem czytać książki po niemiecku i w miarę postępów w nauce sprawiało mi to coraz większą przyjemność, a z czasem przekształciło się wręcz w nałóg. Otwierałem książkę i zatapiając się w niej, leżałem tak całymi godzinami na łóżku, z opasłym, starym słownikiem w pogotowiu. Często jednak brakowało mi cierpliwości, by uciekać się do jego pomocy – czytałem więc dalej, usiłując wyłuskać z kontekstu znaczenie niezrozumiałych wyrazów. Otworzył się przede mną zupełnie nowy świat. Nie był to już wyłącznie świat bohaterów, wyjątkowych ludzi i niesamowitych przygód, znany mi z pierwszych książek dzieciństwa i wczesnej młodości. Obecnie niemal w każdej z moich lektur odnajdywałem coś z siebie i z mojego otoczenia, z tego, co kiedykolwiek widziałem i słyszałem. Nagle przypominałem sobie rzeczy, których wcześniej nie dostrzegałem lub nie rozumiałem, mimo że były częścią mojego życia; wydawało mi się, że dopiero teraz jestem w stanie pojąć ich prawdziwy sens. Największy wpływ mieli na mnie pisarze rosyjscy. Obszerne nowele Turgeniewa pochłaniałem niemal jednym tchem. Szczególnie jedna z nich poruszyła mnie tak bardzo, że przez wiele dni nie mogłem uwolnić się spod jej wpływu. Jej bohaterka Klara Milicz zakochuje się w prostodusznym studencie. Wstydząc się namiętności do takiego głupca, nie zdradza się z nią przed nikim. Ostatecznie pada jej ofiarą i popełnia samobójstwo. Ta dziewczyna bardzo mi przypominała mnie samego: doskonale rozumiałem, co to znaczy nie móc wyrazić tego, co dzieje się w sercu, i ukrywać przed światem, z niepojętą zazdrością, najbardziej wyraziste, szczerze i piękne strony swego charakteru.

Z nudą pomagały mi walczyć także płótna starych mistrzów. Czasem potrafiłem godzinami oglądać jakiś obraz w Galerii Narodowej, by potem przez wiele dni ze wszystkimi szczegółami odtwarzać sobie w pamięci przedstawione na nim twarze i krajobrazy.

Minął już niemal rok od mojego przyjazdu do Niemiec. Pewnego razu, pamiętam to bardzo dobrze, w ciemny i deszczowy październikowy dzień, siedząc w kawiarni, przeglądałem gazetę. Rzuciła mi się w oczy recenzja

z wystawy prac malarzy współczesnych. Prawdę mówiąc, niewiele rozumiałem z tego całego nowinkarstwa. Malarstwo to nie trafiało mi do gustu chyba przez zbytnią pretensjonalność jego twórców, ich chęć przyciągnięcia uwagi za wszelką cenę i skłonność do eksponowania swojego „ja”, co tak bardzo nie współgrało z moim charakterem... Artykułu nawet więc nie przeczytałem. Kilka godzin później, jak zwykle bez żadnego planu, spacerowałem po mieście. Nagle zorientowałem się, że stoję przed budynkiem mieszczącym ową wystawę, o której wzmiankę niedawno zignorowałem. Nie miałem nic ważnego do roboty. Postanowiłem podporządkować się temu zbiegowi okoliczności i mimo wszystko zajrzeć do środka. Przez dłuższy czas przechadzałem się, nieuważnym spojrzeniem wodząc po wiszących na ścianach obrazach.

Większość z nich prowokowała do śmiechu: kanciaste kolana i ramiona, nieproporcjonalne głowy i piersi, pejzaże w nienaturalnie ostrych barwach, niczym wyklejone z kolorowego papieru. Nieforemne jak kawałek rozbitej cegły kryształowe wazony, kwiaty tak martwe, jakby całe lata przeleżały między stronami książki, i w końcu przerażające portrety, żywcem wzięte z kroniki kryminalnej... Ale przynajmniej było się z czego pośmiać. Może należałoby raczej mieć za złe tym twórcom, że wkładając tak niewiele wysiłku, porywali się na realizację rzeczy tak dużych. Gdy pomyślałem jednak o tym, z jaką chorobliwą przyjemnością godzą się na karę taką jak brak zrozumienia dla ich twórczości i śmieszność, nie pozostawało mi nic innego, jak im współczuć.

Naraz w jednej z dużych sal zatrzymałem się przed ścianą niedaleko drzwi. Nie zdołałem teraz opisać dokładnie, co poczułem w tamtej chwili, upłynęło już w końcu tyle lat. Pamiętam tylko, że stałem jak osłupiały przed portretem kobiety w futrze. Ludzie, przechodząc, popychali mnie to w lewo, to w prawo, a ja mimo to nie byłem w stanie ruszyć się z miejsca. Co takiego było w tym obrazie? Nie wiem, czy uda mi się to dobrze wytłumaczyć: moją uwagę przykuł niewidziany przeze mnie dotychczas u żadnej kobiety dziwny wyraz twarzy, w którym dostrzegłem po trosze

dzikość, dumę i siłę. Mimo że nie miałem najmniejszych wątpliwości co do tego, że twarzy tej – ani bardzo do niej podobnej – nie widziałem nigdy wcześniej, nie mogłem się pozbyć wrażenia, że skądś ją znam. Czy mogła być mi obca ta blada twarz, te czarne brwi i równie czarne oczy pod nimi; te ciemnokasztanowe włosy i nade wszystko ta mina, łącząca w sobie niewinność z siłą woli, bezkresny smutek z silną osobowością? Znałem tę kobietę z książek, jakie czytałem od siódmego roku życia, ze świata wyobraźni, jaki stworzyłem sobie już jako pięcioletni chłopiec. Miała w sobie coś z Nihal, bohaterki powieści Halita Ziyi; coś z Mehçure Vecihiego Beya; coś z ukochanej rycerza Buridana i coś ze znanej mi z historycznych książek Kleopatry; było w niej nawet coś z Aminy, matki Mahometa, takiej jak ją sobie wyobrażałem, słuchając pieśni o narodzeniu Proroka. Pod jedną postacią łączyła ona wszystkie kobiety z moich marzeń. Bładości jej szyi, której tylko niewielki fragment widniał spod futra, nie maskował nawet cień, w jakim pozostawała. Osadzona na niej głowa była lekko obrócona w lewo. Czarne oczy spoglądały w dół, jakby pogrążone w głębokich myślach w ostatniej nadziei szukały czegoś, wiedząc, że nigdy tego nie odnajdą. A jednak smutek obecny w spojrzeniu kobiety miał w sobie także lekki odcień zadowolenia. Jakby mówiła przez to: „Owszem, nie znajdę tego, czego szukam... Ale co z tego?”. Ten wyraz dziwnej satysfakcji uwidaczniał się w jej pełnych ustach, o dolnej wardze nieco większej niż górna. Miała lekko opuchnięte powieki i niezbyt gęste, ale i niezbyt rzadkie brwi. Otaczające nieforemne i dość szerokie czoło włosy opadały na futro, mieszając się z sierścią żbika. Spiczasta broda lekko wysuwała się do przodu. Jej nos był długi, trochę mięsisty.

Drżącymi dłońmi przekartkowałem katalog. Spodziewałem się znaleźć w nim szczegóły dotyczące tego obrazu. Pod koniec, na dole strony obok numeru porządkowego przeczytałem jedynie te trzy słowa: „Maria Puder, *Selbstporträt*”, i nic więcej. Wynikało stąd, że na wystawie malarka prezentowała tylko jedno dzieło – swój autoportret. Nawet mnie to trochę ucieszyło. Bałem się, że inne jej prace mogłyby mi się nie spodobać tak jak

ten niezwykle portret i może zmać tym nawet mój pierwszy zachwyty. Zostałem w galerii do późna. Co jakiś czas odchodziłem od obrazu i szedłem dalej, niewidzącymi oczami przebiegając po pozostałych eksponatach. Szybko jednak wracałem na swoje poprzednie miejsce i znowu przez dłuższy czas przyglądałem się tej kobiecie. Za każdym razem odnajdywałem w jej twarzy coś nowego, jakbym patrzył na stopniowo ukazujące się moim oczom życie. Zdawało mi się, że jej usta leciutko drżą, a opuszczone oczy dyskretnie mi się przyglądają.

Oprócz mnie w sali nie było już nikogo. Wysoki człowiek stojący przy drzwiach najwidoczniej czekał tylko na mnie. Pośpiesznie zebrałem się i wyszedłem na zewnątrz. Siąpił lekki deszcz. Wróciłem do pensjonatu, tym razem nie marudząc po drodze jak zwykle. Myślałem tylko o tym, żeby jak najszybciej zjeść kolację, zamknąć się w swoim pokoju i w samotności znów przywołać przed oczy tamtą twarz. Tego wieczoru nie uczestniczyłem w codziennych rozmowach przy stole.

– Co pan robił dzisiaj? – spytała właścicielka pensjonatu, Frau Heppner.

– Nic takiego... Chodziłem po mieście, potem byłem na wystawie modernistów... – odpowiedziałem.

Zebrani w salonie natychmiast podjęli ten temat, a ja powoli wycofałem się do siebie.

Gdy się przebierałem, z kieszeni marynarki wypadła mi gazeta. Podniosłem ją i odłożyłem na stół. Nagle moje serce zaczęło bić szybciej. Była to gazeta, którą kupiłem rano i w której natrafiłem na artykuł poświęcony wystawie. Rozłożyłem ją pośpiesznie, niemal rozrywając strony – chciałem sprawdzić, czy napisano coś o tym obrazie i jego autorce. Taka gorączkowość, u kogoś równie ospałego i beznamietnego jak ja, trochę nawet mnie samego zaskoczyła. Przebiegłem wzrokiem przez tekst. Mniej więcej w połowie moje oczy wyłowiły znane mi już z katalogu nazwisko: Maria Puder...

Tej młodej malarce, która po raz pierwszy prezentowała swój obraz na wystawie, poświęcono dość sporo miejsca. Artystka, która najwyraźniej

chciała podążać drogą klasyków, według krytyka wyróżniała się zadziwiającą umiejętnością ekspresji. Obca jej też miała być skłonność do „idealizacji” lub „celowego oszpecania”, widoczna u innych portrecistów. Na koniec, po omówieniu kwestii warsztatowych, autor stwierdzał, że kobieta na obrazie swoją pozą i wyrazem twarzy dziwnym zbiegiem okoliczności przypomina Maryję z płótna Andrei del Sarto *Madonna z harpiami*, po czym, żartobliwie życząc tej „Madonnie w futrze” dalszych sukcesów, przechodził do omówienia dzieła kolejnego twórcy.

Następny dzień rozpocząłem od poszukiwań *Madonny z harpiami*. Znalazłem ją w sklepie sprzedającym reprodukcje znanych obrazów, w dużym albumie poświęconym del Sarto. Marnej jakości kopia była wystarczająco wyraźna, by móc zgodzić się z autorem artykułu: Madonna stała na postumencie, tuląc Dzieciątka do piersi. Opuszczone oczy zdawały się nie zauważać brodatego mężczyzny po prawej i młodzieńca po jej lewej stronie. Ułożenie głowy, twarz, wyraźnie widoczny w jej spojrzeniu i ustach wyraz przygnębienia i irytacji rzeczywiście bardzo przypominały portret, który widziałem wczoraj na wystawie. Ponieważ istniała możliwość kupienia tej pojedynczej karty z albumu, bez wahania to zrobiłem i wróciłem do siebie. Gdy przyjrzałem się obrazowi dokładniej, uderzyła mnie oryginalność tego dzieła z czysto artystycznego punktu widzenia. Po raz pierwszy w życiu miałem przed oczyma taką Madonnę. Na wizerunkach, które oglądałem dotychczas, Matka Boża przedstawiana była z przesadnym, doprowadzonym wręcz do granic absurdu wyrazem niewinności na twarzy. Patrząc na Dzieciątka w swych objęciach, zdawała się mówić: „Spójrzcie, jaką łaskę okazał mi Bóg!”, i była podobna trochę do służki, z zakłopotaniem uśmiechającej się do dziecka, którego ojca sama nie umie wskazać. Maryja z obrazu del Sarta była natomiast kobietą, która nauczyła się myśleć, która już dobrze poznała życie i zaczęła z lekceważeniem odnosić się do świata. Patrzyła nie na stojących obok niej, zastygłych w modlitewnych pozach świętych, nie na Mesjasza, którego trzymała na rękach, i nawet nie na niebo – patrzyła w ziemię; patrzyła,

i nie było wątpliwości, że coś na niej dostrzegała.

Odłożyłem reprodukcję na stół. Zamknąłem oczy i pomyślałem o obrazie z wystawy. Dopiero teraz przyszło mi do głowy, że przecież przedstawiony na nim człowiek istnieje naprawdę! No tak, jeśli malarka sportretowała samą siebie, oznaczało to ni mniej, ni więcej, że ta zdumiewająca kobieta chodzi między nami, że swoimi czarnymi, głębokimi oczyma patrzy w ziemię lub na innych ludzi, że mówi, poruszając dolną, nieco większą wargą, że – mówiąc krótko – po prostu żyje. A więc można ją gdzieś spotkać... Gdy pomyślałem o tej możliwości, pierwszym uczuciem, jakie się we mnie pojawiło, był strach. Dla mężczyzny, który jak ja nie miał jeszcze na swym koncie żadnej „przygody”, w ewentualnym spotkaniu z taką kobietą rzeczywiście musiało być coś przerażającego.

Mimo swych dwudziestu czterech lat nie miałem żadnego doświadczenia z kobietami. Jeszcze w Havranie, z inicjatywy starszych kolegów z dzielnicy, wziąłem udział w kilku hulankach, które nie były jednak niczym więcej jak tylko pijackimi wybrykami, których sensu nie jestem w stanie zrozumieć i dziś. W każdym razie leżąca w mojej naturze wstydlivość nie dopuściła do ich powtórki. „Kobieta” pobudzała moją wyobraźnię, była towarzyszką niezliczonych przygód, jakie przeżywałem w wyobraźni, wyciągnięty pod drzewkami oliwnymi w gorące letnie dni, była dla mnie daleką od cielesności, niedostępną istotą. Przez wiele lat w tajemnicy przed wszystkimi podkochiwałem się w naszej sąsiadce Fahriye. Kontakty między nami, w mojej głowie, często ocierały się o granice bezwstydu. Ale gdy tylko spotykałem ją na ulicy, serce zaczynało walić mi tak, że byłem bliski omdlenia i czerwony na twarzy szukałem miejsca, w którym mógłbym się przed nią schować. Podczas Ramadanu wymykałem się z domu i ukrywałem naprzeciwko jej drzwi, by zobaczyć, jak z latarnią w ręku wychodzi z matką na nocny namaz do meczetu. Lecz gdy tylko drzwi się uchyliły, a w smudze żółtawego światła zarysowały się ich sylwetki w czarnych płaszczach, odwracałem głowę do ściany i zaczynałem drzeć ze strachu, bojąc się, że dostrzegą moją obecność.

Jeśli jakaś kobieta mi się spodobała, pierwsze, co robiłem, to starałem się przed nią uciec. Spotykając się z nią twarzą w twarz, bałem się, że każde moje spojrzenie i najmniejszy gest zdradzą mój sekret, i zażenowany do ostatnich granic, w jednej chwili stawałem się najbardziej żalonym człowiekiem na świecie. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek spojrzał prosto w oczy jakiegokolwiek kobiecie, nawet mojej matce. Ostatnimi czasy, zwłaszcza podczas studiów w Stambule, chcąc walczyć z tą chorobliwą nieśmiałością, próbowałem zachowywać się swobodnie wobec kilku młodych dziewcząt poznanych za pośrednictwem przyjaciół. Niemniej z chwilą, gdy tylko zaczęły okazywać mi najmniejsze bodaj zainteresowanie, cała moja odwaga gdzieś się ulatniała. Nigdy nie byłem jednak niewiniątkiem: w chwilach samotności, gdy kobiety te ożywały w mojej wyobraźni, dochodziło w niej do takich rzeczy, które nie przyszłyby do głowy nawet największym mistrzom w tej dziedzinie. Upojne pocałunki pulsujących, gorących ust odczuwałem wówczas intensywniej, niż byłoby to możliwe w rzeczywistości.

Portret kobiety w futrze poruszył mnie jednak do tego stopnia, że nie mógłbym pozwolić sobie na coś podobnego. Nie chodziło tylko o to, że po prostu nie byłem w stanie wyobrazić sobie sceny miłosnej z jej udziałem – ba, poza granice mojej wyobraźni wykraczało nawet to, by pomyśleć, że siedzimy naprzeciwko siebie jak dwoje przyjaciół. Zamiast tego stopniowo narastało we mnie pragnienie, by ciągle chodzić na wystawę i kontemplować tam jej obraz, całymi godzinami nurzając się w tych czarnych oczach, mając przy tym pewność, że na mnie nie patrzą. Zrzuciłem palto na plecy i poszedłem po raz drugi do galerii – i odtąd robiłem tak już każdego dnia.

Chodziłem tam zawsze po południu. Przemierzając korytarze, powoli, jakbym podziwiał umieszczone w nich obrazy, z trudem mogłem zapanować nad krokami, które niecierpliwie wyrywały się do rzeczywistego celu. W końcu, niby to przypadkiem, zatrzymałem się przed swoją „Madonną w futrze” i nie spuszczałem z niej już wzroku aż do

zamknięcia galerii. Zauważyłem, że dozorca i większość malarzy, którzy bywali tam każdego dnia, zaczęli mnie już rozpoznawać. Gdy tylko wchodziłem, na ich twarzach pojawiał się uśmiech, a oczy zatrzymywały się na tym osobliwym amatorze jednego płótna, za jakiego mnie uważali. Zarzuciłem więc potem odgrywanie tej komedii i od razu po przyjsciu kierowałem się bezpośrednio do sali z portretem kobiety w futrze. Siadałem naprzeciwko niego i patrzyłem, co jakiś czas, zmęczony, opuszczając wzrok dla wytchnienia.

Niewątpliwie moje zachowanie musiało zaintrygować innych bywalców wystawy. Rzeczywiście pewnego dnia stało się to, czego się obawiałem. Podeszła do mnie młoda kobieta, którą wcześniej kilka razy już tutaj widziałem i która, sądząc po towarzyszących jej malarzach – długowłosych, ubranych na czarno, z ogromnymi krawatami na szyi – też najwyraźniej należała do ich grona.

– Podoba się panu ten obraz? – spytała. – Często pan przychodzi go oglądać...

Rzuciłem jej szybkie spojrzenie i momentalnie spuściłem wzrok na ziemię. Zbyt poufały i trochę złośliwy uśmiech tej kobiety nie zrobił na mnie najlepszego wrażenia. Półbuty o spiczastym nosku, znajdujące się o krok ode mnie, patrzyły mi w twarz, jakby czekając na odpowiedź. Nogi, którym nie można było odmówić zgrabności, ubrane były w pończochy i wyrastały spod króciutkiej spódnicy. Co jakiś czas lekko się naprężały, wprawiając całe jej ciało – od krągłych kolan w górę – w przyjemne drżenie. Zrozumiałem, że nie zostawi mnie w spokoju, póki nie uzyska odpowiedzi.

– Tak, piękny obraz... – odparłem, po czym, czując dziwną potrzebę dorzucenia jakiegoś kłamstwa, swoistego wyjaśnienia, wyszeptałem: – Przypomina mi moją matkę...

– Naprawdę? A więc to dlatego codziennie spędza pan tutaj tyle czasu!

– Tak.

– Pańska matka nie żyje?

– Nie.

Milczała, jakby czekając, aż powiem coś więcej.

– Jest daleko stąd! – dodałem, wciąż nie podnosząc głowy.

– Ach tak... Gdzie?

– W Turcji.

– Jest pan Turkiem?

– Tak.

– Wiedziałam, że jest pan obcokrajowcem!

Roześmiała się beztrząsco i swobodnie usiadłszy obok mnie, założyła nogę na nogę. Spódnica przesunęła się jej przy tym za kolana, a ja poczułem, że jak zwykle ogień wstępuje mi na twarz. Ubawiło ją to chyba jeszcze bardziej. Spytała znowu:

– Nie ma pan zdjęcia swojej matki?

Męczyło mnie wścibstwo tej kobiety. Czułem, że robi to wyłącznie dla drwiny. Jej koledzy obserwowali nas, mając z tego pewnie świetną zabawę.

– Mam, ale... To coś innego!

– Ach tak! Czyli to coś innego...

I znów się roześmiała.

Chciałem już wstać i jak najszybciej stamtąd uciec. Zauważyła to.

– Proszę siedzieć, ja już sobie idę... Zostawiam pana sam na sam z pańską mamą – powiedziała, wstając. Odeszła kilka kroków, po czym nagle zatrzymała się i ponownie podeszła do mnie. – Naprawdę chciałby pan mieć taką matkę? – spytała poważnym, niemal smutnym tonem, który w niczym nie przypominał jej dotychczasowego zachowania.

– Tak... I to jak bardzo!

– Ach tak...

Oddaliła się szybkimi, żwawymi krokami. Obejrzałem się w ślad za nią. Podcięte włosy falowały jej na karku. Ręce trzymała w kieszeniach żakietu, co sprawiało, że ciasny kostium jeszcze bardziej opinał się na jej ciele.

Uświadomiłem sobie, że ostatnim zdaniem sam zdemaskowałem własne

kłamstwo. Zerwałem się z miejsca zakłopotany i nie śmiejąc podnieść spojrzenia na innych, wypadłem z galerii na ulicę.

Czułem się, jakbym pożegnał człowieka, którego poznałem podczas wspólnej podróży i z którym musiałem się nagle rozstać po jej zakończeniu. Wiedziałem bowiem, że moja noga więcej już na tej wystawie nie postanie. Ludzie, zupełnie nierozumiejący siebie nawzajem ludzie, wypłoszyli mnie i stamtąd.

W miarę jak myślałem o tym, że po powrocie do pensjonatu znów zaczną się dla mnie dawne, pozbawione sensu dni, że znów będę wysłuchiwał przy jedzeniu planów ocalenia Niemiec albo narzekań zrujnowanych przez inflację przedstawicieli klasy średniej, że znów, zamknięty w pokoju, ucieknę w świat opowiadań Turgieniewa albo Theodora Storma, uświadamiałem sobie, jak bardzo w ciągu ostatnich dwóch tygodni moje życie nabrało sensu i co oznacza dla mnie teraz jego utrata. Wydarzyło się to, o czym nie śmiałem nawet marzyć – w moim pustym życiu pojawił się promyk nadziei. Niestety wkrótce potem zgasł, tak samo nagle i bez przyczyny. Zrozumiałem to dopiero teraz. Od kiedy pamiętam – podświadomie, nie przyznając się do tego przed samym sobą – zawsze szukałem tego jednego jedyne go Człowieka. To dlatego odsunąłem się od innych ludzi. Tamten portret, choć tylko na krótko, pokazał mi, że jego odnalezienie jest możliwe, a nawet, że może on znajdować się bardzo blisko mnie; rozbudził nadzieję, której nie sposób będzie już ponownie uśpić. Rozczarowanie, jakie odczułem, dorównywało tragizmowi mego obecnego położenia. Jeszcze bardziej oddaliłem się od ludzi, jeszcze bardziej zamknąłem się w sobie. Chciałem nawet powiadomić ojca, że powoli myślę już o powrocie do domu. Ale co mu powiem, jak spyta: „No dobrze, to czego nauczyłeś się w Europie?”? Postanowiłem więc zostać tu jeszcze przez kilka miesięcy i przez ten czas dowiedzieć się o „mydle piżmowym” tyle, by móc zadowolić jego oczekiwania. Ponownie zgłosiłem się do tamtej szwedzkiej firmy. Tym razem zostałem przyjęty nieco chłodniej niż poprzednio, mimo to regularnie tam chodziłem. Starannie zapisywałem

nowe formuły i procedury, a nawet wypożyczałem i próbowałem czytać fachową literaturę.

Sąsiadka z pensjonatu, wdowa van Tiedemann, ostatnio interesowała się mną coraz bardziej. Dawała mi do czytania książki, które kupowała dla swojego dziesięcioletniego syna przebywającego obecnie w szkole z internatem, i pytała mnie o zdanie. Bywało, że po kolacji pod byle pretekstem przychodziła do mojego pokoju i przesiadywała do późna, nieustannie paplając. Najczęściej usiłowała wybadać mnie co do kontaktów z niemieckimi dziewczynami, a gdy mówiłem jej prawdę, kiwała tylko palcem i uśmiechała się wymownie, jakby chciała powiedzieć: „No, no, cicha woda brzegi rwie!”. Pewnego popołudnia wyciągnęła mnie na spacer, a pod wieczór, gdy wracaliśmy do domu, uparła się, żeby się czegoś napić, poszliśmy więc do szynku. Nawet nie zauważyliśmy, kiedy zrobiło się późno. W Niemczech co jakiś czas zdarzało mi się pić piwo, ale nigdy jeszcze nie upiłem się tak, jak tego wieczoru. Pamiętam, że w pewnym momencie wszystko zaczęło wirować dookoła mnie. Straciłem przytomność i osunąłem się w ramiona Frau van Tiedemann. Gdy chwilę później przyszedłem do siebie, zobaczyłem, jak pocziwa wdówka ociera mi twarz zwilżoną chustką, przyniesioną na jej prośbę przez kelnera.

– Wracajmy już do domu! – powiedziałem.

Nie pozwoliła mi zapłacić rachunku. Wychodząc na ulicę, zauważyłem, że zatacza się wcale nie mniej ode mnie. Szliśmy pod ramię, potracając mijających nas ludzi. Jako że był już niemal środek nocy, ulice nie były zbyt zatłoczone. Gdy przechodziliśmy na drugą stronę, Frau van Tiedemann zahaczyła nogą o krawężnik. Pulchna kobieta, żeby nie upaść, usiłowała wesprzeć się na moim ramieniu, lecz zamiast tego uwiesiła mi się na szyi, może dlatego, że była ode mnie wyższa. Odzyskawszy równowagę, zamiast mnie puścić, jeszcze mocniej ścisnęła mnie ramionami. Nie wiem, czy to pod wpływem alkoholu, czy co, ale i ja zapomniałem o całej swojej nieśmiałości i innych rzeczach i również mocno się do niej przykleiłem. Nagle poczułem na twarzy spragnione usta tej trzydziestopięcioletniej

kobiety. Jej ciepły oddech, przejaw wezbranego afektu, ogarnął mnie niczym ciężki, ale przyjemny zapach. Kilka osób, przechodząc obok nas, ze śmiechem życzyło nam dużo szczęścia. I właśnie wtedy moje spojrzenie spoczęło na kobiecie, która zbliżała się w naszym kierunku od słupa elektrycznego stojącego jakieś dziesięć kroków od nas. Zadrżałem z przejęcia. Uwieszona wciąż na mnie Frau van Tiedemann zauważyła to i podniecając się jeszcze bardziej, obsypała pocałunkami moje włosy. Ale ja chciałem już tylko uwolnić się z jej objęć i lepiej przyjrzeć się nadchodzącej kobiecie. To była ona. Jej twarz, którą widziałem tylko przez krótką chwilę, rozbłysła w mojej zamroczonej głowie niczym błyskawica. Madonna, we własnej osobie, w futrze ze żbika, o bladej twarzy z czarnymi oczami i przydługim nosem. Szła przed siebie, jakby nie zwracając uwagi na to, co się dzieje dookoła niej, z właściwym sobie wyrazem smutku i znużenia. Nasze spojrzenia spotkały się. Oprócz zdziwienia zdążyłem uchwycić w jej wzroku także iskierki śmiechu. Wzdrygnąłem się, jakby ktoś zdzielił mnie nahajką po karku. Mimo swojego stanu doskonale zdawałem sobie sprawę z rozmiarów katastrofy, jaką bez wątpienia było spotkanie jej po raz pierwszy w takich okolicznościach. Jaka opinia na mój temat mogła kryć się za tym uśmieszkiem?! Udało mi się wreszcie wyrwać z uścisku wdowy. Nie mając pojęcia, jak się zachowam i co jej powiem, puściłem się w pogoń za Madonna w futrze. Dobiegłem do rogu ulicy, lecz nie było już po niej ani śladu. Przez kilka minut rozglądałem się jeszcze dookoła, nikogo jednak nie dostrzegłem. Frau van Tiedemann dogoniła mnie.

– Co się stało? Co z tobą? – spytała, po czym chwyciła mnie pod rękę i odholowała prosto do pensjonatu, nie przestając tulić się do mnie po drodze. Jej gorący oddech wydawał mi się teraz nieznośnie ciężki... Mimo to nie stawiałem oporu. Nie przywykłem do przeciwstawiania się komukolwiek. Jedyne, co mogłem zrobić, to uciec, ale w tej chwili nie udałoby mi się także to. Nie uszedłbym nawet trzech kroków, zanimby mnie złapała. Wciąż byłem oszołomiony niedawnym spotkaniem. Ponieważ

alkohol wywietrzał mi już trochę z głowy, usiłowałem myśleć trzeźwo i przywołać w pamięci tamte roześmiane oczy, które kilka chwil wcześniej wpatrywały się we mnie. Wszystko to wydawało mi się teraz jedynie złudzeniem. Nie, to nie była ona. Nie mogłem się na nią natknąć w takim stanie. Wszystko to było koszmarem wywołanym przez tę kobietę obok mnie, jej objęcia, pocałunki i błędzący po mojej twarzy oddech... Chciałem jak najszybciej znaleźć się w swoim pokoju, położyć się i natychmiast zasnąć, by uwolnić się od tych nedorzecznych rojeń. Moja towarzyszka nie zamierzała jednak się ze mną zegnać. W miarę jak zbliżaliśmy się do pensjonatu, ożywiała się coraz bardziej, a jej ramię, wzmocnione siłą niepoahamowanej namiętności, napierało na mnie coraz bardziej.

Już na schodach znowu rzuciła mi się na szyję, ale zręcznie się jej wywinąłem i uciekłem na górę. Frau van Tiedemann biegła za mną zasapana, dorodnym ciałem wprawiając w drżenie całą klatkę schodową. Próbowałem pośpiesznie otworzyć drzwi do mojego pokoju, nie mogłem jednak trafić kluczem do zamka. Wtedy po drugiej stronie korytarza pojawił się Herr Döppke. Były kupiec kolonialny zbliżał się wolnymi krokami. Musiał na nas czekać, skoro jeszcze nie spał o tej porze. Gdy to zrozumiałem, serce podskoczyło mi do gardła. Nie było tajemnicą, że wiąże on pewne słodkie nadzieje z tą zamożną wdówką będącą w pełni rozkwitu swojej kobiecości. Mało tego, mówiono, że i ona nie pozostaje obojętna wobec tych cieplejszych uczuć starego kawalera, wciąż krzepkiego mimo skończonych pięćdziesięciu lat, i że ze swojej strony również nosi się z pewnymi zamiarami. I ta właśnie dwójka nieobojętnych sobie ludzi wpadła teraz na siebie pośrodku korytarza. Dałem nura do pokoju i zamknąłem drzwi na klucz. Przez dłuższy czas słyszałem ich szepty. Wyważone odpowiedzi na ostrożnie postawione pytania chyba kojąco podziały na uszy, które bardzo chciały w nie wierzyć. Po chwili dźwięk kroków i szepty oddaliły się, a w końcu ucichły zupełnie.

Zasnąłem, gdy tylko znalazłem się w łóżku. Nad ranem przyśnił mi się męczący sen. Kobieta w futrze pojawiała się przede mną na różne sposoby

i wpatrywała się we mnie, zadręczając tamtym strasznym, przytłaczającym uśmiechem. Chciałem jej coś odpowiedzieć i wyjaśnić, ale nie byłem w stanie. Przenikliwe spojrzenie jej czarnych oczu kneblowało mi usta. Świadomość tego, że zostałem osądzony, że zapadł wyrok, od którego nie przysługuje już odwołanie, przyprawiała mnie o rozpacz. Obudziłem się jeszcze przed świtem. Bolała mnie głowa. Zapaliłem światło i próbowałem coś czytać. Słowa uciekały mi jednak sprzed oczu, a pośrodku białej strony jak przez mgłę pojawiały się czarne oczy naśmiewające się ze mnie cicho i otwarcie. Chociaż zdawałem sobie sprawę, że wczorajsze spotkanie było tylko przywidzeniem, wciąż nie mogłem się uspokoić. Wstałem, ubrałem się i wyszedłem na ulicę. Był chłodny, wilgotny berliński poranek. Na ulicach nie było nikogo oprócz dzieci, które małymi wózkami rozwoziły po domach mleko, masło i bułki. Na rogu ulicy kilku policjantów zrywało rewolucyjne proklamacje, jakie pojawiły się w nocy na murach. Brzegiem kanału doszedłem do Tiergarten. Dwa łabędzie, nieruchome jak zabawki, sunęły po spokojnej powierzchni wody. Trawa i ławki w parku były całkowicie mokre. Na jednej z nich zauważyłem wygniecioną od siedzenia gazetę i kilka szpilek do włosów. Przypomniały mi one o incydencie z Frau van Tiedemann. Ona też chyba zgubiła wczoraj niejedną szpilkę. Pewnie spała sobie teraz spokojnie obok starego Herr Döppke, nawet nie myśląc o tym, że powinna wymknąć się do swojego pokoju, jeszcze zanim przebudzi się służba.

Poszedłem do fabryki wcześniej niż zwykle i serdecznie przywitałem się ze stróżem. Zamierzałem całkowicie poświęcić się pracy i odpędzić od siebie w ten sposób wszystkie dokuczliwe myśli, napędzane przez długotrwałe próżniactwo. Stałem przy kotłach z mydłem, obserwując, jak dodaje się do nich esencję różaną, i starannie wszystko notowałem. Zapisałem sobie, z jakich fabryk pochodzą maszyny stemplujące mydło. Widziałem już siebie jako dyrektora dużej i nowoczesnej wytwórni mydła, którą zorganizuję w Havranie. Wyobrażałem sobie, jak różowe, owalne mydełka z wytłoczonym napisem: „Mehmet Raif – Havran”^[2], opakowane

w gładki i pachnący papierek, stają się popularne w całej Turcji.

Do południa niemal zapomniałem o swoich problemach i z większym optymizmem zacząłem spoglądać w przyszłość. Doszedłem do wniosku, że wszystko, co mnie dotąd niepokoiło, nie ma tak naprawdę większego znaczenia i że wszystkiemu winne są to nieustanne bujanie w obłokach i izolacja od prawdziwego życia. Ale ten etap był już za mną. Chciałem odtąd ograniczyć lekturę książek niezwiązanych ściśle z moją nową profesją. Czy ktoś urodzony w czepku, tak jak ja, mógł mieć jakiś powód, aby nie być szczęśliwy?

Czekały na mnie gaje oliwne mojego ojca, dwie fabryki w Havranie i mydlarnia. Mnie miała też przypaść dola starszych sióstr, które zdążyły już wyjść bogato za mąż. Nic nie stało na przeszkodzie, bym wiódł życie szanowanego w ojczyźnie przedsiębiorcy. Nasza armia wyzwoliła Havran, okupanci zostali wyparci z kraju. Ojciec przysyłał mi pełne entuzjazmu, przeniknięte patriotyzmem listy. Radości zwycięstwa zakosztowaliśmy także tutaj, na uroczystościach zorganizowanych przez turecką ambasadę. Dochodziło nawet do tego, że czasem przełamywałem się i dołączałem do towarzystwa Herr Döppkego, radząc, jak najlepiej uratować Niemcy, w oparciu o nasze doświadczenia z Anatolii. W takiej atmosferze nie mogło być mowy o nudzie. Dlaczego jakiś – choćby nawet i najlepszy – obraz czy opowiadająca o fikcyjnych wydarzeniach książka miały odgrywać jakąkolwiek rolę w moim życiu? Nie, odtąd wszystko miało już być inaczej...

Mimo to wraz z nastaniem wieczoru zrobiło mi się smutno. By uniknąć spotkania z Frau van Tiedemann przy stole, postanowiłem zjeść na mieście. Wypiłem dwa duże piwa, lecz nie pomogło mi i to – optymizm, jaki towarzyszył mi przez cały dzień, nie chciał do mnie powrócić. Czułem się tak, jakby w moim sercu tkwiła nieustannie dająca o sobie znać zadra. Poprosiłem o rachunek. Miałem nadzieję, że spacer na świeżym powietrzu choć trochę poprawi mi nastrój. Niebo było zachmurzone, padał drobny deszcz. Światła wielkiego miasta odbijały się jaskrawoczerwonymi

refleksami w nawisłych chmurach. Doszedłem do szerokiej i długiej alei Kurfürstendamm. Niebo nad nią było zupełnie jasne, tak że nawet spadające z wysokości kilkuset metrów krople deszczu barwiły się na pomarańczowy kolor. Po obu stronach alei znajdowały się kasyna, kina i teatry. Ludzie spacerowali jak gdyby nigdy nic, nie zwracając uwagi na deszcz. Szedłem wolnym krokiem, z głową pełnych rozmaitych, niepowiązanych ze sobą myśli, jakbym chciał zagłuszyć nimi tę jedną, wciąż uparcie do mnie powracającą. Odczytywałem każdy szyld, uważnie badałem każdy napotkany neon. W ten sposób kilka razy przeszedłem tam i z powrotem tę kilkukilometrową aleję. Później skręciłem w prawo i skierowałem się w stronę placu Wittenbergi.

Pod wielkim domem towarowym KaDeWe przechadzali się młodzieńcy ubrani w czerwone buty z cholewami. Umalowani jak kobiety, rzucali w stronę przechodniów przyzywające spojrzenia. Spojrzałem na zegarek. Mijała jedenasta. Czyli było już aż tak późno. Nagle przyspieszyłem kroku i poszedłem na pobliski plac Nollendorfu. Tym razem doskonale wiedziałem, dokąd idę. To właśnie tam dokładnie o tej samej porze zobaczyłem wczoraj Madonnę w futrze. Plac był pusty. Jedynie na jego południowej pierzei, przed okazałym gmachem teatru, zobaczyłem policjanta na patrolu. Przeszedłem na drugą stronę i znalazłem się w miejscu, gdzie poprzedniego wieczoru obściskałem się z Frau van Tiedemann. Wpatrywałem się w majaczący przede mną słup elektryczny, jakby poszukiwana przeze mnie kobieta miała się tam nagle zmaterializować. Chociaż tak bardzo starałem się wmówić sobie, że to, co widziałem wczoraj, było jedynie złudzeniem i wytworem pijanej głowy, przyszedłem tu znowu. Czekałem teraz na nią, na tamtą kobietę, a może tylko na tamto złudzenie. Lekki podmuch wystarczył, by rozwiązać zamki na piasku, które wznosiłem od samego rana. Byłem znowu – tak jak dawniej – daleki od rzeczywistości, niezmiennie pozostawałem zabawką własnej wyobraźni i emocji.

I właśnie wtedy ktoś przeciął plac i zaczął iść w moją stronę. Wszedłem

do uchylonej bramy jednej z kamienic i czekałem. Ostrożnie wychyliłem się i rozpoznałem kobietę w futrze zbliżającą się szybkimi, pewnymi krokami. Tym razem nie mogłem mieć wątpliwości. Nie byłem pijany. Stukot obcasów odbijał się echem wśród budynków po obydwu stronach pustej ulicy. Czułem, jak serce mi wali i zaczyna boleć, jakby ktoś kroił je na kawałki. Odgłosy kroków rozlegały się coraz bliżej. Odwróciłem się plecami do ulicy i pochyliłem nad zamkiem, jakbym otwierał drzwi. Gdy usłyszałem kroki tuż za sobą, z wielkim wysiłkiem broniłem się, by nie upaść i nie wydać z siebie okrzyku. Musiałem aż oprzeć się o ścianę. Kobieta szła dalej w swoją stronę, a ja, żeby nie stracić jej znowu z oczu, wychynałem z kryjówki i ruszyłem za nią. Śledziłem ją z niewielkiej odległości. Nie widziałem jej twarzy. Mimo że tak bardzo obawiałem się bezpośredniego spotkania, szedłem teraz zaledwie kilka kroków za jej plecami. Zdawała się tego nie zauważać. Dlaczego przyszedłem tutaj i czekałem na jej drodze, skoro moje oczy wciąż tylko szukały zaułka, w którym mógłbym się ukryć, na wypadek gdyby mnie zauważyła? Dlaczego ją śledziłem? I czy to w ogóle była ona? Czy to możliwe, żeby kobieta, która przechodziła tędy wczoraj o jakiejś przypadkowej godzinie, pojawiła się następnego dnia dokładnie w tym samym miejscu? Nie byłem w stanie odpowiedzieć sobie na te pytania. Cały czas szedłem za nią, serce wciąż kołatało mi w piersi, a gdy myślałem o tym, że mogłaby się nagle odwrócić, niemal wpadałem w panikę... Podążałem za odgłosami jej kroków z pochyloną głową, nie widząc przed sobą nic oprócz asfaltowego chodnika. Nagle zapadła cisza. Zatrzymałem się. Czekałem jak skazaniec, jeszcze bardziej pochylając głowę. Nikt jednak do mnie nie podszedł, nikt nie spytał: „Dlaczego pan idzie za mną?!”. Dopiero po kilku sekundach dotarło do mnie, że stoję w miejscu jaśniejszym niż pozostałe odcinki alei.

Z wolna podniosłem oczy – nikogo nie zobaczyłem. Stałem przed oświetlonym elektrycznością wejściem do popularnego kabaretu. Na ogromnym szyldzie raz po raz zapalał się ułożony z błękitnych żarówek napis: „Atlantik”. Pod nim dostrzegłem kształty przypominające morskie

fale, również uformowane z żarówek, a w drzwiach dwumetrowego szwajcara w obszytej złotem liberii i w czerwonym kaszkiecie na głowie. Z ukłonem zaprosił mnie do środka. Domyśliłem się, że ona też musiała tutaj wejść. Śmiało podszedłem do mężczyzny.

– Czy weszła tutaj przed chwilą kobieta w futrze?

Szwajcar ukłonił się ponownie i odpowiedział:

– Tak!

Na jego twarzy pojawił się wymowny uśmiech. Przemknęło mi przez myśl, że ta kobieta może być stałą klientką tego lokalu. Wyjaśniałoby to, dlaczego każdego wieczoru przychodzi tutaj o tej samej porze. Odetchnąłem głęboko, oddałem palto do szatni i wszedłem na salę.

Była zatłoczona. Pośrodku, nieco w dole, zobaczyłem okrągły parkiet; naprzeciwko niego rozlokowała się orkiestra, a po bokach znajdowały się wysokie, ustronne łóże. Zasłony większości z nich były opuszczone. Ukryte za nimi pary co jakiś czas wychodziły potańczyć, po czym wracały do środka i zaciągały za sobą zasłonę. Usiadłem w łóży, która wyglądała na wolną. Zamówiłem piwo. Moje serce uspokoiło się wreszcie. Powoli rozejrzałem się dookoła. Liczyłem na to, że jeśli ujrzę ją w towarzystwie jakiegoś młodziutkiego albo podstarzałego amanta, kupczącą swoim ciałem przy jednym ze stolików, całkowicie uwolnię się od bezproduktywnych marzeń o tej kobiecie, której przydałem tak głębokie znaczenie i która od tygodni spędzała mi sen z powiek. Nie zauważyłem jej przy żadnym ze stolików przy parkiecie. Najwidoczniej weszła do którejś z łóż. Uśmiechnąłem się gorzko. Ogarnęła mnie irytacja, że wciąż uparcie postrzegam ludzi zupełnie innymi, niż są w rzeczywistości. Miałem dwadzieścia cztery lata i nadal nie mogłem się wyzbyć dziecięcej naiwności. Zwykły, może nawet nie do końca wierny portret zdołał zrobić na mnie takie wrażenie, rozbudzić we mnie wielkie nadzieje... Nadałem tej bladej twarzy tyle znaczeń, że można by pisać na ten temat książki; odnalazłem w niej rzeczy, których tak naprawdę nigdy w niej nie było. Tymczasem ona, jak wiele kobiet w jej wieku, w poszukiwaniu niskich

uciech chadzała sobie do takich przybytków. Futro ze zbika, na które patrzyłem z taką czcią, też pewnie było zapłatą za świadczone w tym miejscu usługi.

Postanowiłem nie spuszczać oczu z zasłoniętych łóż. Pół godziny zajęło mi rozpoznanie wszystkich par kryjących się po tych zakątkach. Licząc się z tym, że zwrócę na siebie uwagę, zaglądałem do środka za każdym razem, gdy tylko odsunęły się kotary. Wyglądało na to, że kobiety w futrze tutaj nie było.

Znów ogarnęły mnie wątpliwości. Czyżbym pomylił się i dzisiaj? Mało to kobiet w Berlinie nosi takie futro? Nie widziałem przecież jej twarzy. Czy to prawdopodobne, żebym tylko po chodzie rozpoznał kobietę, którą widziałem zaledwie raz, w dodatku po pijanemu? Ale czy naprawdę ją widziałem? Może rzeczywiście było to tylko złudzenie, jak to wyjaśniłem już sobie dzisiaj rano? Zaczął mnie niepokoić mój stan. Co się ze mną działo? Tak bardzo przejąć się kobietą z jakiegoś obrazu... Potem „zobaczyć” ją w nocy na ulicy... Śledzić jakąś przypadkową kobietę tylko z powodu odgłosu jej kroków i futra... Nie pozostawało mi nic innego, jak wrócić do domu i porządnie zabrać się do siebie.

Nagle wszystkie światła zgasły. Jedyne miejsce orkiestry pozostawało słabo oświetlone. Parkiet opustoszał. Po chwili rozległy się dźwięki spokojnej muzyki. Cienki głos skrzypiec odezwał się przy akompaniamencie wiolonczeli. Powoli przybierał na sile. Nie przerywając gry, na dół zeszła młoda kobieta w białej toalecie z dużym dekoltem. Dość niskim, zbliżonym do męskiego głosu altem zaczęła śpiewać jedną z popularnych wówczas piosenek. Stała w kręgu światła rzucanym przez reflektor.

Od razu ją rozpoznałem. Rozwiały się wszystkie moje wątpliwości i tysiące nedorzecznych domysłów. Zamiast nich pojawił się jednak smutek. Przykra była myśl, że pracuje w takim miejscu i że w związku z tym zmuszona jest rozdawać dookoła te sztuczne uśmiechy i chcąc nie chcąc, wdzięczyc się do publiczności.

Kobietę z obrazu można było wyobrazić sobie w każdych okolicznościach, nawet jak przechodzi z jednych ramion w drugie. Ale taką?! Gdzie była ta dumna, niezależna i silna kobieta z moich wyobrażeń?

Wolałbym już chyba zobaczyć ją tak, jak to sobie roiłem przed chwilą – pijaną, tańczącą i całującą się z obcymi mężczyznami. Robiłaby to przynajmniej z własnej woli. W zupełnym zapomnieniu, machnąwszy na wszystko ręką... A do tej pracy najwyraźniej się zmuszała. Nie było nic nadzwyczajnego w jej grze i tylko jej głos był sam z siebie piękny czy też raczej przejmujący. Śpiewała piosenki drżące od żalu, tak jakby robił to jakiś pijany młodzieniec. Jej uśmiech, przyczepiony do twarzy niczym niedbale przyszyta łata, zdawał się tylko czekać okazji, by odpaść. Rzeczywiście, gdy po skończonym numerze przechodziła od jednego stolika do drugiego, jej twarz na chwilę stawała się poważna, przybierając dokładnie ten sam wyraz, jaki pamiętałem z obrazu. Nie było dla mnie nic bardziej gorzkiego od człowieka, który będąc ze swojej natury smutny, usiłuje zmuszać się do śmiechu. Pijany mężczyzna siedzący przy jednym ze stolików, do których podeszła, zerwał się nagle ze swego miejsca i cmoknął ją w odkryte plecy. Przez jej twarz przemknął grymas, jakby ukąsiła ją zmija, a przez ciało przebiegły dreszcze. Trwało to jednak bardzo krótko, może nawet nie ułamek sekundy. Po chwili zobaczyłem, jak wyprostowała się i uśmiechnęła do tego młodzieńca, dając mu tym jakby do zrozumienia, że było to bardzo przyjemne. Następnie spojrzała na siedzącą obok niego kobietę, która chyba nie była zadowolona z zachowania partnera, i kiwnęła głową, jakby chciała jej powiedzieć: „Proszę nie zwracać na to uwagi, to nic takiego!”.

Po każdej piosence rozlegały się oklaski, a kobieta dawała znak orkiestrze, że może zacząć kolejny kawałek. Zaczynała znów śpiewać tym samym mocnym, pełnym żalu głosem. Sunąc po posadzce w długiej, białej sukni, zatrzymywała się przy kolejnych stolikach, obok pijanych, obejmujących się par lub przed zasłoniętymi łóżami. Przytrzymując brodą skrzypce, niezbyt wprawnie wodziła smyczkiem po strunach.

Wpadłem w panikę, gdy zorientowałem się, jak bardzo blisko podeszła do mojego stolika. Nie miałem pojęcia, jak powinienem na nią spojrzeć, jak się zachować. Szybko jednak zacząłem się śmiać z tych myśli. Bo czy mogła rozpoznać człowieka, którego widziała wczoraj przelotnie na ciemnej ulicy, w środku nocy? Dlaczego miałyby potraktować mnie inaczej niż pierwszego lepszego młodzieńca, który przyszedł tutaj znaleźć sobie partnerkę i trochę się zabawić? Spuściłem głowę. Zobaczyłem przybrudzony rąbek jej sukni, która sunąc po podłodze, zbierała kurz, a także wystające spod niej noski białych, odkrytych półbutów. Nie miała na sobie pończoch. Mimo przyćmionego światła u nasady palców na jej stopie widać było niewielkie, zaróżowione miejsce. Gdy spoczął na nim mój wzrok, poczułem się, jakbym zobaczył ją nagą. Drgnąłem i zawstydzony uniosłem głowę. Uważnie mi się przyglądała. Teraz grała jedynie na skrzypcach, nie śpiewała. Na twarzy nie było już śladu po tamtym sztucznym uśmiechu. Gdy nasze spojrzenia się spotkały, serdecznie pozdrowiła mnie oczyma. Tak, pozdrowiła mnie zupełnie naturalnie i bez złośliwości, jak starego przyjaciela. Zaledwie jeden raz, szybko zamknęła je i otworzyła. Było to tak jednoznaczne, że nie mogło być mowy o pomyłce. A potem się uśmiechnęła – uśmiechem, który ogarnął całą twarz, swobodnie, niewinnie i szczerze. Jakby uśmiechała się do dobrego przyjaciela... Pograła jeszcze chwilę przy moim stoliku i znów – tym razem dodatkowo skinieniem głowy – pozdrowiła mnie i poszła dalej, kontynuując obchód sali.

Pragnąłem zerwać się z miejsca i chwycić ją w objęcia, wycałować przez łzy. Nie pamiętałem, żebym kiedykolwiek wcześniej był tak szczęśliwy, żebym uspokoił się tak bardzo. Jak człowiek może uczynić drugiego tak bardzo szczęśliwym, nie robiąc niemal nic w tym celu? Przyjacielskie pozdrowienie i niewinny uśmiech... Nie potrzebowałem w tej chwili niczego więcej. Byłem najbogatszym człowiekiem na ziemi. Obserwowałem ją, szepcząc: „Dziękuję ci... Dziękuję!”. Cieszyłem się, że potwierdziło się wszystko to, o czym myślałem, patrząc na jej portret. Była dokładnie taka, jak ją sobie wyobrażałem... Bo czy w przeciwnym razie spjrzałyby na

mnie i pozdrowiła mnie w taki sposób?

I wtedy do moich myśli zakradła się wątpliwość: a może wzięła mnie za kogoś innego? Albo po prostu moja twarz wydała jej się znajoma – widziała mnie w końcu wczoraj wieczorem, tam na ulicy... Może nie mogła sobie przypomnieć, skąd mnie zna, i pozdrowiła mnie tylko tak na wszelki wypadek? Ale na jej twarzy nie było najmniejszych bodaj oznak niepewności, cienia zadumy wskazującego na to, że stara się odnaleźć w pamięci moje oblicze... Z przekonaniem spojrzała mi prosto w oczy i się uśmiechnęła. A ten gest zażyłości wystarczał, bym poczuł się najszczęśliwszym z ludzi. Siedziałem przy stoliku, z aroganckim i beztroskim uśmiechem zadowolonego z życia człowieka. Rozglądałem się dookoła, patrzyłem na tę młodą kobietę, która teraz śpiewała na drugim końcu sali. Krótkie i kręcone ciemnokasztanowe włosy opadały jej na kark. Gdy ruszała ramionami, talia wyginała się to w prawo, to w lewo, a mięśnie na jej plecach lekko drgały.

Po ostatniej piosence szybko zniknęła gdzieś za orkiestrą. Zapaliły się światła. Przez jakiś czas siedziałem, o niczym nie myśląc, pogrążony w swoim szczęściu. Potem zacząłem się zastanawiać, jak powinienem się teraz zachować. Wyjść przed lokal i czekać na nią pod drzwiami? Ale po co? Co pomyśli o mężczyźnie, który nie zamieniwszy z nią nigdy ani słowa, nagle stanie na jej drodze i spyta: „Mogę odprowadzić panią do domu?”. Czy na poświęconą mi uwagę miałem odpowiedzieć najbardziej banalnym zdaniem z repertuaru pierwszego lepszego podrywacza?

Uznałem, że najlepiej będzie wrócić tutaj znowu jutro wieczorem, stopniowo zacieśniać naszą znajomość... I tak wydarzyło się wiele jak na jedną noc... Właściwie to już od małego pilnowałem się, by nigdy nie przesadzać i nie trwonić swego szczęścia. Zawsze chciałem zostawić sobie na potem jakąś jego część... Pociągnęło to za sobą co prawda wiele straconych okazji, nigdy jednak nie ośmieliłem się żądać zbyt wiele, by nie odstraszyć swego szczęścia.

Chciałem zawołać kelnera. Mój wzrok zatrzymał się na kobiecie, która

minąwszy orkiestrę, skierowała się na salę. Nie miała w ręku skrzypiec. Zbliżała się bardzo szybko. Widząc, że kieruje się w moją stronę, rozejrzałem się dookoła... Ale nie, szła do mnie, prosto do mojego stolika. Uśmiechała się przyjaźnie, jak przed chwilą. Zatrzymała się przede mną i podała mi rękę na powitanie.

– Co u pana słysząc? – spytała.

Zdołałem już trochę otrząsnąć się z zaskoczenia i zreflektowałem się na tyle, by wstać.

– Wszystko w porządku, dziękuję!

Usiadła naprzeciwko mnie. Potrząsnęła głową, by odgarnąć włosy opadające jej na policzki, i spojrzała na mnie.

– Pan się chyba na mnie obraził?

Zaskoczony nie wiedziałem, o co jej chodzi. Przychodziło mi do głowy mnóstwo najbardziej niedorzecznych myśli.

– Ależ nie, dlaczego?

Jej głos brzmiał znajomo. Nie było nic dziwnego w tym, że doskonale znałem rysy jej twarzy ani nawet że nadawałem im więcej treści, niż w sobie zawierały. Zdążyły one przecież porządnie utrwalić się w mojej głowie, gdy całymi dniami oglądałem jej portret. Później jeszcze dopełniłem sobie ten obraz wizerunkiem Madonny. Ale jej głos... Musiałem go już chyba gdzieś słyszeć. Może bardzo dawno temu, w dzieciństwie... A może też tylko w wyobraźni.

Próbowałem uwolnić się od tych myśli. Skoro siedziała teraz naprzeciwko mnie i ze mną rozmawiała, zajmowanie się nimi było nie na miejscu.

Dopytywała się dalej:

– Czyli pan się nie gniewa... To dlaczego w takim razie więcej się pan już nie pojawił?

A jednak! Rzeczywiście wzięła mnie za kogoś innego... Już otwierałem usta, żeby zapytać, skąd się znamy, ale zrezygnowałem z tego, kierując się niezbyt szlachetnymi pobudkami. Gdyby zorientowała się w pomyłce,

pewnie od razu by odeszła, rzucając na odchodnym tylko krótkie: „Przepraszam!”.

Im dłużej trwał ten przepiękny sen, tym lepiej. Nie miałem prawa go kończyć ani zarzucać w połowie, by obudzić się z niego choćby w imię prawdy.

Ponieważ nie odpowiadałem, spytała mnie o coś innego:

– Dostaje pan listy od matki?

Oślupiałem. Trwało to jednak niecałą sekundę. Zerwałem się z krzesła i ująłem jej rękę.

– O Boże, to była pani? Niemożliwe! – wykrzyknąłem. Wszystko zrozumiałem. Przypomniałem sobie, gdzie już słyszałem ten głos.

– Ależ z pana dziwak! – powiedziała, wybuchając kryształowym śmiechem.

On również nie był mi obcy. Należał do kobiety, która podeszła do mnie, gdy siedziałem zamyślony przed obrazem w galerii. To ona spytała, co tak zaintrygowało mnie w tym płótnie, a gdy skłamałem, że przypomina mi moją matkę, ze śmiechem spytała, czy mam jej fotografię... Nie mogłem zrozumieć, jakim cudem nie rozpoznałem jej wtedy. Czyżby tamten obraz spodobał mi się tak bardzo, że odebrał mi zdolność rozpoznania samego pierwowzoru?

– Ale pani wtedy zupełnie jej nie przypominała! – wyszeptałem.

– A skąd pan wie? Przecież pan nawet na mnie nie spojrzał!

– Nie, nie wydaje mi się... Jak to możliwe?

– Owszem, kilka razy pan spojrzał... Ale jak? Żeby nie zobaczyć! – Wysunęła rękę, które wciąż trzymałem w dłoni, i dodała: – Gdy wróciłam do kolegów, nie powiedziałam im, że mnie pan nie poznał. Bardzo by się z pana śmiali!

– Dziękuję.

Zamyśliła się z lekka. Coś jakby mgła przesłoniła jej spojrzenie.

– I jak, nadal chciałby pan mieć taką matkę? – spytała poważnie.

W pierwszej chwili nie zrozumiałem, o co jej chodzi. Potem sobie przypomniałem.

– Tak... I to jak bardzo!

– Dokładnie tak samo odpowiedział mi pan wtedy.

– Możliwe...

Znowu się roześmiała.

– Czyli mogłabym być pańską matką?

– Ach, nie, nie!

– To może siostrą?

– Ile ma pani lat?

– Od kiedy to pyta się kobietę o wiek? Ale niech będzie – dwadzieścia sześć! A pan?

– Dwadzieścia cztery.

– Widzi pan? Mogłabym być pańską starszą siostrą!

– Tak...

Na jakiś czas zapadła cisza... Czułem, że ciśnie mi się do głowy nieskończenie wiele rzeczy, które chciałbym jej powiedzieć, a których nie zdążyłbym wypowiedzieć przez lata... Żadna z nich nie przychodziła mi jednak na język w tej chwili. Ona również, milcząca, patrzyła na ziemię. Oparła prawy łokieć o stół, a rękę wyciągnęła na białym obrusie. Miała małe, zwężające się ku końcom palce, których kości wydawały się bardzo cienkie. Były zaczerwienione, jakby zmarzły. Rzeczywiście, gdy trzymałem jej rękę w swojej dłoni, zwróciłem uwagę na to, że są zimne. Wykorzystałem to jako pretekst do podjęcia rozmowy.

– Ma pani bardzo zimne ręce – zauważyłem.

– To proszę je ogrzać! – odpowiedziała śmiało i wyciągnęła je przed siebie.

Spojrzałem w jej władcze, śmiałe oczy. Chyba nie widziała nic niezwykłego w takim zachowaniu wobec prawie obcego mężczyzny. Czyżby jednak? Znow ogarnęły mnie poprzednie, niedorzeczne przypuszczenia. Musiałem coś powiedzieć, żeby je od siebie oddalić.

– Można mnie częściowo usprawiedliwić, że wtedy pani nie poznałem – zacząłem. – Była pani tak bardzo wesola, do tego jeszcze uszczypliwa... Poza tym, jak to powiedzieć, była pani jakby zupełnym przeciwieństwem swojego portretu... Włosy krótkie... Spódniczka również, ubranie obcisłe... Poruszała się pani jakby biegiem, w podskokach... Nie było łatwo rozpoznać w pani tamtej statecznej, zamyślonej, a nawet smutnej – jak to napisał jeden z krytyków – „Madonny”... Mimo to jestem zdziwiony... Rzeczywiście musiała pochłonąć mnie bez reszty...

– Wygląda na to, że tak... Widziałam pana, kiedy po raz pierwszy przyszedł pan na wystawę. Zwiedzał ją pan jakby na siłę, aż nagle zatrzymał się pan przed moim obrazem... Zaczął się pan w niego wpatrywać z taką dziwną uwagą, że uderzyło to wszystkich dookoła. W pierwszej chwili pomyślałam, że obraz przypominał panu kogoś bliskiego. Potem przychodził pan tam każdego dnia... Wzbudziło to moją ciekawość, łatwo może pan to chyba zrozumieć. Kilka razy do pana podeszłam i oglądałam obraz razem z panem, niemal ramię w ramię. Pan oczywiście nic nie zauważył, mimo że kilka razy pańskie oczy spoczęły na tym zakłócającym spokój intruzie. To pańskie zamroczenie miało dziwny urok... Poza tym, jak już mówiłam, byłam po prostu ciekawa. W końcu postanowiłam się do pana odezwać. Zaintrygował pan też innych moich kolegów malarzy... Też na to nalegali... Żałuję teraz, że to zrobiłam... Straciliśmy pana zupełnie... Więcej się już pan tam nie pojawił!

– Nie chciałem wystawiać się na pośmiewisko... – powiedziałem i od razu pożałowałem tych słów. Mogła się przecież na to obrazić. Zareagowała jednak zupełnie inaczej:

– Jest pan całkowicie usprawiedliwiony! – Przyjrzała mi się uważnie, jakby szukała czegoś w mojej twarzy. – Jest pan tutaj samotny, prawda?

– W jakim sensie?

– Samotny... Po prostu sam... Bez nikogo... Samotny duchem... Jak to ująć... Jest w panu coś takiego, że...

– Rozumiem, wszystko rozumiem... Jestem zupełnie samotny... Ale nie

tylko w Berlinie... Na całym świecie... Od zawsze...

– To tak jak ja... – Tym razem to ona chwyciła mnie za rękę. – Samotna nie do wytrzymania... – mówiła dalej – samotna jak bezdomny pies... – Mocno ścisnęła moje palce, lekko je podniosła i uderzyła nimi o stół. – Możemy zostać przyjaciółmi! Pan zna mnie dopiero od kilku minut, ale ja przyglądałam się panu przez piętnaście, dwadzieścia dni... Jest pan zupełnie inny niż wszyscy... Tak, moglibyśmy być bardzo dobrymi przyjaciółmi...

Popatrzyłem na nią smutno. Co chciała przez to powiedzieć? Co mogło się kryć za taką propozycją? Nie wiedziałem. Nie miałem żadnego doświadczenia, w ogóle nie znałem ludzi.

Zauważyła to. Na jej twarzy pojawił się niepokój człowieka, który nie chce się posunąć za daleko w obawie, że zostanie źle zrozumiany.

– Niech i pan nie myśli tak, jak inni mężczyźni... – powiedziała. – Proszę niczego się nie doszukiwać w moich słowach... Ja zawsze mówię wprost... Jak mężczyzna... W wielu rzeczach przypominam zresztą mężczyzn... Może przez to jestem sama... – Przez dłuższą chwilę mierzyła mnie spojrzeniem. – A pan z kolei ma w sobie coś z kobiety... – powiedziała nieoczekiwanie. – Teraz to zauważyłam... Chyba to dlatego od pierwszej chwili, w której pana zobaczyłam, wyczułam w panu coś, co mi się spodobało... Coś, co spotyka się raczej u młodych dziewcząt...

Usłyszeć od nowo poznanej osoby słowa, których wystarczająco nasłuchałem się już wcześniej od rodziców, było czymś dziwnym i zasmucającym... Mówiła dalej:

– Nigdy chyba nie zapomnę wczorajszego incydentu! Przez całą noc śmiałam się z niego, za każdym razem, gdy o nim pomyślałam... Wyrwał się pan jak niewinne dziewczę usiłujące bronić swej cnoty. Tymczasem wcale nie jest tak łatwo wyrwać się ze szponów Frau van Tiedemann!

Wybałuszyłem oczy ze zdumienia.

– To pani ją zna?

– Jak mogę nie znać, to moja krewna! Córka mojego wuja... Ale teraz nie

żyjemy ze sobą najlepiej... To znaczy nie ja... Moja matka nie chce jej widzieć, nie podoba jej się to, jak teraz żyje... Jej mąż był adwokatem, zginął na wojnie... A ona zaczęła, jak to mówi moja matka, „niewłaściwie się prowadzić”... Ale nam co do tego? Co stało się wczoraj? Udało się panu wywinąć? Skąd wy się w ogóle znacie?

– Mieszkamy w tym samym pensjonacie. Wczoraj uratował mnie przypadek. Mieszka z nami niejaki Herr Döppke, bardzo interesuje się pani wujeczną siostrą. Wpadliśmy na niego na korytarzu...

– To niech się pobiorą.

Zrozumiałem, że chciała na tym uciąć temat. Znów zamilkliśmy na jakiś czas. Dyskretnie rzucaliśmy sobie sondujące spojrzenia, a gdy się spotkały, nie spuszczałyśmy wzroku, patrząc na siebie z uśmiechem aprobaty, jakby chcąc nim wyrazić, że podoba nam się to, co zobaczyliśmy.

Pierwszy przerwałem milczenie:

– Czyli ma pani matkę?

– Podobnie jak pan!

Zawstydzilem się swojego głupiego pytania. Zauważyła to i szybko zmieniła temat:

– Widzę pana tutaj po raz pierwszy.

– Tak, zazwyczaj nie chodzę do takich miejsc... Jedynie dziś wieczorem...

– Dziś wieczorem?

– Przyszedłem tutaj za panią! – wyrzuciłem z siebie, zbierając w sobie całą odwagę.

Chyba trochę ją tym zaskoczyłem.

– To pan szedł za mną aż do drzwi?

– Tak... Czyli pani zauważyła...

– Oczywiście... Czy kobieta może nie zauważyć czegoś takiego?

– Ale nie obejrzała się pani ani razu!

– Nigdy nie oglądam się za siebie... – Umilkła na chwilę, po czym z kokieteryjnym uśmiechem ciągnęła dalej: – To taka moja mała rozrywka. Gdy zauważę, że ktoś za mną idzie, staram się powstrzymać ciekawość

i naumyślnie się nie odwracając, próbuję odgadnąć po krokach, kto to może być: jakiś młodzieniec czy może stary i zgrzybiały łowca kobiet, bogaty książe, biedny student czy może pijany włóczęga. Na takich domysłach upływa mi droga, tak że nawet nie wiem kiedy, a już jestem na miejscu... Czyli tym razem to był pan, no, no... A ja po pańskich ostrożnych krokach wzięłam pana za podstarzałego, żonatego faceta! – Nagle spojrzała mi prosto w oczy. – Czekał pan na mnie na ulicy?

– Tak!

– Skąd pan wiedział, że znowu będę tamtędy przechodziła? Wiedział pan, że tutaj pracuję?

– Nie, ale sam nie wiem... Chyba już mówiłem... Nie, chyba jednak nie... Nogi same zaprowadziły mnie tam o tej samej godzinie... A potem, gdy pani nadeszła, przestraszyłem się, że mnie pani zobaczy, i schowałem się w bramie.

– Chodźmy stąd... Porozmawiamy po drodze... – Zauważywszy moje zmieszanie, spytała wprost: – Nie chce mnie pan odprowadzić do domu?

W jednej chwili zerwałem się na nogi. Rozśmieszyło ją to.

– Powoli, przyjacielu. Przecież muszę się jeszcze przebrać. Proszę czekać na mnie za pięć minut przed wejściem!

Pośpiesznie wstała, prawą ręką zakasała suknię i szybkimi krokami oddaliła się, znikając na tyłach orkiestry. Po drodze znów spojrzała na mnie swymi pięknymi oczami i mrugnęła jak do starego przyjaciela.

Zawołałem kelnera i zapłaciłem rachunek. Niespodziewanie ożywiłem się i nabrałem śmiałości. Podczas gdy zapisywał w zeszycie kilka liczb, nie odrywałem od niego oczu, jakbym chciał mu przez to powiedzieć: „Aleś ty głupi, nie widzisz, jaki jestem szczęśliwy?”. Zapragnąłem uśmiechnąć się do muzykantów i do wszystkich gości, którzy nie opuścili jeszcze lokalu, rzucić się im w objęcia i w przypływie przyjacielskich uczuć wycałować ich wszystkich, jakby byli moimi przyjaciółmi, z którymi wreszcie spotkałem się po wieloletniej rozłące.

Wstałem. Swobodnie, dużymi i pewnymi krokami wyszedłem do szatni,

przeskakując po kilka stopni schodów naraz. Mimo że nie miałem w zwyczaju szastać pieniędzmi, kobiecie wydającej moje palto zostawiłem aż całą markę. Wyszedłem na zewnątrz, wziąłem głęboki oddech i rozejrzałem się dookoła. Neon z napisem „Atlantik” już zgasł i morskie fale pogrążyły się w ciemności. Niebo było jasne, a na zachodzie widniał cienki sierp księżyca, który znacznie przybliżył się już do widnokręgu.

– Długo pan czeka? – rozległ się za mną cichy głos.

– Nie... Dopiero co wyszedłem – odpowiedziałem, odwracając się.

Stała naprzeciw mnie, szybko mrugając powiekami, jak ludzie namyślający się przed podjęciem decyzji. W końcu lekko poruszyła ustami:

– Pan naprawdę wygląda na porządnego człowieka!

Gdy tylko się pojawiła, opuściła mnie cała niedawna odwaga i swoboda. Chciałem ścisnąć i ucałować jej dłonie, lecz zdobyłem się tylko na to, by wydobyć z siebie ledwo dosłyszalnym głosem dwa słowa:

– Nie wiem...

Swobodnie chwyciła moje ramię, drugą ręką ujmując mnie za brodę.

– Ach, pan naprawdę jest płochliwy jak panienka! – powiedziała pieszczotliwie, jakby miała przed sobą małego chłopca.

Zaczerwieniony wbiłem wzrok w ziemię. Bardzo krępowało mnie tak śmiałe zachowanie kobiety. Musiała to chyba wyczuć, bo nie posunęła się dalej. Najpierw puściła moją brodę, potem powoli zdjęła rękę z mego ramienia. Gdy na nią spojrzałem, nie byłem w stanie poznać jej twarzy. Malowało się na niej zmieszanie graniczące wręcz ze wstydem. Szyja i policzki były czerwone jak ogień. Przymknęła oczy i nie śmiała na mnie spojrzeć. Zastanowiło mnie to: „Dlaczego tak robi? To jasne, że nie jest taką kobietą... Ale dlaczego tak robi?”.

– Taka już jestem! – powiedziała, jakby czytając w moich myślach. – Jestem dziwną kobietą... Jeśli chce się pan ze mną przyjaźnić, będzie pan musiał przymknąć oko na wiele rzeczy... Miewam kaprysy, w jednej chwili jestem taka, za chwilę już inna... Jednym słowem, dość kłopotliwa i trudna ze mnie przyjaciółka... – Po czym, jakby zła na siebie, że przedstawiła się

w tak niekorzystnym świetle, niemal szorstko dodała: – Ale to pański wybór... Ja nie potrzebuję nikogo... Nie mam zamiaru nic nikomu zawdzięczać ani nikogo prosić o przyjaźń czy życzliwość... Jak pan chce...

– Postaram się panią zrozumieć – powiedziałem wciąż tym wystraszonym głosem.

Uszliśmy kilka kroków. Z powrotem wsunęła rękę pod moje ramię i kontynuowała bezbarwnym tonem, jakby mówiła o najbardziej banalnych sprawach:

– Postara się pan mnie zrozumieć? Niezły pomysł... Wydaje mi się jednak, że to daremny trud! Obawiam się, że nie zawsze będę umiała być dobrą przyjaciółką. Czas pokaże... Jeśli będę wszczynając drobne kłótnie, nie ma to większego znaczenia. Niech pan na nie po prostu nie zwraca uwagi. – Zatrzymała się pośrodku drogi i pokiwała palcem, jakby upominając dziecko, by było grzeczne: – Ale proszę nie zapominać, że jeśli pewnego dnia czegokolwiek pan ode mnie zażąda, będzie to oznaczało koniec wszystkiego. Niczego, rozumie pan, niczego nigdy pan ode mnie nie będzie chciał... – Kontynuowała ostrym tonem, jakby rzucała wyzwanie niewiadomemu przeciwnikowi: – Wie pan, dlaczego tak bardzo nienawidzę was wszystkich, mężczyzn? Właśnie dlatego, że tak wiele od nas żądają, jakby to było ich przyrodzonym prawem... Niech mnie pan źle nie zrozumie... Nie trzeba nawet wypowiadać tego wprost... Te męskie spojrzenia, uśmiešky, gesty, całe zachowanie względem kobiet, to... Chyba tylko ślepy nie zauważyłby tego idiotycznego zadufania. Wystarczy zobaczyć zdziwienie, jakie ogarnia ich, gdy w jakikolwiek sposób się im odmawia, by zdać sobie sprawę z tej ich aroganckiej dumy. Wiecznie uważają się za myśliwych, a o nas myślą wyłącznie jak o zwierzynie. Naszym obowiązkiem jest podporządkować się i pokornie wykonywać to, czego się od nas żąda... My nie możemy niczego pragnąć, niczego dawać od siebie... Brzydzi mnie ta nedorzeczna buta. Rozumie pan? Właśnie dlatego czuję, że z panem mogłabym się zaprzyjaźnić. W panu tego wszystkiego nie ma... Ale sama już nie wiem... Nie raz widziałam już, jak baranek

pokazywał wilcze kły...

W połowie tego przemówienia ruszyliśmy dalej. Jej kroki były szybkie i gwałtowne. Mówiła, gestykulując, to podnosząc, to opuszczając oczy. Po każdym zdaniu robiła długą pauzę, tak że mogło się zdawać, że powiedziała już wszystko, co chciała.

Przeszliśmy spory kawałek drogi. Znowu zamilkła na dłuższą chwilę. Lękliwie szedłem obok niej w milczeniu. Zatrzymała się pod trzypiętrową kamienicą przy jednej z ulic w pobliżu Tiergarten.

– Mieszkam tutaj... Z matką... Jutro wrócimy do naszej rozmowy... Ale proszę tam już nie przychodzić... Nie chcę, żeby oglądał mnie pan w takim miejscu... Może to pan odebrać jako ukłon w pańską stronę... Spotkajmy się wcześniej... Pójdziemy na spacer. Mam tutaj swoje ulubione miejsca, zobaczymy, czy się panu spodobają... No, a tymczasem dobranoc... Jeszcze chwilkę! Nie wiem nawet, jak panu na imię!

– Raif.

– Raif? I to wszystko?

– Hatipzade Raif^[3].

– Ach, nie ma szans... Ani nie zapamiętam, ani nie będę umiała tego wymówić! Mogę mówić do pana po prostu Raif?

– Będzie mi tym bardziej miło!

– Pan też niech mówi do mnie po prostu Maria... Mówiłam, że nie chcę pozostawać nikomu dłużna!

Znów się roześmiała, a jej tak często zmieniająca się twarz znów przybrała ten przyjemny, przyjazny wyraz. Podała rękę i uścisnęła mi dłoń. Miękkim, niemal przeproszającym tonem po raz kolejny życzyła mi dobrej nocy, wyciągnęła klucze z torebki i odwróciła się do drzwi. Powoli poszedłem w swoją stronę. Po kilku krokach usłyszałem, jak za mną woła:

– Raifie!

Odwróciłem się i czekałem, nie ruszając się z miejsca.

– Proszę wrócić! – Zdawało się, że ledwo powstrzymuje się od śmiechu. Z przesadną uprzejmością powiedziała: – Jestem szczęśliwa, że tak szybko

dostąpiłam zaszczytu zwracania się do pana po imieniu!

Stała na najwyższym stopniu schodów, musiałem więc nieco unieść głowę, żeby spojrzeć jej w twarz. Stała w półmroku, niczego więc nie zobaczyłem. Czekałem, aż powie coś więcej. I rzeczywiście, wciąż z tą nutką śmiechu w głosie, siląc się na powagę, spytała:

– Czyli pan sobie idzie?

Z sercem w gardle zrobiłem krok do przodu. Nie wiedziałem, czy cieszyć się czy smucić. Z nadzieją, którą obawiałem się do siebie dopuścić, spytałem:

– Mam zostać?

Zeszła o dwa stopnie. Jej twarz była teraz doskonale widoczna w świetle ulicznych latarni. Nie spuszczać ze mnie swoich czarnych oczu, spytała przewrotnie:

– Wie pan już, po co zawołałam pana z powrotem?

Wiem, wiem... Oto wróciłem i już miałem rzucić się w jej ramiona. Lecz silniejsze od tego było ogarniające mnie przygnębienie i niedowierzanie, a nawet mdłości. Czerwony na twarzy spuściłem głowę. Nie, nie! Nie chciałem tego!

Przejechała dłonią po moich policzkach.

– Co się z panem dzieje? Zaraz pan mi się tutaj rozplącze! Pan rzeczywiście potrzebuje matki, a nie siostry... Chciał pan sobie już iść, prawda?

– Tak!

– Umówiliśmy się, że nie będzie mnie już pan więcej szukał w „Atlantiku”...

– Tak, mamy spotkać się wcześniej.

– A gdzie?

Patrzyłem na nią z tępych wyrazem twarzy. Zupełnie o tym nie pomyślałem. Spytałem niemal błagalnie:

– To po to mnie pani zawołała?

– Oczywiście... Pan naprawdę nie przypomina innych mężczyzn...

Pierwsze, o czym myślą, to ustalić takie rzeczy. A pan się zabiera i odchodzi... Przecież nie zawsze będzie miał pan takie szczęście jak dzisiaj...

Poczułem, jak ostatecznie uwalniam się od dręczących podejrzeń. Straszna była myśl, że mógłbym przeżyć z nią jakiś przelotny romans. Byłoby to ponad moje siły. Wolałem już raczej, żeby Madonna w futrze uznała mnie za niedoświadczonego głupca, choć i ta perspektywa była dość przygnębiająca. Wyobrażanie sobie, jak po rozstaniu ze mną śmieje się za moimi plecami, jak drwi z mojej niewinności i tchórzostwa, mogło pociągnąć za sobą poważne konsekwencje, sprawić, że porzucając resztki złudzeń co do ludzi, całkowicie odsunąłbym się od wszystkich i ostatecznie już zamknął się w sobie.

Ale teraz kamień spadł mi z serca. Wstydzilem się tych zuchwałych podejrzeń, które zatruwały mnie jeszcze przed chwilą. Czułem też do niej ogromną wdzięczność za to, że mnie wreszcie od nich uwolniła. Z zadziwiającą odwagą zebrałem się na wyznanie:

– Jest pani niesamowitą kobietą!

– Nie tak szybko... Niech pan będzie ostrożny z wydawaniem sądów na mój temat!

Pocałowałem ją w rękę. Miałem chyba łzy w oczach. Przez chwilę widziałem, jak nachyla się nade mną i patrzy o wiele serdeczniej niż dotychczas, niemal pieszczotliwie. Wobec tego szczęścia – będącego ledwie o kilka centymetrów – moje serce niemal zamarło. Nagle dość gwałtownym ruchem zabrała rękę i wyprostowała się.

– Gdzie pan mieszka?

– Na ulicy Lützow.

– To niedaleko! W takim razie proszę przyjść po mnie tutaj jutro po południu.

– Pod którym numerem pani mieszka?

– Będę wyglądała pana z okna. Nie ma potrzeby, by wchodził pan na górę!

Przekręciła klucz tkwiący w drzwiach i weszła do środka.

Żwawo ruszyłem w stronę pensjonatu. Wydawało mi się, że moje ciało jest lżejsze niż zwykle. Wciąż miałem przed oczyma jej twarz. Mamrotałem coś do siebie pod nosem, sam nie wiedząc co. Gdy zwróciłem na to uwagę, zorientowałem się, że wciąż powtarzam jej imię i zwracam się do niej w czułych słowach. Co jakiś czas dostawałem napadów cichego, przerywanego śmiechu. Zaczynało powoli świtać, gdy dotarłem na miejsce.

Może po raz pierwszy od czasów dzieciństwa usnąłem, nie zadreęczając się myślami o bezsensowności i pustce swego życia, nie mówiąc sobie na dobranoc: „Minął kolejny dzień... Następne miną dokładnie tak samo, a potem...”.

Następnego dnia nie poszedłem do fabryki. Około wpół do trzeciej, przecinając Tiergarten, przyszedłem pod kamienicę, w której mieszkała Maria Puder. Zastanawiałem się, czy aby nie pojawiłem się trochę za wcześnie. Zmęczona po pracy, wczoraj jeszcze dodatkowo wróciła do domu później niż zwykle... Przepęłniała mnie niemożliwa do opisanego czułość wobec niej. Wyobrażałem sobie, jak śpi, jak jej włosy rozsypane są na poduszce, a w pokoju słychać jej powolny oddech. Wydawało mi się, że nie można zaznać w życiu większego szczęścia, niż zobaczyć ten obrazek w rzeczywistości.

Zainteresowanie, którego do tej pory skąpiłem ludziom, i prawdziwa miłość, jakiej nigdy jeszcze wobec nikogo nie czułem, nagromadzone we mnie przez te wszystkie lata, teraz zdawały się skupić właśnie na niej.

Byłem świadom tego, że na dobrą sprawę nic pewnego o niej nie wiem, że wszystkie moje sądy na jej temat opierają się wyłącznie na moich marzeniach i domysłach. Mimo to byłem całkowicie pewny, że w niczym się nie rozczaruję.

Przez całe życie czekałem na kogoś takiego jak ona. Czy to możliwe, by moja intuicja – wyczulona i całkowicie skoncentrowana na tych poszukiwaniach, z myślą o nich nieustannie badała każdą napotkaną osobę, czyniąc sobie z tego niemal chorobliwy nawyk – pomyliła się po raz

pierwszy właśnie teraz? Bo jeszcze nigdy mnie nie zawiodła. Zazwyczaj to ona pierwsza podpowiadała mi wstępną ocenę danego człowieka. Potem rozum i życiowe doświadczenie weryfikowały ją, najczęściej negatywnie. I za każdym razem okazywało się, że ostatecznie racja znowu była po jej stronie. Bywało, że człowiek, którego na początku ocenilem dobrze, z czasem tracił w moich oczach (zdarzało się również odwrotnie). Mówiłem sobie wtedy: „Intuicja tym razem cię zawiodła!”. Prędzej czy później musiałem jednak oddać jej sprawiedliwość i wszystkie czynniki, jakie przyczyniły się do zniekształcenia pierwszej, podsunętej przez nią myśli, uznać za fałszywe, powierzchowne i przejściowe.

Maria Puder już teraz była dla mnie człowiekiem, którego bezwarunkowo potrzebowałem do życia. Początkowo wydawało mi się to dziwne. Bo jak to tak nagle potrzebą mogło stać się dla mnie ciało człowieka, którego istnienia nie byłem świadomy przez całe swoje życie? Ale czy to nie zawsze dzieje się właśnie tak? Czy naszych potrzeb nie uświadamiamy sobie dopiero po tym, jak zobaczymy już i poznamy to, co stanowi ich przedmiot? Również ja przyczyny pustego i pozbawionego celu życia zacząłem upatrywać jedynie w tym, że nie było dotąd przy mnie kogoś takiego jak ona. Moje odsunięcie się od ludzi, obawa przed okazaniem im choćby małej części tego, co się we mnie dzieje, wydały mi się nieuzasadnione i absurdalne. Bałem się, że nachodząca mnie co jakiś czas chandra i znużenie życiem są oznakami choroby psychicznej. Gdy czytając książkę, dochodziłem do wniosku, że ostatnie dwie godziny spędzone nad nią były bardziej treściwe i znaczące niż większość dotychczas przeżytych przeze mnie lat, życie ludzkie wydawało mi się przerażająco błahe, a myśl ta doprowadzała mnie do rozpacz.

Teraz jednak wszystko uległo zmianie. W ciągu ostatnich kilku tygodni, które upłynęły od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyłem portret tej kobiety, czułem, że moje życie jest bardziej intensywne niż kiedykolwiek wcześniej. Każdy dzień, każda godzina, nawet ta poświęcona na sen, były teraz wypełnione po brzegi. Dostrzegałem, że odradza się nie tylko moje

ciało, które zawsze dostarczało mi tylko zmęczenia, ale i dusza; że nagle ujawniają się w niej głęboko przyczajone rzeczy, o których dotąd nie miałem pojęcia, a które teraz roztaczają przede mną nowe, niezwykle nęcące perspektywy. Maria Puder uświadomiła mi, że mam duszę; po raz pierwszy i ja dostrzegłem ją również w drugim człowieku. Każdy z nas ją posiada, nie może być co do tego wątpliwości – większość ludzi żyje jednak, nie zdając sobie z tego sprawy, i w tej samej nieświadomości odejdzie w swoim czasie, tam, skąd przyszła. Dusza, znajdując w końcu swoją krewniaczkę, nie zamierzając radzić się naszego rozumu ani oglądać na nasze plany, daje o sobie znać... I wtedy to dopiero zaczyna się dla nas prawdziwe, uduchowione życie. Wszystkie rozterki, cała nieśmiałość schodzą wówczas na dalszy plan, a dusze, nie zważając na nic, wrywają się na swoje spotkanie, by paść sobie w objęcia. Zniknęła cała moja nieśmiałość. Nie mogłem się doczekać, by wylać przed tą kobietą wszystkie swoje żale, obnażyć całe swoje wnętrze, ze wszystkimi jego dobrymi i złymi, mocnymi i słabymi stronami, niczego przed nią nie ukrywając. Miałem jej tak wiele do powiedzenia... Nie wiem, czy wystarczyłoby życia, by to wszystko wyrazić, nawet gdybym mówił bez przerwy. Bo do tej pory przez całe życie milczałem, zagłuszając w sobie każdą pokusę otworzenia się. Mówiłem sobie: „No dobrze, opowiesz wszystko, i co z tego? Na co liczysz?”. Tak jak zawsze, jedynie pod wpływem intuicji, bez żadnych konkretnych podstaw sądziłem o jakimś człowieku: „On mnie nie zrozumie!”, tak samo teraz, również opierając się tylko na tym przeczuciu, mówiłem sobie: „A ona mnie zrozumie!”...

Powoli doszedłem do kanału przecinającego południowy kraniec Tiergarten. Z mostku widać było dom Marii Puder. Była dopiero trzecia. Słońce błyszczało w oknach, trudno więc było dojrzeć, czy ktoś stoi za którymkolwiek z nich. Oparłem się o poręcz mostu i spojrzałem na nieruchomą powierzchnię stawu. Zaczął siąpić drobny deszcz, mącąc jego gładką taflę. Do samochodów stojących na pirsie wyładowywano z wielkiej barki owoce i warzywa. Z rosnących przy brzegu drzew opadały z rzadka

liście, wirując przy tym w powietrzu. Ile piękna było w tej melancholijnej pogodzie! Jak rześkie było to wilgotne powietrze, które wciągałem do płuc! Życ, będąc świadomym najmniejszych zmian zachodzących w przyrodzie; żyć, obserwując, jak z nieubłaganą logiką to życie upływa; żyć ze świadomością, że żyje się pełniej niż inni ludzie, że jedna chwila jest niczym całe życie... A nade wszystko żyć, mając kogoś, komu można o tym wszystkim opowiedzieć, żyć w oczekiwaniu na niego...

Czy mogło być coś bardziej pokrzepiającego? Mieliśmy za chwilę spacerować po tych wilgotnych ścieżkach i patrzeć na siebie, siedząc w jakimś ustronnym i ciemnym miejscu. Miałem jej opowiedzieć wiele rzeczy, których do tej pory nie mówiłem nikomu innemu, których nie powiedziałem nawet sobie. W jednej chwili pojawiały się w mojej głowie, by po sekundzie, z zadziwiającą prędkością, ustąpić miejsca kolejnym, nowym. Miałem znowu ująć jej dłonie w swoje i rozcierać jej zmarznięte, lekko zaczerwienione palce. Jednym słowem, miałem być blisko niej.

Było już prawie wpół do czwartej. Ciekawe, czy już się obudziła? Czy wypadało, abym poszedł pod jej dom i zaczekał tam? Powiedziała, że będzie wypatrywała mnie z okna. Czy domyśli się, że czekam tutaj? Czy w ogóle przyjdzie? Natychmiast odpędziłem od siebie tę wątpliwość. Czułem, że takie myślenie oznacza brak zaufania i jest niesprawiedliwe, że to podkopywanie fundamentów budynku, który się samemu wzniosło. Ale gdy taka myśl już raz się pojawiła, inne możliwości w ślad za nią zaczęły tłoczyć mi się do głowy. Mogła zachorować. Może wypadło jej coś pilnego i musiała dokądś pójść? Musiała przydarzyć się któraś z nich. To nie było normalne, żeby tak wielkie szczęście pojawiło się tak łatwo. Mój niepokój wzrastał z każdą minutą, a serce uderzało coraz szybciej. To, co spotkało mnie wczoraj, należało do tych wyjątkowych sytuacji, które w życiu człowieka mogą się przytrafić tylko raz. Nie należało oczekiwać powtórki. Zacząłem się już nawet pocieszać. Może nic dobrego nie spotkałoby mnie na tej nowej drodze, na którą tak nagle wstąpiło moje życie, a której dalszy ciąg skrywały ciemności. Czy nie wygodniej było powrócić do dawnej apatii

i na nowo dać się spętać łańcuchem identycznych, beczynnych dni?

Gdy odwróciłem głowę, zobaczyłem, że idzie w moją stronę. Miała na sobie cienki płaszcz, granatowy beret i półbuty na niskim obcasie. Uśmiechała się.

– To pan czekał na mnie tutaj? Długo? – spytała, podając mi rękę na powitanie.

– Godzinę!

Głos drżał mi ze wzruszenia. Zrozumiała to chyba jako skargę, bo odezwała się z żartobliwym wyrzutem:

– Na własne życzenie, szanowny panie. Ja czekam na pana już od półtorej godziny. Dopiero niedawno przez przypadek zauważyłam, że zamiast przyjść pod dom, pan rozkoszuje się tym poetycznym widokiem!

Czyli jednak czekała na mnie. Czyli jednak coś dla niej znaczyłem. Spojrzałem jej w oczy jak pogłaskany kot.

– Dziękuję!

– Za co pan dziękuje? – Nie czekając na moją odpowiedź, wsunęła mi rękę pod ramię. – Chodźmy!

Ruszyłem, dopasowując się do jej małych, szybkich kroków. Bałem się spytać, dokąd idziemy. Milczeliśmy. Bardzo odpowiadała mi ta cisza i dręczyła mnie świadomość, że ostatecznie będzie trzeba coś powiedzieć. Nie przychodziła mi do głowy żadna z tych głębokich myśli, które jeszcze niedawno jedna za drugą pojawiały się w mojej głowie i z których każda następna przyćmiewała wszystkie poprzednie. W miarę jak siliłem się, by przywołać którąś z nich, czułem, że mam jeszcze większą pustkę w głowie, a mój mózg nie jest niczym innym jak pulsującym kawałkiem mięsa. Gdy zerknąłem na nią, zauważyłem, że w przeciwieństwie do mnie jest zupełnie spokojna. Szła przed siebie ze spuszczonej oczami, a jej twarz wyrażała niewzruszony spokój. W kąciu ust błąkał się tamten ledwie uchwytny, przypominający uśmiech grymas. Lewą ręką trzymała się mego ramienia. Zdawało się, że lekko uniesiony palec wskazuje na jakiś punkt w oddali.

Gdy znów spojrzałem na jej twarz, zobaczyłem, że uniosła szerokie, gęste brwi tak, jakby o czymś myślała. Na jej powiekach można było dostrzec cienkie błękitne żyłki. Czarne krzaczaste rzęsy lekko drżały. Błyszczały na nich miniaturowe kropelki deszczu. Wystające spod beretu włosy też były wilgotne.

Nagle odwróciła się w moją stronę.

– Czemu pan tak uważnie mi się przygląda? – spytała.

Mnie też to zastanawiało: bo jak to możliwe, że bez cienia wstydu tak nachalnie się jej przyglądam; że zupełnie nieświadomie po raz pierwszy zachowuję się wobec kobiety w ten sposób. I jak to możliwe, że nie straciłem odwagi i nie spuściłem z niej wzroku nawet po tym, jak na mnie spojrzała i zadała mi to pytanie?

– Przeszkadza to pani? – spytałem, dziwiąc się swojej śmiałości.

– Nie, nie o to chodzi... Może to nawet i miłe, dlatego spytałam.

Jej oczy były tak czarne i wyraziste, że nie mogłem powstrzymać się od pytania:

– Pani jest z pochodzenia Niemką?

– Tak! Czemu pan pyta?

– Nie ma pani blond włosów i niebieskich oczu!

– I co z tego?

Przez jej twarz przemknął ten charakterystyczny uśmiech, lecz tym razem było w nim jakby wahanie.

– Mój ojciec był Żydem – powiedziała. – A matka Niemką. Ale ona też nie jest blondynką!

– Czyli jest pani Żydówką? – spytałem zaciekawiony.

– Tak... Czyżby pan również nienawidził Żydów?

– Ależ co pani! U nas nie ma takich rzeczy... Ale nigdy bym nie pomyślał!

– Tak, jestem Żydówką, mój ojciec pochodził z Pragi. Ale jeszcze zanim się urodziłam, przeszedł na katolicyzm.

– A więc jest pani chrześcijanką?

– Nie... Jestem raczej dość daleko od religii, jakiegokolwiek!

Cały czas szliśmy przed siebie. Nie kontynuowała tematu, a i ja już nie dopytywałem. Powoli zbliżaliśmy się do krańców miasta. Zaciekawilo mnie, dokąd idziemy. Pogoda nie sprzyjała raczej przechadzce pod gołym niebem. Wciąż siąpił deszcz. Maria w pewnym momencie spytała:

– Dokąd idziemy?

– Nie wiem...

– Nie jest pan ciekawy?

– Zdaję się na panią... Dokąd tylko pani zechce!

Odwróciła na mnie twarz, wilgotną i bladą niczym biały kwiat pokryty rosą.

– Jest pan bardzo uległy... Nie ma pan żadnego pomysłu, żadnego życzenia?

Od razu przypomniały mi się jej wczorajsze słowa.

– Zabroniła mi pani czegokolwiek żądać!

Nic na to nie odpowiedziała. Odczekałem chwilę i podjąłem na nowo:

– A może wczoraj nie mówiła pani poważnie? Albo zmieniła już zdanie?

– Nie! Nie! Nic się nie zmieniło... – zaprzeczyła stanowczo.

Znowu się zamyśliła.

Doszliśmy do dużego ogrodzenia z żelaznych krat.

– Wejdziemy tutaj? – spytała, zwalniając kroku.

– Co to za miejsce?

– Ogród botaniczny.

– Jak pani chce.

– Skoro tak, to wejdzmy... Często tutaj przychodzę. Szczególnie w taką pogodę jak dzisiaj.

Ogród był pusty. Dłuższą chwilę spacerowaliśmy po wysypanych piaskiem ścieżkach. Otaczające nas drzewa mimo późnej jesieni wciąż jeszcze nie straciły liści. Przy dużych kamienistych sadzawkach rosło wiele gatunków różnokolorowych traw, kwiatów i mchów. Na wodzie unosiły się wielkie liście. W wysokich oranżeriach kryły się rośliny z ciepłych krajów,

drzewa o przysadzistych pniach i maleńkich listkach.

– To najładniejsze miejsce w Berlinie – zaczęła Maria. – O tej porze roku prawie nikt tutaj nie przychodzi... Poza tym te dziwaczne drzewa zawsze rozbudzają we mnie tęsknotę do dalekich krajów... Jednocześnie trochę im współczuję, jak pomyślę, że zostały wyrwane z miejsca, gdzie czują się najlepiej, i przewiezione tutaj, gdzie w sztucznych warunkach pieczołowicie próbuje się je przywrócić do życia. Wie pan, w Berlinie tylko przez sto dni w roku mamy ładną, słoneczną pogodę, pozostałe dwieście sześćdziesiąt pięć dni jest pozbawione światła. Czy reflektory, sztuczne słońca są w stanie nasycić liście tych drzew, przywykłych do prawdziwego światła i ciepła? Mimo to żyją, nie usychają... Ale czy można to nazwać życiem? Czy to nie tortura, zabrać żywą roślinę z najbardziej odpowiedniego dla niej klimatu i jedynie dla przyjemności ciekawskich oczu przeszczepić ją tutaj i uzależnić od tych marnych warunków?

– Pani też jest przecież jedną z tych ciekawskich...

– To prawda, ale za każdym razem, gdy tutaj jestem, ogarnia mnie głęboki smutek.

– To dlaczego pani tu przychodzi?

– Sama nie wiem!

Usiadła na wilgotnej ławce, a ja obok niej.

– Kiedy patrzę na te rośliny, myślę też trochę o sobie – powiedziała, ocierając krople deszczu z twarzy. – Każą mi myśleć o moich przodkach, którzy być może przed wiekami żyli w tym samym miejscu, gdzie te drzewa i dziwne kwiaty. Czy podobnie jak one i my nie jesteśmy oderwani od ojczyzny i rozproszeni po świecie? Ale to pana nie zaciekawia... Szczerze mówiąc, mnie też to średnio interesuje... To tylko pretekst do przemyślenia wielu rzeczy, pożywka dla wyobraźni... Sam się pan zresztą przekona, że należę do ludzi, którzy bardziej żyją w świecie swoich marzeń niż w rzeczywistości... Prawdziwe życie jest dla mnie niczym innym jak przykrym snem... Może uważa pan za żałosne to, że pracuję w „Atlantiku”, tymczasem ja nawet nie zdaję sobie sprawy z tego, czy ta praca taka jest

czy nie... A czasem nawet mnie ona bawi... Zresztą robię to tylko dla matki. Muszę się nią opiekować, a nie utrzymam się z tych kilku obrazów, które namaluję w ciągu roku... Zajmował się pan kiedyś malarstwem?

– Tak, trochę...

– Czemu pan przestał?

– Zrozumiałem, że nie nadaję się do tego...

– To niemożliwe... To, że jest pan do tego stworzony, najlepiej było widać po pańskiej twarzy, gdy przesiadywał pan na wystawie... Niech pan raczej powie: „Zrozumiałem, że zabrakło mi do tego odwagi!”. Takie tchórzostwo nie pasuje do mężczyzny... Mówię to dla pańskiego dobra. Jeśli chodzi o mnie, to mi tej odwagi nie brakuje... Chcę malować i wyrażać swymi obrazami to, co rzeczywiście sędzę o ludziach. I może nawet trochę mi się to udaje... Ale to daremny trud... Ludzie, którymi gardzę, nigdy tego nie odczytają, a ci, którzy są w stanie to zrozumieć, na tę pogardę nie zasługują. Wychodzi na to, że malarstwo, podobnie jak cała sztuka, tak naprawdę trafia w pustkę, niezdolne przemówić do tych, do których jest naprawdę skierowane... A jednak jest to jedyna rzecz, którą traktuję na poważnie... To dlatego nie chcę utrzymywać się z malarstwa. Bo wtedy musiałabym malować nie to, co chcę, a to, czego się ode mnie wymaga... Nigdy... Nigdy... Wolę już wystawiać na sprzedaż swoje ciało... Bo nie ma ono, według mnie, żadnego znaczenia... – Zawadiacko uderzyła mnie w kolano. – Tak, mój drogi przyjacielu, przecież to, co robię, to nic innego jak właśnie to... Widział pan wczoraj, jak pijany mężczyzna pocałował mnie w plecy, prawda? Proszę bardzo, czemu miałby tego nie zrobić... Jego prawo... Płaci... Mówią zresztą, że mam powabne plecy... Pan też ma ochotę je pocałować? Ma pan pieniądze?

Poczułem się, jakby odjęło mi mowę. Nie mogłem przestać mrugać i przygryzać warg. Maria to zauważyła, bo zmarszczyła brwi i jeszcze bardziej zbladła na twarzy.

– Nie, Raifie, tego nie chcę! W żadnym wypadku... Litości nie zniosę... Gdy tylko poczuję, że mi pan współczuje – do widzenia! Nawet pan nie

zauważy, kiedy odejdę. – Gdy zobaczyła moje oszołomienie i zrozumiała, że to raczej ja znajduję się w godnym pożałowania stanie, zarzuciła mi rękę na szyję. – Niech się pan na mnie nie gniewa! Nie powinniśmy obawiać się rozmawiać otwarcie o sprawach, które w przyszłości mogłyby zachwiać naszą przyjaźnią. Strach w takich sytuacjach nie popłaca... Cóż może się stać? Jeśli zobaczymy, że nie możemy się porozumieć, pożegnamy się i rozstaniemy... Takie to straszne? Dotąd nie pogodził się pan z tym, że człowiek skazany jest na samotność? Każda bliskość jest zwodna. Ludzie są w stanie zbliżyć się do siebie jedynie do pewnej granicy, dorabiając do tego całą filozofię; a gdy przyjdzie dzień, w którym uświadamiają sobie swój błąd, z rozpacz porzucają wszystko i uciekają. By do tego nie dopuścić, wystarczy jedynie poprzestać na tym, co możliwe, oddzielić marzenia od rzeczywistości. Czy nie lepiej zaakceptować naturalny porządek rzeczy, by uniknąć przez to przyszłych rozczarowań i przykrości? Wszyscy zasługujemy na litość, ale w pierwszej kolejności powinniśmy współczuć sobie samym. Okazanie litości komuś innemu oznacza postawienie się na pozycji silniejszego, podczas gdy nie mamy prawa ani tak bardzo się wywyższać, ani uważać innych za bardziej nieszczęśliwych od siebie... Ale może już chodźmy?

Wstaliśmy z ławki. Strząsnęliśmy z siebie krople deszczu. Wilgotny piasek zachrząścił pod naszymi butami.

Zaczęło się już ściemniać, lecz jeszcze nie zapalono latarni. Wracaliśmy tym samym szybkim krokiem, przechodząc przez te same ulice co poprzednio. Tym razem to ja włożyłem jej rękę pod ramię. Jak mały chłopiec garnąłem się do niej i nachylałem głowę w jej stronę. Czułem, że znajduję się jakby pomiędzy radością a smutkiem. Cieszyłem się, gdy dostrzegałem, że wiele jej odczuć i przemyśleń tak bardzo przypomina moje, i jeszcze silniej odczuwałem bliskość między nami. Jednocześnie ogarnął mnie strach, bo zrozumiałem, że Maria w jednym punkcie się ode mnie różni: nie odsuwała od siebie prawdy i za żadną cenę nie zamierzała siebie oszukiwać. Niejasne przeczucie mówiło mi, że ta kobieta nigdy nie

będzie w stanie zbliżyć się do człowieka – ktokolwiek by to był – którego przejrzała na wylot i o którym prawdy w żaden sposób od siebie nie odpycha.

Tymczasem ja nie chciałem tak bardzo kurczowo się jej trzymać. Rozumiałem, że nie zniosę tego, by jakakolwiek prawda mnie od niej oddaliła. Po tym, jak odnaleźliśmy w sobie to, co może być dla nas najbardziej cenne i pożyteczne, należałoby raczej przymknąć oko na inne szczegóły, czyli innymi słowy, w imię wielkiej prawdy poświęcić prawdy pomniejsze. Czyż nie byłoby to bardziej ludzkie i sprawiedliwe?

Było oczywiste, że takie myślenie u kobiety, która ma tak celne i zdrowe spojrzenie na wiele spraw, wynika z gorzkich doświadczeń życia i zgubnego wpływu jej otoczenia. Ponieważ zmuszona była przebywać w towarzystwie ludzi, od których wolałaby się raczej trzymać z daleka, a w dodatku jeszcze przymilnie się do nich uśmiechać, musiała w końcu osiągnąć stan tak głębokiej irytacji, stać się nieufna i podejrzliwa wobec wszystkich. Ja, który przez całe życie stroniłem od ludzi i nigdy nie zaznałem z ich strony większej przykrości, nie miałem do kogo chować urazy. Mnie przygniatało jedynie poczucie ogromnej samotności. Dlatego teraz, gdy poznałem kogoś, o kim wiedziałem, że jest mi bliski, gotowy byłem w wielu punktach oszukiwać samego siebie.

Wróciliśmy do śródmieścia. Ulice były jasne i zatłoczone. Maria Puder wydawała się zamyślona i smutna.

– Coś panią zmartwiło? – spytałem nieśmiało.

– Nie! Nie ma ku temu powodów. Wręcz przeciwnie, jestem zadowolona z naszego dzisiejszego spaceru. Niesamowicie zadowolona...

Było jednak widać, że mówiąc to, myślała o czymś zupełnie innym. Jej oczy, które co jakiś czas zatrzymywały się na mojej twarzy, były zamyślane, a w jej śmiechu dało się dostrzec onieśmielającą obcość. Nagle zatrzymała się na środku ulicy.

– Nie chcę wracać do domu. Chodźmy coś zjeść. Porozmawiamy, mam jeszcze sporo czasu przed pracą.

Z niepotrzebnym uniesieniem przyjąłem tę nieoczekiwaną propozycję. Widząc, że takie zachowanie oddała ją jeszcze bardziej, szybko wziąłem się w garść i spuściłem głowę. Weszliśmy do okazałej restauracji gdzieś w zachodniej części miasta. W środku nie było zbyt wielu gości. W kącie orkiestra złożona z samych kobiet ubranych w bawarskie stroje ludowe głośno wygrywała popularne kawałki. Usiedliśmy przy stole z boku i zamówiliśmy jedzenie i wino.

Udzielił mi się jej posępny nastrój. Leżało mi coś na sercu. Zauważyła to i próbując uwolnić się od swoich myśli, rozpogodziła się trochę i uśmiechnęła. Klepnęła moją rękę.

– Co się pan tak nadąsał? Kawaler na pierwszym obiedzie z kobietą powinien być bardziej wesoły i rozmowny! – zażartowała, widać było jednak, że nie jest w nastroju do żartów. Rzeczywiście, szybko ogarnął ją poprzedni nastrój. Żeby się czymkolwiek zająć, wodziła spojrzeniem po sąsiednich stolikach. Upiła kilka łyków wina i nagle spojrzała mi prosto w oczy. – Co poradzę? Po prostu nie umiem być inna!

Co chciała przez to powiedzieć? Niejasno się już tego domyślałem. Czułem, że ma to związek z tym, co zasmuciło mnie przed chwilą, nie byłem jednak w stanie uchwycić istoty tego.

Jej oczy na dłużej chciały zatrzymać się na każdym punkcie, na jaki padły, tak jakby trudno było je oderwać. Przez bladą jak masa perłowa twarz co jakiś czas przebiegały ledwo uchwytnie cienie. Znowu się odezwała. Głos jej drżał, z trudnością panując nad wzruszeniem:

– Niech się pan na mnie nie gniewa... – zaczęła. – Najlepiej będzie porozmawiać z panem zupełnie otwarcie, żeby nie robił pan sobie próżnych nadziei... Niech się pan tylko nie obraża... Podeszłam do pana wczoraj... Chciałam, żeby odprowadził mnie pan do domu... Zaproponowałam spacer dzisiaj... I żebyśmy poszli razem na kolację... Niemal się panu narzuciłam... Ale pana nie kocham. Ciągle o tym myślałam... Nie, nie kocham pana... Co poradzę? Może i uważam pana za sympatycznego, a nawet atrakcyjnego, może też zdaję sobie sprawę z tego, że jest pan inny

niż wszyscy poznani przeze mnie dotąd mężczyźni, ale to wszystko... Rozmawiać z panem, opowiadać różne rzeczy, sprzeczać się, kłócić... Obrażać się, godzić na nowo, to wszystko z całą pewnością mnie uszczęśliwi... Ale kochać? To ponad moje siły... Może się pan dziwi, dlaczego mówię takie rzeczy bez powodu... Jak wspominałam, nie chcę, żeby się pan w przyszłości boleśnie rozczarował... Dlatego już teraz chcę postawić sprawę jasno, na co może pan liczyć z mojej strony, by później mi pan nie zarzucił, że się z panem bawiłam: obojętnie jak bardzo by się pan wyróżniał, nadal pozostaje pan mężczyzną... A wszyscy mężczyźni, których poznałam, zrozumiałwszy, że ich niekocham i że nie mogę ich pokochać, zostawiali mnie z wielkim żalem, a nawet gniewem... Cóż, droga wolna... Ale czemu uważali mnie za winną? Bo nigdy nie dałam im tego, czego nigdy nie obiecywałam, a co sobie uroili? Czy to w porządku? Nie chcę, żeby skończyło się tak i w pana przypadku... Może pan to odebrać jako kolejny ukłon w pańską stronę...

Zdziwiła mnie ta przemowa. Odpowiedziałem, starając się zachować spokój:

– Ale po co to wszystko? Nasza przyjaźń ułoży się tak, jak tego będzie chciała pani, a nie ja!

Gwałtownie zaprotestowała:

– O nie, nie, nie ma mowy! Widzi pan? Pan również, jak inni mężczyźni, pozornie zgadza się na moje warunki, by w rzeczywistości narzucić swoje. Nie, mój przyjacielu! Takimi gładkimi słówkami niczego pan nie osiągnie. Wie pan, mimo że zawsze usiłowałam być otwarta i szczerą, zarówno wobec siebie, jak innych, do niczego mnie to nie doprowadziło. Stosunki między ludźmi, a już szczególnie relacje między kobietą a mężczyzną są tak bardzo pogmatwane, nasze pragnienia i uczucia tak niejasne i sprzeczne, że nikt nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi, ostatecznie dając się unieść wraz z prądem. Ja tego nie chcę. Robienie czegoś, co nie zadowala mnie w stu procentach, co nie wydaje mi się absolutnie konieczne, upokarza mnie w moich własnych oczach... Nie mogę znieść

przede wszystkim tego, że kobieta zawsze musi być bierna wobec mężczyzny... Dlaczego? Dlaczego to my mamy wiecznie uciekać, a wy gonić? Dlaczego to my mamy wiecznie się poddawać, a wy brać nas w niewolę? Dlaczego w waszych błaganiach mamy czuć siłę, a nawet w naszej odmowie słabość? Od dziecka buntowałam się przeciwko temu, nigdy nie mogłam się z tym pogodzić. Dlaczego taka jestem, dlaczego tak ważne jest dla mnie to, czego inne kobiety nawet nie zauważają? Dużo o tym myślałam. Zastanawiałam się, czy to ze mną jest coś nie w porządku. Ale nie, przeciwnie, może myślę tak właśnie dlatego, że to ja jestem normalna. Dlatego, że moje życie, zupełnie przez przypadek, upłynęło bez tego, co przyzwyczajają inne kobiety do postrzegania swego losu jako naturalny. Mój ojciec zmarł, gdy byłam jeszcze dzieckiem. Zostałam sama z mamą, która była przykładem właśnie takiej – przywykłej do posłuszeństwa – kobiecości. Zatraciła zdolność do samodzielnego życia, a tak naprawdę to nigdy jej nie posiadała. Miałam tylko siedem lat, ale to ja zaczęłam ją wychowywać. To ja pokazałam jej, co to znaczy hart ducha, nauczyłam rozsądku, byłam dla niej wsparciem. I tak, zupełnie naturalnie, dorosłam, nie zaznawszy nad sobą zwierzchnictwa mężczyzny. Pragnienia i bierność moich koleżanek ze szkoły zawsze budziły we mnie odrazę. Nie nauczyłam się, jak podobać się mężczyznom. Nigdy się przy nich nie rumieniłam ani nie oczekiwałam komplementów. Zapłacałam za to okropną samotnością. Rówieśniczki przyjaźń ze mną i moje idee uznawały za coś, co nie licuje z ich gustami i wygodą. Życie milutkiej lalki było dla nich bardziej pociągające i prostsze niż życie człowieka. Z chłopcami też się nie przyjaźniłam. Z chwilą, gdy się przekonywali, że nie pójdzie im ze mną tak łatwo, jak oczekują, zamiast stawić czoło równej sobie sile, woleli wziąć nogi za pas. Przekonałam się wtedy, czym jest męska determinacja i siła: nie ma na świecie drugiej istoty, która ubiegałaby się o tak łatwe sukcesy, byłaby tak egoistyczna, butna i zadufana w sobie, a jednocześnie tchórzliwa i dbająca o własną wygodę, jak mężczyzna. Gdy to odkryłam, prawdziwa miłość do mężczyzny

stała się dla mnie niemożliwa. Nawet ci, którzy najbardziej mi się podobali i pod wieloma względami byli do mnie podobni, pod byle pretekstem wyszczerzali te swoje wilcze kły. Po spędzonych wspólnie chwilach, w takim samym stopniu przyjemnych dla nas obojga, patrzyli na mnie przeprasząco, wzrokiem wyrażającym gotowość do otoczenia mnie opieką, w którym błyszczała jednak iskierka głupkowatej radości z odniesionego zwycięstwa. A to oni właśnie godni byli wówczas litości, to ich słabości wychodziły w takich momentach na jaw. Żadna kobieta nigdy nie będzie tak bezsilna i śmieszna, jak mężczyzna opanowany przez żądzę. Jego nedorzeczna duma zaślepia go na tyle, że oznaki swojej słabości uznaje za przejaw siły... Naprawdę można oszaleć, na litość boską... Wolałabym już zakochać się w kobiecie, mimo że nie ma we mnie takich skłonności...

Przerwała na chwilę i uważnie mi się przyjrzała. Znowu napiła się trochę wina. Zdawało się, że w miarę jak mówi, ożywia się coraz bardziej i uwalnia od tego wszystkiego, co leżało jej na sercu.

– Czemu się pan tak zdziwił? Bez obaw, to nie to, co pan podejrzewa. Ale żebym tylko mogła taka być! Z całą pewnością byłoby to mniej poniżające dla mojego człowieczeństwa... Jak pan wie, jestem artystką... I mam swoje rozumienie piękna... Miłość z kobietą wykracza poza nie... Jak by to powiedzieć... Jest nieestetyczna... Poza tym kocham naturę... Krępuje mnie to, co nienaturalne... Dlatego nie mam wątpliwości co do tego, że trzeba mi pokochać mężczyznę... Ale prawdziwego mężczyznę... Mężczyznę, który zdobędzie mnie, nie uciekając się do żadnej siły... Który nie będzie ode mnie niczego chciał, nie będzie nade mną dominował, nie będzie patrzył na mnie z góry, mężczyznę, który będzie mnie kochał i kroczył u mego boku... Rzeczywiście silnego, prawdziwego mężczyznę. Rozumie pan teraz, dlaczego pana nie kocham? Nie znamy się nawet na tyle długo, by można było się zakochać, ale pan nie jest też tym, kogo szukam... Nie ma w panu co prawda tej absurdalnej chełpliwości, o której mówiłam wcześniej... Za bardzo jednak przypomina pan dziecko, czy może

raczej kobietę... Dokładnie tak jak moja matka, potrzebuje pan kogoś, kto panem pokieruje... I to mogę być ja... Jeśli pan zechce... Ale nic więcej... Będziemy wspaniałymi przyjaciółmi... Jest pan pierwszym mężczyzną, który wysłuchał mnie, nie wchodząc mi w słowo, nie usiłując mnie nawracać i do niczego przekonywać, czyli po prostu nie próbując mnie zmieniać. Widzę po pańskich oczach, że mnie pan zrozumiał... Tak, możemy być bardzo dobrymi przyjaciółmi. Tak jak ja zupełnie otwarcie rozmawiam z panem, tak i pan może otworzyć swoje serce przede mną. Czy to mało? Lepiej porwać się na coś więcej i utracić także to? Bardzo bym tego nie chciała. Mówiłam już wczoraj, że jestem bardzo zmienna... Lecz nie powinno to naprowadzać pańskich myśli w złym kierunku... W zasadniczych punktach nigdy bowiem się nie zmienię... Więc jak będzie? Chce pan zostać moim przyjacielem?

Oszło mi wszystko to, co powiedziała... Bałam się ostatecznie ją ocenić i czułam, że nie zdołam zachować przy tym rozsądku. Pragnąłem tylko jednego: być blisko niej, nie rozstawać się z nią za żadną cenę... Nie potrzebowałem nic innego... Nie zwykłem żądać od innego człowieka więcej ponad to, co miał mi do zaoferowania... Mimo to był we mnie jakiś dziwny niepokój.

– Mario! – zacząłem powoli, patrząc w jej zamyślane, czekające mojej odpowiedzi oczy. – Doskonale panią rozumiem... Zdaję sobie sprawę z tego, że to życiowe doświadczenie skłoniło panią do tak obszernych wyjaśnień. Jestem szczęśliwy, gdy pomyślę, że zrobiła to pani, by uchronić naszą przyjaźń od wstrząsów w przyszłości. Bo to znaczy, że ma ona dla pani jakąś wartość...

Energicznie kiwnęła głową, potwierdzając tym moje słowa. Ciągnąłem dalej:

– Może nie trzeba było mówić mi tego wszystkiego. Bo skąd może pani wiedzieć? Dopiero co się poznaliśmy. Lepiej być ostrożnym... Nie mam takiego doświadczenia jak pani. Zawsze byłem samotnikiem, poznałem w życiu bardzo niewielu ludzi. Widzę jednak, że różnymi drogami

doszliśmy do tego samego celu: oboje potrzebujemy kogoś bliskiego... Wspaniale będzie, jeśli odnajdziemy go dla siebie w sobie nawzajem... I tylko to jest naprawdę istotne, pozostałe kwestie schodzą na dalszy plan... Co do relacji damsko-męskich, to może być pani pewna, że nie jestem człowiekiem z rodzaju tych, jakich się pani obawia. Nie mam co prawda żadnego doświadczenia w tych sprawach, ale nigdy nie mógłbym pokochać kobiety, której bym nie szanował i nie uważał za równą sobie. Przed chwilą mówiła pani o poniżeniu. Mężczyzna, który sobie na coś takiego pozwala, zaprzecza swojej męskości, w rzeczywistości poniżając samego siebie. Podobnie jak pani, ja też kocham naturę. Mogę nawet powiedzieć, że jestem tak blisko niej, jak daleko trzymam się od ludzi. Moja ojczyzna to jedno z najpiękniejszych miejsc na ziemi. Wiele cywilizacji, które znamy z historii, narodziło się i upadło właśnie tam. Często, gdy wylegiwałem się pod drzewkami oliwnymi liczącymi sobie po kilkanaście wieków, myślałem o ludziach, którzy niegdyś zrywali z nich owoce. W porośniętych sosnami górach, w miejscach, na których, jak mi się zdawało, nie powstała jeszcze nigdy ludzka stopa, natykałem się na marmurowe mosty i ozdobione ornamentami kolumny. Były one przyjaciółmi mojego dzieciństwa, stanowiły pożywkę dla moich marzeń. Od tamtego czasu naturę i jej logikę cenię sobie ponad wszystko inne. Niech i nasza przyjaźń pójdzie swoim naturalnym biegiem, nie narzucajmy jej żadnych sztucznych kierunków i nie krępujmy podjętymi zawczasu decyzjami!

– Nie jest pan takim dzieckiem, jak myślałam! – powiedziała, lekko stukając palcem po mojej dłoni. Mierzyła mnie niezdecydowanym i wystraszonego spojrzeniem. Jej dolna warga wysunęła się nieco i Maria przypominała teraz bliską płaczu dziewczynkę. Jej oczy natomiast, przeciwnie, były zadumane i ciekawskie. Dziwiłem się, jak często w krótkim czasie potrafił zmienić się wyraz jej twarzy.

– Może mi pan opowiedzieć więcej o swoim życiu, kraju i drzewkach oliwnych! A ja opowiem panu wspomnienia ze swego dzieciństwa, to, co

pamiętam o ojcu. Nie będziemy mieli raczej problemów ze znalezieniem tematów do rozmowy... Ale jak tutaj głośno. To chyba dlatego tak tu pusto... Biedaczki, przynajmniej wrzawą instrumentów chcą rozweselić swojego szefa... Ach, żeby pan tylko wiedział, co to znaczy w takich miejscach: szef!

– Są bardzo źli?

– I to jak! Kolejna okazja, by poznać mężczyzn z bliska. Na przykład mój szef, właściciel „Atlantiku”, to bardzo uprzejmy człowiek. Nie tylko dla klientów, ale i dla każdej kobiety, z którą nie łączy go praca... Bez wątpienia, gdybym nie pracowała w jego kabarecie, zachowywałby się wobec mnie wytwornie niczym jakiś baron, a ja byłabym pełna podziwu dla jego manier. Ale w mgnieniu oka potrafi zmienić się wobec ludzi, którzy biorą od niego pieniądze, nazywa to bodajże „etyką zawodową”. Bliżej prawdy byłoby, gdyby powiedział o tym „etyka interesu”. Ponieważ jego prostactwo, czasem ocierające się nawet o bezduszność i chamstwo, wynika nie tyle z troski o swój autorytet, ile ze strachu przed tym, że zostanie oszukany. Gdyby pan zobaczył, jak ten, niewykluczone, że przykładowy ojciec rodziny i uczciwy obywatel, wymaga od nas, abyśmy poza naszym głosem, śmiechem i ciałem sprzedawały także naszą godność, przebiegłyby panu ciarki po plecach...

Przerwałem jej, powodowany odległym skojarzeniem:

– Czym się zajmował pani ojciec?

– Nie powiedziałaś? Był adwokatem. Dlaczego pan pyta? Chce pan wiedzieć, w jaki sposób tak nisko upadłam!

Nic na to nie powiedziałem.

– Widać, że pan jeszcze nie poznał Niemiec. Nie ma w tym nic niezwykłego. Uczylaś się za pieniądze ze spadku po ojcu. Nasza sytuacja nie była najgorsza. Podczas wojny byłam pielęgniarką. Później kontynuowałam naukę w Akademii. Niewielki majątek straciłyśmy przez inflację. Musiałam iść do pracy. Zupełnie się na to nie skarżam. W samej pracy nie ma nic złego. Jedyne, co mnie razi, to praca, która poniża...

Męczy mnie, że muszę tam być, twarzą w twarz z pijanymi, spragnionymi ludzkiego mięsa osobnikami. Czasem rzucają takie spojrzenia, że... To nie jest nawet bydło... Gdyby to było tylko to, to jednak zawsze coś naturalnego... To coś gorszego od bydła... Ludzka hipokryzja, przewrotność i słabość z domieszką zwierzęcia... Obrzydliwość...

Rozejrzała się po sali. Orkiestra grała pełną parą. Korpulentna kobieta o włosach jak u kukurydzy na całe gardło śpiewała wesołe góralskie kawałki i obracała się dookoła, wydając przy tym dziwaczne dźwięki.

– Chodźmy już stąd, znajdziemy jakieś spokojniejsze miejsce... Jeszcze wcześniej! – zaproponowała Maria, po czym przyjrzała mi się uważnie. – A może pana nudzę? Wciąż gadam i przez cały dzień ciągam pana to tu, to tam. Kobiety nie powinny się tak zachowywać... Mówię poważnie, jeśli ma pan na dzisiaj dość, puszczam pana wolno!

Chwyciłem ją za rękę. Przez dłuższą chwilę nie mogłem zdobyć się na odpowiedź, nie mogłem też spojrzeć jej w twarz. Dopiero gdy się upewniłem, że zrozumiała to, co się we mnie dzieje, zdołałem wykrztusić z siebie:

– Jestem pani wdzięczny!

– A ja panu! – odpowiedziała i zabrała rękę. – Chodźmy, zaprowadzę pana do pobliskiej kawiarni – powiedziała, gdy wyszliśmy na ulicę. – Bardzo przyjemne miejsce, zobaczy pan tam bardzo osobliwych ludzi.

– Romanische Café?

– Tak, zna pan? Był pan tam kiedyś?

– Nie, znam tylko ze słyszenia.

Uśmiechnęła się.

– Od przyjaciół, którzy pod koniec miesiąca zostają bez grosza przy duszy?

Też się uśmiechnąłem i opuściłem wzrok.

Słyszałem, że ta ulubiona kawiarnia artystów po jedenastej w nocy zapełnia się podstarzałymi sybarytami lubującymi się w młodych ciałach i sprzedajnymi kobietami i że przychodzą tam roztaczać swe wdzięki

zigolacy w każdym wieku, każdej narodowości.

Ponieważ było jeszcze wcześniej, w kawiarni zastaliśmy jedynie młodych artystów. Siedzieli grupkami, głośno spierając się ze sobą podniesionymi głosami. Weszliśmy na górne piętro po schodach znajdujących się między kolumnami. Z trudem znaleźliśmy wolny stolik.

Dookoła nas siedzieli młodzi malarze, którzy swoimi długimi włosami i czarnymi kapeluszami o szerokich rondach upodobnić się chcieli do francuskiej bohemy, a także literaci z fajkami w ustach i z długimi paznokciami, skrobiący coś w swoich notatnikach.

Już z daleka wykonując w naszą stronę jakieś gesty, podszedł do nas młody, wysoki blondyn o bokobrodach sięgających mu aż do ust.

– Niech będzie pozdrowiona Madonna w futrze! – powiedział i ująwszy głowę Marii, pocałował ją najpierw w czoło, a potem w policzki.

Wbiłem wzrok w podłogę i czekałem. Rozmawiali o tym i owym. Domyśliłem się, że jego dzieła prezentowane były na tej samej wystawie. W końcu mocno uścisnął rękę Marii i oddalił się, rzuciwszy przedtem w moją stronę, najwyraźniej na artystyczną modłę: „Do widzenia, czcigodny młodzieńcze!”.

Ciągle nie podnosiłem wzroku.

– O czym myślisz? – spytała.

– Czy zdaje sobie pani sprawę, że powiedziała do mnie na „ty”?

– Tak... Przeszkadza to panu?

– Niby dlaczego? Dziękuję!

– Ależ pan mi się już dzisiaj nadziękował!

– To normalne u nas na Wschodzie... Wie pani, o czym myślałem? On pocałował panią, a ja w ogóle nie poczułem się zazdrosny.

– Naprawdę?

– I jestem bardzo ciekawy dlaczego...

Przyglądaliśmy się sobie dłuższą chwilę. Z ufnością i zainteresowaniem.

– Niech pan opowie mi coś o sobie!

Przytaknąłem. Zaplanowałem sobie przecież już wcześniej wszystko, co

jej powiem. Jednak nic z tego teraz nie przychodziło mi do głowy, pojawiły się w niej za to kwestie zupełnie nowe. Ostatecznie zdecydowałem się mówić co popadnie. Nie skupiłem się na niczym konkretnym, mówiłem o moim dzieciństwie, o pobycie w wojsku, o przeczytanych książkach, o snutyh przeze mnie marzeniach, o sąsiadce Fahriye i o rozbójnikach, których miałem okazję poznać. Wszystko, do czego wstydzilem się przyznać nawet przed samym sobą, teraz nieoczekiwanie porzucało swe kryjówki i wychodziło na światło dzienne. Ponieważ mówiłem drugiemu człowiekowi o sobie po raz pierwszy, chciałem obnażyć się przed nim całkowicie, niczego nie przemilczając. Tak bardzo starałem się, aby przy tym nie nakłamać, aby niczego nie zniekształcić i nie zmienić, że chwilami w tym zapale posuwałem się aż do tego, że przerysowywałem wszystko, co przemawiało na moją niekorzyść, znów oddalając się w ten sposób od prawdy.

Wspomnienia i uczucia tamowane przez tak długi czas, te wiecznie zagłuszane emocje były niczym wzburzona rzeka, która stopniowo podnosząc się i przybierając na sile, musiała w końcu wystąpić z brzegów. Otwierałem się przed nią jeszcze bardziej, widząc, z jaką uwagą wsłuchuje się w moje słowa, jak badawczo mi się przygląda, jakby z mojej twarzy chciała wyczytać także to, czego nie byłem w stanie wyrazić słowami. Raz po raz, chyba z aprobatą, powoli kiwała głową, a potem znów w zdziwieniu lekko otwierała usta. Gdy szczególnie się zapalałem, gładziła mnie lekko po rękę, i uśmiechała się życzliwie, gdy mój głos uderzał w tony skargi.

W pewnym momencie, jak gdyby za podpowiedzią jakiejś nieznannej siły, przerwałem i spojrzałem na zegarek. Zbliżała się jedenasta. Stoliki dookoła nas już dawno opustoszały.

– Przecież spóźni się pani do pracy! – krzyknąłem, zrywając się z miejsca.

Zacęła się powoli zbierać. Jeszcze mocniej uściśniła mi rękę i bez pośpiechu wstała.

– Ma pan rację – powiedziała. – Jak dobrze nam się rozmawiało! –

dodała, wkładając beret.

Odprowadziłem ją aż do „Atlantiku”. Po drodze prawie nie rozmawialiśmy. Pełni wrażeń, byliśmy pogrążeni w rozmyślaniach, jakbyśmy chcieliśmy poukładać sobie w głowach wszystko to, co zdarzyło się tego wieczoru. Gdy zbliżaliśmy się do kabaretu, wzdrygnąłem się na całym ciele.

– Przeze mnie nie zdążyła pani wrócić do domu, żeby się przebrać, zmarznie pani bez futra!

– Przez pana? To prawda... Przez pana... Ale to moja wina... To nieważne... Chodźmy szybciej!

– Zaczekać na panią?

– Nie, nie... W żadnym wypadku... Zobaczymy się jutro!

– Jak pani chce...

Żeby nie zmarznąć, przysunęła się do mnie jeszcze bliżej. Zatrzymała się, gdy podeszliśmy pod rozświetlone drzwi lokalu. Wysunęła rękę spod mego ramienia i wyciągnęła ją do mnie. Wyglądała, jakby myślała o czymś niezmiernie ważnym. Szarpnęła mną i przyparła do ściany. Potem nachyliła się ku mnie, wbiła wzrok w chodnik i niemal szeptem, bardzo szybko rzuciła:

– Czyli nie jest pan zazdrosny, tak? Rzeczywiście kochasz mnie tak bardzo? – Momentalnie podniosła na mnie zaciekawione spojrzenie.

Całkowicie zaschło mi w gardle, miałem wrażenie, że jakiś ciężar zwałił mi się na piersi – nie mogłem znaleźć słów, by powiedzieć jej, co w tej chwili czuję. Bałem się, że każde słowo, a nawet każdy dźwięk, który wyszedłby z moich ust, mógłby zmącić i zniweczyć moje szczęście. Nadal na mnie patrzyła, tym razem też trochę jakby ze strachem. Czułem, że z tej bezradności łzy napłynęły mi do oczu. I wtedy jej twarz wyraźnie się odprężyła. Przymknęła na sekundę oczy, jakby z wytchnieniem. Po czym chwyciła mnie za brodę i pocałowała w usta. Odwróciła się i bez słowa, powoli zniknęła za drzwiami „Atlantiku”.

Do pensjonatu wróciłem niemal jak na skrzydłach. Nie chciałem myśleć

i niczego rozpamiętywać. Wspomnienie tego wieczoru było tak cenne, że obawiałem się zbliżyć do niego choćby pamięcią. Tak jak chwilę temu bałem się, że bodaj jeden dźwięk z moich ust zepsuje atmosferę tej niewyobrażalnej chwili szczęścia, tak i teraz nie śmiałem grą wyobraźni naruszyć wypadków z ostatnich kilku godzin, zakłócić ich jedynej w swoim rodzaju harmonii.

Nigdy jeszcze pensjonat ze swoją mroczną klatką schodową nie wydał mi się tak przytulny, a zapachy roznoszące się po korytarzach tak bardzo przyjemne.

Odtąd spotykałem się z Marią Puder każdego dnia. Tamtego pierwszego wieczoru, rzecz jasna, nie zdążyliśmy powiedzieć sobie wszystkiego. Ludzie i miejsca, jakie obserwowaliśmy, zawsze dostarczały nam pretekstu, by podzielić się myślami i po raz kolejny przekonać się, jak bardzo bliscy jesteśmy sobie w poglądach. Zbieżność ta wynikała nie tylko z tego, że mieliśmy ten sam punkt widzenia na wiele spraw. Nie bez znaczenia pozostawało i to, że gdy tylko jedno z nas wypowiadało jakąś myśl, drugie się z nią natychmiast zgadzało, gotowe sobie ją przyswoić. Czy i to nie było przejawem swoistej duchowej bliskości?

Najczęściej chodziliśmy do muzeów i galerii. Objasniała mi obrazy nowych i starych mistrzów i spierała się o nie ze mną. Czasem wracaliśmy do ogrodu botanicznego, kilka razy poszliśmy też do opery. Z tych ostatnich wyjść jednak zrezygnowaliśmy, bo Marii trudno było chodzić do pracy od razu po przedstawieniu kończącym się o dziesiątej albo o wpół do jedenastej w nocy.

– Poza tym jest jeszcze inny powód, dla którego nie chcę tam chodzić – zwierzyła mi się pewnego dnia. – Śpiewanie w „Atlantiku” zaraz po wyjściu z opery wydaje mi się najbardziej komicznym i prostackim zajęciem na świecie!

Do fabryki chodziłem tylko na ranną zmianę. Niemal nie widywałem się już z innymi mieszkańcami pensjonatu. Co jakiś czas Frau Heppner dogadywała mi:

– Chyba ktoś nam tu pana podkradł!

W takich razach tylko się uśmiechałem i nie podejmowałem tematu. Przede wszystkim nie chciałem, żeby cokolwiek dotarło do uszu Frau van Tiedemann. Maria może nie miała by nic przeciw temu, ale ja, chyba nadal pod wpływem tureckich przyzwyczajęń, taką dyskrecję uważałem za niezbędną.

Między nami nie zaszło jednak nic, co trzeba by ukrywać przed innymi. Począwszy od pierwszego wieczoru, nasza przyjaźń nie wykraczała poza naznaczone przez nas ramy. Do tamtej sceny pod „Atlantikiem” nie wróciliśmy nigdy ani słowem. W pierwszym okresie naszej znajomości najbardziej zbliżała nas do siebie ciekawość, co jeszcze możemy w sobie odkryć. By ją zaspokoić, rozmawialiśmy coraz więcej. Z czasem przerodziło się to w nawyk. Gdy z jakiegoś powodu nie mogliśmy się spotkać przez dwa czy trzy dni z rzędu, nie byliśmy w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko o kolejnym spotkaniu. A gdy ono w końcu nastąpiło, cieszyliśmy się jak rozdzielone przez długi czas dzieci i spacerowaliśmy, trzymając się za ręce. Bardzo ją kochałem. Czułem, że tej nagromadzonej we mnie miłości wystarczyłoby dla całego świata, i uważałem się za szczęściarza, bo w końcu miałem kogoś, na kogo mogłem tę miłość przelać. Nie mogło być wątpliwości, że i ona żywi do mnie cieplejsze uczucia i szuka mojego towarzystwa. Mimo to nigdy nie stwarzała okazji, by przenieść naszą przyjaźń na inną płaszczyznę. Pewnego dnia, podczas spaceru po podberlińskim lesie Grünewald zarzuciła mi rękę na szyję i szła tak, wspierając się na mnie. Poruszała nią lekko, wykonując ruchy, jakby kciukiem rysowała kółka w powietrzu. Nie wiem, jak to się stało, ale pod wpływem nagłego pragnienia chwyciłem jej dłoń i pocałowałem. Lekkim, lecz stanowczym ruchem natychmiast zdjęła rękę z moich ramion. Zostawiliśmy ten incydent bez komentarza i kontynuowaliśmy nasz spacer. Powaga, jaka zarysowała się w tamtej chwili na jej twarzy, była tak nieskrywana i przemożna, że zniechęciła mnie do podobnych wyskoków. Czasem rozmawialiśmy o miłości. Odczuwałem dziwne

przygnębienie, widząc, że tak bardzo obojętnie wypowiada się na ten temat, jakby zupełnie jej nie dotyczył. To prawda, zgodziłem się na wszystko, zaakceptowałem wszystkie jej warunki. Mimo to czasem zrećcznie nakierowywałem rozmowę na nasz temat i porywałem się na analizę naszej przyjaźni. W moim rozumieniu miłość nie była jakimś oddzielnym, abstrakcyjnym pojęciem. Miłość kryła się we wszelkich przejawach przywiązania i sympatii, jakie tylko mogły się pojawić między ludźmi, w zależności od sytuacji zmieniając swoją nazwę i postać. Nienazywanie sympatii istniejącej między kobietą a mężczyzną jej rzeczywistym imieniem było niczym innym, jak oszukiwaniem samego siebie.

Maria śmiała się wówczas i kiwając palcem, mówiła:

– Ależ nie, przyjacielu, to nie tak! Miłość nie jest, jak pan to określił, zwykłą sympatią czy czasami nieco głębszym przywiązaniem. Ona jest zupełnie czymś innym, uczuciem tak bardzo niepoddającym się wszelkiej analizie, że ani nie wiemy nic o tym, skąd przychodzi, ani nie jesteśmy w stanie wyjaśnić, dlaczego pewnego dnia od nas ucieknie. Tymczasem przyjaźń jest stała i zależna od porozumienia między ludźmi. Możemy wskazać moment, w którym się zaczęła, a jeśli coś się zepsuje, możemy się zastanowić nad powodami tego stanu rzeczy. Analiza zaś nijak się ma do miłości. Poza tym niech pan pomyśli, każdy z nas ma wiele osób, które tak naprawdę lubi i ceni. Ja również, na przykład, mam wielu takich przyjaciół. (Miło mi stwierdzić, że ich listę otwiera mój Szanowny Rozmówca!) Czy to znaczy, że jestem zakochana w nich wszystkich?

– Tak! – nie dawałem za wygraną. – W tych, których lubi pani najbardziej, jest pani zakochana całym sercem, a we wszystkich pozostałych nieco mniej!

Odpowiedziała pytaniem, którego zupełnie się nie spodziewałem:

– To dlaczego powiedział pan, że nie jest o mnie zazdrosny?

Nie mogąc znaleźć odpowiedzi, przez chwilę myślałem, po czym spróbowałem jakoś to wyjaśnić:

– Człowiekowi zdolnemu kochać naprawdę nigdy nie uda się ograniczyć tej miłości do jednej osoby i od nikogo też czegoś podobnego oczekiwać nie może. Obojętnie jak wielu ludzi byśmy kochali, to prawdziwa miłość do tej jednej osoby nic nie traci na swojej sile. Miłość to nie jest coś, co może się w jakikolwiek sposób rozcieńczyć.

– A ja myślałam, że na Wschodzie myślicie inaczej!

– A ja myślę tak!

Maria zapatrzyła się w jeden punkt i po dłuższym namyśle powiedziała:

– Miłość, której bym pragnęła dla siebie, jest zupełnie inna. Jest poza wszelką logiką, niemożliwa do opisanie i nieuchwytna. Kochać i lubić to jedno, a pragnąć, całą duszą, całym ciałem, całym sobą, to drugie... Według mnie miłość jest właśnie takim pragnieniem. Nieodpartym pragnieniem!

Wtedy, jakbym przyłapał ją na błędzie, pewnym siebie tonem wtrąciłem:

– To, o czym pani mówi, jest kwestią jednej chwili. Sympatia i zainteresowanie, jakie pani odczuwa w nieokreślonym momencie, z nie do końca znanych powodów, nagle gromadzi się i nasila. Tak jak przyjemnie ogrzewający promień słońca po przejściu przez soczewkę koncentruje się w jednym punkcie i wznieca ogień, tak ta sympatia, przybierając na sile, również panią ogarnia i rozpala. Nie należy uważać jej za coś, co przychodzi nagle z zewnątrz. Składa się ona bowiem z istniejących już w naszym sercu uczuć, które potęgują się w zadziwiający dla nas sposób.

W tym miejscu zarzuciliśmy ów spór, by po jakimś czasie do niego powrócić. Coś mi mówiło, że ani moje, ani jej poglądy nie są do końca słuszne. Było jasne, że jakkolwiek byśmy pragnęli być wobec siebie szczerzy, kierowały nami mimo wszystko niezależne od nas, skryte dwuznaczne myśli i pragnienia. W wielu sprawach się ze sobą zgadzaliśmy, w wielu też się jednak od siebie różniliśmy. Jeśli jedno z nas łatwo zgadzało się z drugim, robiło to tylko w imię celu, który uważało za nadrzędny. Nie wstydziliśmy się odsłaniać przed sobą nawet najgłębiej skrywanych zakątków duszy i dyskutować na ten temat. Były jednak i rzeczy, których nie poruszaliśmy w ogóle, sami do końca ich nie

rozumiejąc. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że właśnie te przemilczane kwestie są rzeczywiście znaczące.

Jako że nigdy jeszcze nie spotkałem człowieka, który byłby dla mnie tak bliski, ponad wszystkim górowało we mnie pragnienie, aby jej nie stracić. Być może ostatecznym celem wszystkich moich pragnień było osiąść ją całkowicie, z całą duszą i ciałem, lecz strach przed tym, że mogę stracić to, co już zdołałem zdobyć, uniemożliwiał mi spoglądanie w stronę tego celu. Nie robiłem więc nic, by się do niego przybliżyć, jak człowiek, który obserwując przepięknego ptaka, marzy o tym, by go ująć, ale nie chce spłoszyć go bodaj najmniejszym ruchem.

Niejasno zdawałem sobie sprawę, że ta bierność i wypływająca ze strachu ostrożność są tak naprawdę jeszcze bardziej destrukcyjne i że w relacji z drugim człowiekiem nie można sterczeć w jednym miejscu jak głaz, bo każdy niepostawiony krok do przodu jest w rzeczywistości krokiem wstecz, a chwile, które nas do siebie nie przybliżają, pracują na rzecz naszego rozstania. Czułem, że tłący się niepozornie, lecz z każdym dniem przybierający na sile niepokój powoli zaczyna rzucać cień na moje szczęście.

Żeby móc zachować się inaczej, musiałbym być zupełnie innym człowiekiem. Wiedziałem, że nieustannie krążę wokół najistotniejszego punktu, nie znałem jednak dróg, które mogły mnie do niego ostatecznie doprowadzić, a szukać ich nie byłem w stanie. Nie było już we mnie dawnej nieśmiałości i wstydu. Nie zamykałem się też w sobie, przeciwnie, może nawet trochę za bardzo odsłaniałem teraz swoją duszę. Ciągle jednak z zastrzeżeniem, by nie dotykać tego jednego punktu.

Nie wiem, czy wtedy też rozważałem to wszystko tak jasno i dokładnie. Do tych wniosków dochodzę jednak dzisiaj, gdy wspominam to, co zdarzyło się ponad dwanaście lat temu. Ten czas również nie pozostał bez wpływu na to, co piszę o Marii.

Miałem świadomość, że Marią też targało wówczas wiele sprzecznych uczuć. Czasami była bardzo przygaszona i oschła, innym razem znowu

niespodziewanie unosiła się i okazywała mi ożywioną uwagę, jakby otwarcie chciała mnie sprowokować. Jej zachowanie było na tyle śmiałe, że mogło rozbudzić we mnie nadzieje, których do siebie nie dopuszczałem. Ale takie momenty szybko przemijały i między nami znów pojawiała się dawna przyjacielska atmosfera. Ona zresztą też pewnie zauważyła, że nasza przyjaźń w swojej dotychczasowej formule zabrnęła w ślepią uliczkę. Mimo że nie odnajdywała we mnie tego, czego wymagała od mężczyzny, moje inne zalety były dla niej na tyle cenne, że za nic nie zdecydowałyby się ich poświęcić. Dlatego obawiała się zrobić coś, co w jej mniemaniu mogłoby mnie od niej oddalić.

Wszystkie te zawile uczucia jakby obawiały się pokazać w pełnym świetle i pozostawały ukryte w najbardziej niedostępnych zakamarkach naszych serc. A my wciąż byliśmy parą serdecznych przyjaciół, tak jak dawniej poszukując się i pragnąc, nawzajem wzbogacając duchowo i czerpiąc szczęście ze swojej obecności.

Nagle wszystko jednak się zmieniło i obrało zupełnie nieoczekiwany przez nas kierunek. Zbliżał się koniec grudnia. Ku zadowoleniu Marii, jej matka postanowiła spędzić Boże Narodzenie u dalekich krewnych pod Pragę.

– Mało co działa mi tak na nerwy jak te wszystkie świeczuszki i poubierane w złoto sosenki – mówiła. – Niech pan nie sądzi, że mówię tak dlatego, że jestem Żydówką! Głupotą jest dla mnie to, że ludzie uciekają się do tych wszystkich absurdalnych rytuałów, aby na chwilę móc się uznać za szczęśliwych. To chyba jednak zupełnie naturalne, że nie mogę przy tym ciepłym okiem patrzeć na judaizm, nakładający na swoich wyznawców mnóstwo dziwacznych i niepotrzebnych powinności. Zresztą nawet moja matka-protestantka, Niemka czystej krwi, podporządkowuje się tym wszystkim zwyczajom jedynie ze względu na swój wiek i „żeby tradycji stało się zadość”. I nawet jeśli uważa moje rozumowanie za bezbożne, wynika to bardziej ze strachu, by nie zakłócić spokoju jej ostatnich dni niż z pobudek religijnych...

– Nowy Rok też według ciebie niczym się nie wyróżnia? – spytałem.

– A niby czym miałyby się on różnić od innych dni w roku? Czy natura w jakikolwiek sposób wydziela ten dzień? Większego znaczenia nie ma też liczenie kolejnych lat, jakie upływają z naszego życia; taki podział to również wymysł człowieka... Nasze życie to po prostu droga, ciągnąca się od narodzin do śmierci. Robienie na niej jakichkolwiek podziałów jest czymś całkowicie sztucznym... Ale dajmy już spokój filozofii! Jeśli pan chce, to możemy spędzić tę noc razem. Skończę pracę przed północą, bo na tę noc w „Atlantiku” zaplanowano też inne specjalne atrakcje. Wyjdziemy razem i upijemy się jak wszyscy... Dobrze jest co jakiś czas uwolnić się od siebie i dać się ponieść z prądem... Co ty na to? Chyba jeszcze nie tańczyliśmy, prawda?

– Nie tańczyliśmy.

– Nie sprawia mi to co prawda większej przyjemności, decyduję się na tę męczarnię tylko czasem, gdy spodoba mi się mój partner.

– Nie sądzę, żebym był dla ciebie najlepszym partnerem do tańca...

– Ja też nie... Ale czego to się nie robi dla przyjaciół!

W sylwestra zjedliśmy razem kolację. Zostaliśmy w restauracji, rozmawiając aż do wieczora. Potem udaliśmy razem do „Atlantiku”. Maria poszła się przebrać, a ja usiadłem przy tym samym stoliku co pierwszego wieczoru. Lokal przystrojony był dzisiaj serpentynami, kolorowymi lampionami i złotym konfetti. Goście już teraz wydawali się pijani. Niemal wszystkie pary na parkiecie całowały się i wdzięczyły do siebie. Nie wiem dlaczego, ale popadłem w przygnębienie.

„I po co to wszystko?” – mówiłem sobie. „Rzeczywiście, niby w czym tkwi rzekoma wyjątkowość tej nocy? Sami ją wymyśliliśmy i sami w nią wierzymy. Lepiej, jakby każdy wrócił do domu i położył się spać. Co będziemy robić? Wyjdziemy stąd jak ci tutaj, obejmując się... Z jedną różnicą: my nie będziemy się całować... Czy w ogóle poradzę sobie w tańcu?”

Podczas miesięcy spędzonych w Stambule koledzy z Akademii Sztuk Pięknych pokazali mi kilka tańców, których nauczyli ich biali Rosjanie, licznie przebywający wówczas w mieście. Umiałem nawet trochę tańczyć walca... Ale czy mogło mi się dzisiaj udać coś, czego nie robiłem już chyba od półtora roku? „Wielka rzecz, najwyżej zejść z parkietu i wrócić do stolika!” – pocieszyłem się ostatecznie.

Występ Marii trwał krócej, niż się spodziewałem, i utonął w ogólnym zgiełku. Tego wieczoru każdy wolał zajmować się sobą. Maria ponownie przebrała się i natychmiast stamtąd wyszliśmy. Przeszliśmy do „Europy”, dużego lokalu naprzeciwko dworca Anhalter. Była ona zupełnie inna niż niewielki, zaciszny „Atlantik”. Jak okiem sięgnąć w ogromnych salach bez przerwy tańczyły setki par. Stoły zastawione były butelkami w różnych kolorach, a tu i ówdzie dało się też zobaczyć drzemiących lub siedzących w swoich objęciach ludzi.

Maria była tego wieczoru jakoś nienaturalnie wesoła.

– Gdybym wiedziała, że będziesz siedział z taką kwaśną miną, wybrałabym sobie innego kawalera na ten wieczór! – powiedziała, uderzając mnie w ramię.

Ciągle zamawiała kieliszki cierpkiego wina reńskiego. Wypijała je zadziwiająco prędko, jeden za drugim, zmuszając mnie do tego samego.

Prawdziwa zabawa rozpoczęła się po północy. Mieszały się ze sobą krzyki, śmiechy, głośna muzyka czterech różnych orkiestr i tupot nóg niezliczonych par, które tańczyły w podskokach staroświeckiego walca. Z całą brutalnością wyzwały się tutaj nieujarzmione namiętności powojennych lat. Przykro było patrzeć na tych młodych mężczyzn o wyniszczonych ciałach, wychudłych twarzach i chorobliwie, nerwowo błyszczących oczach, zatracających się w szalonej zabawie i na te dziewczęta, które popuszczając wodzy swym popędom, buntowały się – uważając to za najlepszą formę protestu – wobec niesprawiedliwych i absurdalnych więzów nakładanych na nie przez zabobonne społeczeństwo. Maria wcisnęła mi do ręki kolejny kieliszek.

– Oj, Raif, Raif. Źle robisz... – wyszeptała. – Widzisz, jak bardzo staram się dzisiaj odpędzić od siebie melancholię. Odpreż się i ty, zapomnijmy się przynajmniej na ten jeden wieczór. Wyobraź sobie, że my – to nie my! Jesteśmy częścią tego stada. Naprawdę myślisz, że ci wszyscy ludzie są tacy, jak ich teraz widzimy? Nie chcę. Nie chcę być teraz mądrzejsza i bardziej wrażliwa od nich wszystkich. Pij i śmieję się!

Była już trochę pijana. Wstała ze swego miejsca naprzeciwko i przysiadła się do mnie, zarzucając mi rękę na szyję. Serce waliło mi szybko jak serce ptaka złapanego w pułapkę. Myślała, że jestem smutny. A nie byłem. Byłem szczęśliwy, ale tak, że aż nie mogłem się śmiać, przyjmowałem więc swoje szczęście na poważnie.

Zaczął grać walca. Powoli nachyliłem się do jej ucha.

– Zatańczmy... Ale nie jestem najlepszy...

Poderwała się z miejsca, ignorując zupełnie moje ostatnie słowa.

– Zatańczmy! – powiedziała.

Dołączyliśmy do tłumu tańczących. Nie był to w zasadzie taniec, a raczej przesuwanie się z miejsca na miejsce, zależnie od kaprysu tłoczących się ze wszystkich stron ciał. Ale nie uskarżaliśmy się na to. Maria wpatrywała się we mnie. W tych czarnych, myślących oczach błyszczało coś zadziwiającego, coś, czego nie mogłem zrozumieć. Czułem delikatny, cudowny zapach jej ciała. Lecz najważniejsze było to, że miałem ją tutaj tak blisko i wiedziałem, że coś dla niej znaczę.

– Mario – wyszeptałem – jak to się dzieje, że jeden człowiek może uczynić drugiego tak bardzo szczęśliwym? Muszą kryć się w nas chyba jakieś potężne moce!

Przez jej oczy znów przebiegł tamten błysk. Przez chwilę przyglądała mi się z jeszcze większą uwagą, a następnie przygryzła wargi. Jej spojrzenie było posępne i puste.

– Usiądźmy trochę! Jak tu tłoczno. Chyba powoli zaczyna mnie to nudzić!

Znów wypić kilka kieliszków wina, jeden za drugim. Nagle wstała.

– Zaraz wracam! – powiedziała i oddaliła się chwiejnym krokiem.

Długo czekałem na jej powrót. Mimo wszystkich jej zachęt udało mi się nie wypić za dużo. Byłem raczej oszołomiony niż pijany. Bolała mnie głowa. Maria nie wracała, mimo że od jej odejścia upłynął już niemal kwadrans. Zacząłem się niepokoić. Zajrzałem do wszystkich toalet, by sprawdzić, czy gdzieś nie upadła i nie czeka przypadkiem na pomoc. Zostałem tam jedynie kobiety, które agrafką próbowały podreperować naderwane części garderoby lub poprawiały makijaż przed lustrem. Nie znalazłem Marii w żadnej z nich. Przyjrzałem się dokładnie każdej z kobiet drzemających na kanapach ustawionych po bokach sali. Nie znalazłem jej także wśród nich. Mój niepokój wzmógł się do ostatnich granic. Potrącając siedzących i stojących ludzi, pobiegłem do innego pomieszczenia. Przeskakując po kilka stopni, zszedłem na niższe piętro i szukałem. Nie było jej.

Nagle moje spojrzenie padło na zaparowane szyby obrotowych drzwi klubu. Zobaczyłem przez nie, że na zewnątrz majaczy coś białego. Wybiegłem i nie mogłem powstrzymać okrzyku. Maria Puder stała pod jednym z rosnących przed budynkiem drzew. Opierała się o nie, wtulając twarz w założone ramiona. Miała na sobie tylko cieniutką, wełnianą suknię. Płatki śniegu powoli opadały jej na włosy i kark. Gdy usłyszała mój głos, odwróciła się do mnie i uśmiechnęła.

– Gdzie się podziewałeś?

– Gdzie pani się podziewała? Co pani wyprawia? Oszalała pani?! – wrzeszczałem.

– Cicho! – powiedziała, przykładając palec do ust. – Chciałam się przewietrzyć i nabrać trochę świeżego powietrza. Chodźmy już!

Natychmiast zaciągnąłem ją do środka i posadziłem na wolnym krześle. Sam poszedłem na górę zapłacić rachunek i przyniosłem z szatni swoje palto i jej futro. Ruszyliśmy w drogę przez zaśnieżone ulice.

Trzymała mnie mocno za ramię i starała się iść szybko. Wszędzie było pełno pijanych par. Ludzie tłoczyli się grupkami na szerokich alejach.

Kobiety poubierane były tak lekko, że mogło się zdawać, iż mają na sobie letnie ubrania. Beztrosko śmiały się i śpiewały, jakby wybierały się na wiosenny piknik po północy.

Maria ciągnęła mnie, byle tylko jak najszybciej wyminąć tych wszystkich radosnych, nietrzeźwych ludzi. Niektórzy nawet zagadywali do niej po drodze i chcieli rzucić się jej na szyję. Odpowiadała im niedbałym uśmiechem, zręcznie wymykając im się z rąk i poganiając mnie przy tym jeszcze bardziej. A ja myślałem, że jest pijana i że ledwo trzyma się na nogach...

Zwolniła kroku, gdy znaleźliśmy się na nieco spokojniejszej ulicy. Oddychała szybko i głęboko. Z westchnieniem odwróciła się do mnie.

– I jak? Jesteś zadowolony z dzisiejszej nocy? Dobrze się bawiłeś? Bo ja wspaniale, ach, tak wspaniale, jak bardzo...

Głośno się roześmiała. Przerwał jej gwałtowny, duszący kaszel. Cały czas nie puszczała jednak mojej dłoni.

– I co narobiłaś? Widzisz, przeziębilaś się! – powiedziałem, gdy kaszel na chwilę ustał.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Ach, jak się wybawiłam...

Bałem się, że za chwilę się rozplacze, i teraz to ja chciałem jak najszybciej odprowadzić ją do domu.

Pod koniec drogi nogi zaczęły się jej plątać. Najwidoczniej traciła już siły i kontrolę nad sobą, podczas gdy na mnie rześka pogoda podziałała całkowicie otrzeźwiająco. Prowadziłem ją, obejmując w pasie i co jakiś czas depcząc jej na stopy. Niewiele brakowało, a przechodząc na drugą stronę ulicy, runęlibyśmy w śnieg. Ledwie słyszalnym głosem mówiła coś do siebie bez ładu i składu. Najpierw pomyślałem, że próbuje śpiewać, ale gdy się zorientowałem, że zwraca się do mnie, nadstawiłem ucha.

– Tak... Taka już jestem... Raifie... Kochany Raifie... Taka już jestem... Czy nie mówiłam? Każdego dnia jestem inna... Ale nie trzeba się smucić. Jesteś wspaniałym chłopcem... Nie ma wątpliwości, że jesteś dobrym

chłopcem! – Nagle zaczęła szlochać. Po chwili podjęła na nowo: – Nie, nie, nie trzeba się smucić...

Po półgodzinie staliśmy już pod jej domem. Oparła się o ścianę i czekała.

– Gdzie masz klucze? – spytałem.

– Nie gniewaj się, Raif... Nie gniewaj się na mnie! No tak... Pewnie w kieszeni!

Z wewnętrznej kieszeni futra wyjęła i podała mi trzy spięte ze sobą klucze.

Otworzyłem drzwi i wróciłem do niej, aby pomóc jej wejść na górę. Wymknęła mi się jednak i pobiegła na górę.

– Upadniesz! – zawołałem.

– Nie... Dam radę sama! – odpowiedziała zdyszana z wysiłku.

Zapomniała odebrać ode mnie klucze, poszedłem więc za nią. Nagle w ciemności z górnego piętra krzyknęła do mnie:

– Jestem tutaj... Otwórz te drzwi!

Otworzyłem je i weszliśmy do środka. Zapaliła światło w swoim pokoju. Pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to stare, ale dobrze utrzymane meble i ładne dębowe łóżko.

Stałem bez ruchu na środku pokoju. Zdjęła futro i odłożyła je na bok. Pokazała mi ręką stołek.

– Siadaj!

Sama też usiadła na brzegu łóżka. Pośpiesznie zdjęła buty i pończochy. Sukienkę ściągnęła przez głowę, po czym odrzuciła ją na puste krzesło i wślizgnęła się pod kołdrę.

Wstałem. W milczeniu podałem jej rękę na pożegnanie. Patrzyła na mnie jak na człowieka, którego zobaczyła po raz pierwszy w życiu. Na jej twarzy pojawił się pijacki uśmiech. Spuściłem wzrok. Gdy znów na nią spojrzałem, leżała w łóżku. Miała szeroko otwarte oczy i wydawała się niespokojna. Mrugała, jakby chciała tym odpędzić senność. Jej wystające spod kołdry prawe ramię było blade tak jak jej twarz. Lewym łokciem opierała się o poduszkę.

– Zmarzniesz! – powiedziałem.

Gwałtownie pociągnęła mnie za rękę i posadziła na skraju łóżka. Przynęła się i wtuliła twarz w moje dłonie.

– Ach, Raifie, czyli możesz być również taki? Masz rację... Ale co ja mogę zrobić? Gdybyś wiedział... Ach, gdybyś tylko wiedział... Jak wspaniale się bawiliśmy, prawda? Oczywiście... Nie, nie, przecież wiem! Nie zabieraj rąk... Nie widziałam cię jeszcze takim. Umiesz być tak pięknie poważny! Ale dlaczego?

Podniosłem głowę. Usiadła obok mnie na klęczkach i położyła ręce na moich policzkach.

– Popatrz na mnie! Mylisz się... Udowodnię ci to... A przede wszystkim sobie... Czemu tak siedzisz? Nadal nie wierzysz? Nadal wątpisz?

Zamknęła oczy i zmarszczyła czoło, jakby starała się pochwycić jakąś myśl, która kołatała jej się w głowie, lecz ciągle jej się wymykała. Widząc, jak jej nagie ramiona drżą, ściągnąłem kołdrę, zarzuciłem jej na plecy i przytrzymałem, żeby się nie ześlizgnęła.

Otworzyła oczy. Uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

– Więc to tak... Ty też się śmiejesz, prawda? – zaczęła i nie rozwijając myśli, zapatrzyła się w kąt pokoju.

Włosy opadły jej na czoło. Rzęsy rzucały cień na nos. Jej dolna warga drżała leciutko. W tej chwili jej twarz była piękniejsza od tej z portretu, piękniejsza nawet niż twarz Madonny z harpiami. Przytuliłem ją do siebie ręką, którą trzymałem kołdrę na jej ramionach.

Czułem, jak drży jej ciało.

– Oczywiście... Oczywiście! – powiedziała. – Oczywiście, kocham pana. I to bardzo... Czy mogło być inaczej? Kocham bez względu na wszystko... Nie ma co do tego wątpliwości, kocham. Ale czemu pan się dziwi? Myślał pan, że będzie inaczej? Ja wiem, jak bardzo mnie pan kocha... I ja kocham pana, przynajmniej tak samo...

Przyciągnęła mnie do siebie i zasypała ognistymi pocałunkami.

Gdy obudziłem się rano, usłyszałem jej głęboki, równy oddech. Spała z głową opartą o ramię, odwrócona do mnie tyłem. Jej włosy rozrzucone były falami po białej poduszce. Otoczone drobnym puszkim usta były lekko rozchylone. Nozdrza rozszerzały się jej przy oddechu, a kilka kosmyków włosów, które opadły jej na twarz, to unosiło się, to opadało.

Opuściłem głowę na poduszkę i czekałem, wpatrzony w sufit. Byłem ciekawy, jak spojrzy na mnie, gdy się obudzi, co mi powie. Nie wiem dlaczego, ale czekałem na to przebudzenie zarówno z niecierpliwością, jak i z pewnym lękiem. Nie było we mnie tego spokoju i ufności, z jakimi miałem nadzieję otworzyć oczy dziś rano. Zastanawiałem się, dlaczego tak jest, ale w żaden sposób nie mogłem tego dociec. Czemu wciąż drżałem jak więzień oczekujący na wyrok? Czego mogłem od niej jeszcze więcej chcieć? Na co liczyłem? Czyż wszystkie moje pragnienia właśnie się nie ziściły?

Czułem w sobie jakąś pustkę, która przygniatała mnie niemal fizycznie. Czegoś mi brakowało, ale czego? Byłem jak człowiek, który zauważywszy po wyjściu z domu, że o czymś zapomniał, zatrzymuje się na środku ulicy i zaczyna szperać po kieszeniach i pamięci. Nie mogąc ustalić, czego tak naprawdę szuka, rezygnuje w końcu z poszukiwań i nie przestając o nich myśleć, rusza dalej, ale walczy z oporem kroków, które nie chcą posuwać się naprzód.

Zdałem sobie sprawę, że od jakiegoś czasu w pokoju panuje cisza. Spojrzałem na Marię, lekko unosząc głowę.

Leżała wpatrzona w jakiś nieokreślony punkt. Nie poruszyła się choćby po to, by odgarnąć włosy opadające jej na twarz. Musiała wiedzieć, że się jej przyglądam, lecz ani razu nie odwróciła się w moją stronę, ciągle patrząc w to samo miejsce nieruchomymi oczami. Najwidoczniej nie spała już od dłuższego czasu. Nagle poczułem, że dręczące mnie obawy potęgują się, jakby jakaś niewidzialna obręcz owinęła się i zacisnęła wokół mej piersi.

Ogarniała mnie złość, gdy pomyślałem o tym, że te wszystkie absurdalne uczucia i lęki są w tej chwili całkowicie zbędne i że nie ma żadnego

powodu, by ten najpiękniejszy dzień mojego życia zatruwały złudzenia i złe przeczucia.

– Nie śpi pan? – spytała, nie odwracając się do mnie.

– Nie... A pani dawno się obudziła?

– Przed chwilą.

Jej głos na nowo dodał mi odwagi. Ten głos, który od dłuższego czasu był najmilszym znajomym moich uszu i który budził we mnie jedynie przyjemne wspomnienia, dodał mi otuchy niczym nagły powrót zaufanego przyjaciela. Lecz nie trwało to długo. Spytała mnie: „Nie śpi pan?”. Co prawda w ostatnich dniach zwracaliśmy się do siebie to na „ty”, to na „pan”... Ale czy powinna się tak odezwać akurat dziś rano, po tej nocy?

Może jeszcze nie do końca się przebudziła.

Odwróciła się w moją stronę. Uśmiechała się. Ale nie był to jej zwykły, szczery i przyjazny uśmiech. Przypominał bardziej ten, którym obdarzała klientów „Atlantiku”.

– Nie wstajesz? – spytała.

– Już wstaję... A ty?

– Nie wiem... Nie czuję się najlepiej. Jestem trochę osłabiona... To chyba po alkoholu... Bolą mnie też plecy...

– Przemarzałeś wczoraj! Kto to widział, wypadać niemal goła na ulicę?

Wzruszyła ramionami i znowu się odwróciła.

Wstałem, przemyłem twarz i naprędce się ubrałem. Zauważyłem, że śledzi mnie kątem oka.

Atmosfera w pokoju była dość napięta. Chciałem rzucić jakiś żart, by choć trochę ją rozładować.

– Jakby odjęło nam mowę... Co się z nami dzieje? Naprawdę zaczęliśmy się już ze sobą nudzić jak stare małżeństwo?

Spojrzała na mnie oczami, w których wyczytałem niezrozumienie dla tego, co chciałem powiedzieć. Zawstydzilem się jeszcze bardziej i umilkłem. Po chwili podszedłem do łóżka. Pragnąłem ją przytulić, przełamać ten lód między nami, zanim stężeje jeszcze bardziej. Lecz ona w tym momencie

wyprostowała się, opuściła nogi na podłogę i zarzuciła na siebie lekką bluzeczkę. Nie spuszczała ze mnie wzroku. Było w niej coś takiego, co przeszkadzało mi podejść do niej bliżej. Wreszcie odezwała się spokojnym głosem:

– Czemu jesteś taki skrepowany? – Niespodziewanie jej blada twarz zaróżowiła się tak, jak nigdy wcześniej. Jej pierś powoli podnosiła się i opadała. – Czego chcesz więcej? – podjęła. – Możesz ode mnie chcieć czegoś jeszcze? A ja chcę... Pragnę tak wielu rzeczy, a nie mogę zdobyć żadnej z nich... Próbowałam wszystkiego, bezskutecznie... Ty możesz już być zadowolony, ale co mam zrobić ja?

Głowa opadła jej na pierś. Bezwładnie spuściła ręce. Koniuszki nagich stóp dotykały dywanu. Uniosła tylko duży palec, pozostałe były podkulone.

Przysunąłem krzesło i usiadłem naprzeciwko niej. Chwyciłem ją za ręce.

Mój głos drżał ze zdenerwowania, jak u człowieka, który bliski jest utraty najcenniejszego skarbu, sensu całego swojego życia.

– Mario – zacząłem. – Mario! Moja Madonno w futrze! Co się nagle stało? Co takiego ci zrobiłem? Przrzekłem niczego od ciebie nie żądać. Czy nie dotrzymałem słowa? Co ty wygadujesz, teraz, w chwili, w której powinniśmy być sobie bliżsi niż kiedykolwiek wcześniej?

Kiwnęła głową.

– Nie, przyjacielu, mylisz się! Nigdy jeszcze nie byliśmy od siebie tak daleko! Bo nie ma już we mnie więcej nadziei. To była ostatnia... Powiedziałam sobie, że jeden raz spróbuję i tego. Myślałam, że to może tego brakowało. Ale nie... Ciągle jest we mnie ta pustka... Teraz nawet jeszcze większa niż dawniej... Co zrobimy? To nie twoja wina... Nie kocham cię. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że powinnam się w tobie zakochać. Po tym, jak mi się nie udało, nie będę w stanie pokochać już nikogo innego. Teraz muszę już porzucić wszelką nadzieję... To niezależne ode mnie... Widocznie taka już muszę być... Nie ma innego wyjścia, jak pogodzić się z tym... A tak bardzo bym chciała... Jak bardzo chciałabym być inna... Raifie... Mój poczciwy przyjacielu... Uwierz, że chciałabym tego

tak bardzo jak ty, a nawet jeszcze bardziej... Ale co mogę zrobić? Nie czuję nic oprócz goryczy w ustach po wczorajszym winie i narastającego bólu pleców... – Umilkła na chwilę. Znow zamknęła oczy. Jej twarz złagodniała i stała się bardziej spokojna. Głos miała teraz przyjemny, jakby opowiadała bajkę ze swego dzieciństwa. – Wczoraj w nocy, szczególnie jak tutaj przyszliśmy, przez chwilę sobie coś roiłam... Wyobrażałam sobie, że jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki stanę się zupełnie inna, że moje serce wypełni się uczuciami – niewinnymi jak u małych dziewczynek, lecz zarazem na tyle silnymi, że zdołają ogarnąć całe moje życie – i że dzisiaj obudzę się ze snu tak, jakbym narodziła się dla jakiegoś nowego świata. Ale rzeczywistość okazała się tak bardzo różna... Jest pochmurno, jak zawsze, w pokoju zimno... Obok mnie mimo wszystko obcy, mimo całej swej bliskości oddzielny, zupełnie inny ode mnie człowiek... W mięśniach zmęczenie, a w głowie ból... – Z powrotem położyła się do łóżka. Przysłoniła oczy ręką i kontynuowała: – Okazuje się że ludzie rzeczywiście mogą zbliżyć się do siebie tylko do pewnej granicy... Każdy krok postawiony już za nią zamiast zbliżać, oddala coraz bardziej. Jak bardzo bym chciała, żeby w naszym przypadku tej granicy nie było. Najbardziej smuci mnie to, że i ta nadzieja zawiodła... Nie mamy się już co oszukiwać... Nie zdołamy być ze sobą tak szczerzy jak dawniej. I to przez co, w imię czego poświęciliśmy to wszystko? Dla niczego! Chcąc wejść w posiadanie czegoś, co nie istnieje, straciliśmy to, co rzeczywiście było w zasięgu naszych możliwości... Czy wszystko już skończone? Nie sędzę. Wiem przecież, że nie jesteśmy dziećmi. Teraz musimy tylko przez jakiś czas od siebie odpocząć i nie widywać się. Aż do momentu, gdy poczujemy gwałtowną potrzebę spotkania... No dalej, Raifie. Gdy ta chwila nadejdzie, znajdę cię. Może znow zostaniemy przyjaciółmi i tym razem będziemy już zachowywać się rozsądniej. Nie będziemy od siebie oczekiwać i żądać więcej, niż możemy sobie dać... A teraz idź już... Tak bardzo chcę zostać sama...

Zdjęła rękę z oczu i wyciągnęła ją do mnie. Patrzyła na mnie niemal błagalnie. Ująłem końce jej palców i powiedziałem tylko: „Żegnaj”.

– O nie, nie w ten sposób... Odchodzi pan obrażony... Co ja panu zrobiłam?! – krzyknęła.

Siląc się na spokój, odpowiedziałem:

– Nie obrażony, a cierpiący!

– A czy ja nie cierpię? Nie widzisz, w jakim jestem stanie? Nie odchodź tak... No, podejdź! – Przyciągnęła moją głowę do swej piersi i pogłaskała mnie po włosach. Musnęła policzkiem moją twarz. – Uśmiechnij się do mnie raz i odejdź!

Uśmiechnąłem się i zakrywając twarz ręką, wypadłem z mieszkania.

Nie myślałem zupełnie, dokąd idę. Na ulicach nikogo nie było, większość sklepów była pozamykana. Szedłem na południe. Obok mnie przejeżdżały tramwaje i omnibusy z zaparowanymi szybami. Szedłem... Coraz częściej mijalem kamienice z poczerniałymi fasadami, brukowane chodniki... Szedłem przed siebie... Spocony rozpiąłem palto. Doszedłem na koniec miasta. Mimo to szedłem dalej... Przechodziłem pod mostami kolejowymi, przez ścięte lodem kanały... Ciągle szedłem. Całymi godzinami. Nie myślałem o niczym. Z powodu mrozu cały czas mrugałem i niemal biegiem posuwałem się naprzód. Z obu stron otaczały mnie teraz równo rosnące sosnowe lasy. Co jakiś czas nagle z gałęzi spadały grudki śniegu. Mijali mnie rowerzyści, z daleka dało się słyszeć odgłosy pociągu. Szedłem... Po prawej zobaczyłem dość spore jezioro i tłum ludzi ślizgających się na łyżwach. Zboczyłem między drzewa i skierowałem się w ich stronę. Cały las poprzecinany był podłużnymi, krzyżującymi się śladami nart. W dobrze utrzymanych zagajnikach otoczonych ogrodzeniem z drutu malutkie sadzonki sosen pokryte śniegiem dygotały niczym dzieci w białych pelerynkach. W oddali majaczyła dwupiętrowa drewniana restauracja. Po taflę jeziora, nie zatrzymując się ani na chwilę, ślizgały się dziewczynki w krótkich spódniczkach i chłopcy z podwiniętymi nogawkami. Unosząc jedną nogę w powietrze, obracali się w miejscu i trzymając się za ręce, odjeżdżali w kierunku widniejącego w oddali cypla. Kolorowe szaliki

dziewcząt i blond włosy chłopców falowały na wietrze, a ich sylwetki, równomiernie poruszając się to w prawo, to w lewo, z każdym ruchem zdawały się to wydłużać, to kurczyć.

Nic nie umknęło mojej uwadze. Szedłem, zapadając się w śniegu po kostki i obserwując wszystko dookoła. Obszedłem od tyłu budynek restauracji i skierowałem się w stronę drzew po przeciwległej stronie. Zdawało mi się, że już tutaj kiedyś byłem, ale zupełnie nie mogłem sobie przypomnieć ani kiedy, ani co to jest za miejsce. Kilkaset metrów od lokalu, na lekkim wzniesieniu rosło kilka starych drzew. Zatrzymałem się przy nich i znów zacząłem się przyglądać ludziom na jeziorze.

Błąkałem się tak już chyba od czterech godzin. Nie byłem świadomy, po co zboczyłem z drogi w to miejsce i dlaczego nie zawróciłem. Ból głowy złagodniał, mrowienie, jakie czułem u podstawy nosa, zniknęło. Pozostało tylko nieznośne uczucie pustki. Epoka, którą uważałem za najbardziej treściwą i znaczącą w moim życiu, nieoczekiwanie straciła cały swój powab. Było mi smutno jak po powrocie do szarej rzeczywistości ze snu, w którym przeżyło się spełnienie wszystkich najbliższych sercu pragnień. Naprawdę nie byłem na nią obrażony – nigdy się nie złościłem. Tylko cierpiałem. „To nie tak miało być” – powtarzałem sobie. Czyli nie była jednak w stanie mnie pokochać. Miała rację. Nikt mnie nigdy nie kochał. Kobiety to rzeczywiście dziwne istoty. Gdy pomyślałem o całym swoim życiu, doszedłem do wniosku, że kobiety nigdy nie będą zdolne kochać naprawdę. Kobieta, gdy może kochać – nie kocha, a jedynie żałuje swoich niespełnionych pragnień, chce podreperować urażoną godność i ubolewa nad niewykorzystanymi okazjami, postrzegając to wszystko przez pryzmat miłości. Szybko jednak zreflektowałem się, że takie myślenie jest niesprawiedliwe wobec Marii. Nie mogłem jej mimo wszystko zaliczyć do kobiet tego pokroju. Widziałem przecież, że i ona cierpi. Tak wielka rozpacz nie mogła wynikać jedynie ze współczucia dla mnie. Zadręczała się tym, że nie może odnaleźć tego, czego szuka. Ale co to było? Czego brakowało jej we mnie, a raczej w tym, co nas łączyło?

To bolesne, gdy nagle przekonujemy się, że kobieta, która oddała nam wszystko, co tylko mogła, tak naprawdę nie dała nam nic; gdy jesteśmy zmuszeni przyznać, że nie jest nam ona teraz wcale bliższa – tak, jak się to zdawało – ale przeciwnie, jest nieskończenie daleko od nas.

To nie tak miało być. Ale Maria i tu miała rację, nie można było na to nic poradzić. A już zupełnie niczego nie mogłem działać tutaj ja...

Jakie jednak miała prawo mi to zrobić? Od lat żyłem całkiem znośnie, nie zdając sobie do końca sprawy z pustki mego życia. Nawet jeśli uciekałem od ludzi, tłumaczyłem to sobie dziwactwem mojego charakteru i jakoś żyłem. Nie miałem przy tym żadnego wyobrażenia o życiu, które mogłoby uczynić mnie szczęśliwym. Odczuwałem swoją samotność i cierpiałem przez nią, ale i nie liczyłem na to, że możliwa jest jakakolwiek zmiana. W takim byłem stanie, gdy spotkałem Marię, a właściwie jej obraz. Zupełnie nieoczekiwanie wyrwał mnie on z tego mrocznego i spokojnego świata, popychając w stronę światła i prawdziwego życia. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że jest we mnie coś więcej: dusza. A teraz zniknęła tak samo nagle i niespodziewanie, jak się pojawiła. Lecz po tym wszystkim nie było już dla mnie powrotu do dawnego letargu. Zobaczę pewnie jeszcze wiele miejsc, poznam wielu różnych ludzi. Ale wszędzie, w każdym z nich będę odtąd szukał już tylko jej, Marii Puder, Madonny w futrze. Wiedziałem na starcie, że nigdy jej nie odnajdę, ale nie szukać jej byłoby czymś ponad moje siły. Skazywała mnie na dożywotnie poszukiwanie nieznannej i nieistniejącej osoby. Nie powinna była tego robić...

Kolejne lata mojego życia rysowały mi się w nieznośnie mrocznych barwach. Nie widziałem powodu, dla którego miałbym ten ciężar znosić. Gdy o tym pomyślałem, nieoczekiwanie opadła zasłona z mych oczu. Przypomniałem sobie, jak nazywa się miejsce, do którego doszedłem. Jezioro Wannsee. Jednego dnia, gdy jechałem z Marią do Poczdamu, by zwiedzić ogrody pałacu Sanssouci, rezydencji Fryderyka II, pokazała mi je przez okno pociągu. Opowiedziała przy tym, jak ponad sto lat wcześniej

nieszczęsny poeta Kleist zastrzelił się tutaj wraz ze swoją ukochaną. Dokładnie pod tymi drzewami, przy których stałem teraz.

Co mnie tutaj przywiodło? Dlaczego zboczyłem z drogi, gdy tylko, idąc bez celu, zobaczyłem je z daleka? Dlaczego od razu po pożegnaniu z Marią obrałem ten kierunek i przyszedłem tutaj, jakbym to sobie zaplanował, na miejsce, w którym ci ludzie odebrali sobie życie, nie rozstając się nawet na drodze ku śmierci? Czy to, że po wysłuchaniu jej słów o granicy dzielącej dwoje ludzi i po rozstaniu z nią – istotą, której ufałem najbardziej na świecie – skierowałem swe kroki akurat tutaj, nie było moją podświadomą odpowiedzią dla niej? A może chciałem się tylko przekonać i przypomnieć sobie o tym, że można znaleźć przykłady i takich kochanków, którzy nie zatrzymują się w połowie drogi? Nie wiem. Nie mogę nawet z całą pewnością stwierdzić, że wówczas o tym wszystkim myślałem. Nagle ziemia zaczęła parzyć mnie w stopy. Prawie widziałem przed sobą kobietę i mężczyznę leżących jedno przy drugim, ją z kulą w piersi, a jego z przestrzeloną głową. Zdawało mi się, że stoję w jeziorzku utworzonym ze spływającej zygzakami przez trawnik krwi. Podobnie jak ich losy, również krew kochanków połączyła się ze sobą. Spoczywali teraz tutaj, zaledwie kilka kroków ode mnie. Byli razem po dziś dzień... Puściłem się biegiem z powrotem do miasta, pokonując dokładnie tę samą drogę, którą tutaj przyszedłem...

Z dołu słychać było śmiechy ślizgających się po jeziorze. Podtrzymujące się wzajemnie pary znajdowały się w ciągłym ruchu, jakby były w nigdy niekończącej się podróży. Przez otwierające się raz po raz drzwi restauracji wydobywały się dźwięki muzyki i tupot stóp. Kogo zmęczyło ślizganie, ten wspinał się do położonego nieco wyżej lokalu, zapewne żeby się trochę rozgrzać grogiem i potać. Złoty.

Ludzie bawili się. Żyli. Zrozumiałem, że zamykając się we własnym świecie, nie ustawiałem się ponad, a pod nimi. Wycofanie wcale nie świadczyło o mojej wyjątkowości i wewnętrznym bogactwie, tak jak sądziłem to do tej pory, ale raczej o duchowym kalectwie. Ci ludzie żyją

tak, jak powinno się tutaj żyć, wykonują swoje obowiązki, wzbogacają czymś swoje życie. A ja? Moja dusza zżerała mnie tylko od środka jak kornik, nic więcej. Te drzewa i leżący na nich śnieg, ten drewniany budynek, ten gramofon, to jezioro i pokrywająca je warstwa lodu, a w końcu ci wszyscy ludzie zajęci byli pracą zleconą im przez życie. Każde ich działanie miało jakiś niewidoczny na pierwszy rzut oka sens. Ja natomiast byłem bezużyteczny jak koło u wozu, które wyskoczyło z osi. I jeszcze próbowałem z tego wyciągać jakieś wnioski na swoją korzyść! Niewątpliwie byłem najbardziej zbędnym człowiekiem na świecie. Moja śmierć nie byłaby dla niego żadną stratą. Nikt niczego nie oczekiwał ode mnie, podobnie jak niczego od nikogo nie oczekiwałem ja.

Był to punkt zwrotny w moim życiu. Od tej chwili zacząłem wierzyć w to, że jestem niepotrzebny i nieprzydatny do niczego. Owszem, czasem zdarzały się chwile, w których zdawało mi się, że znów powracam do życia, że żyję. Nawet kilka dni później zupełnie nowe okoliczności całkowicie pochłonęły mnie na jakiś czas i skutecznie odciągnęły moją uwagę od innych myśli. Ale to przeświadczenie, że świat mnie nie potrzebuje, na zawsze już zadomowiło się gdzieś w najgłębszych zakamarkach mojej duszy i krępowało każdy mój ruch. Nawet dzisiaj, po upływie tylu lat, pamiętam wszystko, a zwłaszcza najdrobniejsze szczegóły tamtej decydującej chwili, która ostatecznie zdruzgotała hart mojego ducha i skazała mnie na całkowitą samotność. Teraz widzę bardzo jasno, że nie pomyliłem się wówczas w ocenie samego siebie...

Biegiem dotarłem do asfaltowej drogi i zacząłem iść w stronę Berlina. Od wczorajszego wieczoru nie miałem nic w ustach, odczuwałem raczej mdłości niż głód. W nogach nie czułem bólu, ale napięcie promieniujące na całe ciało. Tym razem szedłem powoli, pogrążony w myślach. W miarę jak zbliżałem się do miasta, wzrastało moje przygnębienie. Nie mogłem pogodzić się z tym, że kolejne dni upłyną mi bez niej. Perspektywa ta wydawała mi się czymś śmiesznym i niepoważnym, czymś zupełnie nieprawdopodobnym... Nie wchodziło w grę to, by unizyć się przed nią

i błagać. Ani bym się na to nie zdobył, ani nie przyniosłoby to żadnej korzyści... Puściłem wodze fantazji, podobnie jak robiłem to w dzieciństwie. Tym razem jednak moje marzenia były bardziej szalone, absurdalne i krwawe.

To by dopiero było coś, zadzwonić do „Atlantiku” w godzinach jej pracy i poprosić ją do telefonu: „Przepraszam, że niepokoję...!”. Po czym, po krótkim pożegnaniu, nie odkładając słuchawki, palnąc sobie z pistoletu w głowę! Usłyszawszy ten straszliwy odgłos, pewnie zamarłaby na chwilę, niczego nie rozumiejąc, a potem jak oszalała zaczęłaby wołać: „Raif! Raif!”, próbując uzyskać ode mnie jakąś odpowiedź. Możliwe, że usłyszałaby też, jak charcząc, wydaję z siebie ostatnie tchnienie, jak umieram, śmiejąc się na całe gardło. Nie wiedziałyby, skąd dzwonię, miotałyby się więc pewnie z bezradności, że nie może zawiadomić policji... A następnego dnia, gdy roztrzęsiona wzięłaby do ręki gazetę i przeczytała w niej wzmiankę o tej zagadkowej, niewyjaśnionej tragedii, pogrążyłaby się pewnie w wyrzutach sumienia i rozpacz. Stałoby się dla niej jasne, że nie zdoła już o mnie zapomnieć aż do końca swoich dni, że na zawsze związałem się z jej pamięcią krwawymi więzami.

Tymczasem byłem już prawie w mieście. Mijałem te same mosty co wcześniej. Zaczęło się ściemniać. Nie wiedziałem, dokąd idę. Zaszedłem do małego parku i usiadłem na ławce. Piekły mnie oczy. Odchyliłem głowę do tyłu i spojrzałem w niebo. Miałem przemarznięte nogi, siedziałem tak jednak przez wiele godzin. Ogarnęła mnie dziwna ospałość. Zostać tutaj i zamarznąć, a następnego dnia zostać pochowanym w jakimś spokojnym miejscu... Co zrobiłaby Maria, gdyby przypadkowo dowiedziała się o tym po jakimś czasie? Jaki wyraz przybrałaby jej twarz? Czy żałowałaby tego, co zrobiła?

Moje myśli ciągle krążyły wokół niej. Wstałem i zebrałem się do dalszej drogi. Od śródmieścia dzielił mnie jeszcze długi marsz. Po drodze zacząłem rozmawiać sam ze sobą. Zwracałem się do niej. Tak jak podczas pierwszych dni naszej znajomości, do głowy cisnęły mi się tysiące

pięknych, zajmujących i przekonujących słów. Nie mogła pozostać wobec nich obojętna, musiała pod ich wpływem zmienić zdanie. Ze łzami w oczach, drżącym głosem wyjaśniałem jej, jak bardzo jesteśmy sobie bliscy i że to absurd rozstawać się z tak błahych powodów, skoro na świecie dwójce ludzi tak trudno jest odnaleźć siebie nawzajem... Najpierw może wyda jej się dziwne, że taki człowiek jak ja, zawsze spokojny i uległy, wpadł nagle w podobne uniesienie. Ale potem powoli chwyci mnie za dłoń i odpowie z uśmiechem: „Masz rację!”

Tak... Musiałem się z nią zobaczyć i jej to wszystko powiedzieć. Powinna zmienić tę przerażającą decyzję, z którą tak łatwo pogodziłem się dziś rano... I zmieni. Może ją też zdziwiło i dotknęło to, że tak od razu, bez słowa sprzeciwu od niej wyszedłem. Musiałem zobaczyć się z nią natychmiast, jeszcze tego samego wieczoru.

Szwendałem się po mieście jeszcze przez jakiś czas, a o jedenastej stałem już pod „Atlantikiem”. Czekałem na nią, chodząc w tę i w tę przed wejściem. Nie przyszła. W końcu spytałem o nią stojącego w drzwiach szwajcara.

– Dziś się nie pojawiła! – odpowiedział.

Najwidoczniej musiała poczuć się gorzej. Niemal biegiem dotarłem do kamienicy, w której mieszkała. W oknie nie paliło się żadne światło. Pewnie już spała. Uznałem, że niewłaściwie byłoby ją teraz nachodzić, i wróciłem do siebie.

Przez trzy dni czekałem na nią na jej stałej trasie, a potem wystawałem pod jej domem, patrzyłem w ciemne okna i odchodziłem, nie decydując się na żadne działanie. Za dnia siedziałem w swoim pokoju i próbowałem czytać. Przewracałem kolejne strony, nie dostrzegając przy tym ani jednej litery. Czasem zaczynałem od nowa, zmuszając się do większej uwagi, ale już po kilku liniijkach łapałem się na tym, że znów błędzę myślami gdzieś indziej. W dzień godziłem się ze wszystkim, rozumiejąc, że jej decyzja jest ostateczna i że nie mogę zrobić nic innego, jak odczekać jakiś czas, tak jak mówiła. Ale z nastaniem nocy budziła się moja wyobraźnia. Jak chory na

febrę, bezwolnie poddawałem się opanowującym mnie majakom. Lekceważąc wszystkie decyzje powzięte wcześniej, o późnej godzinie opuszczałem pensjonat i krążyłem między jej pracą a domem. Wstydziłem się już wypytywać szwajcara i ograniczałem się do obserwowania drzwi z daleka. W taki sposób upłynęło pięć dni. Każdej nocy widywałem ją w snach, wyraźniej niż kiedykolwiek wcześniej.

Piątego dnia, gdy stało się jasne, że i tym razem się nie pojawi, z innego lokalu zadzwoniłem do „Atlantiku” i spytałem o Marię Puder. Powiedziano mi, że od kilku dni z powodu choroby nie przychodzi do pracy. Czyli rzeczywiście była chora. Jak mogłem w to wątpić? Dlaczego, żeby uwierzyć w jej chorobę, potrzebowałem aż tak twardego dowodu? To przecież zupełnie nie w jej stylu, zmieniać godziny pracy czy prosić odźwiernego, by mnie zwodził! Skierowałem się w stronę jej mieszkania, zdecydowany w razie potrzeby nawet wyrwać ją ze snu. Charakter naszej znajomości mimo wszystko dawał mi do tego prawo. Nie należało przypisywać aż takiego znaczenia jednej scenie w poranek po całonocnym pijaństwie.

Ciężko dysząc, wszedłem po schodach na jej piętro. By nie zostawić sobie czasu do namysłu i wątpliwości, pośpiesznie wyciągnąłem rękę do dzwonka. Nacisnąłem raz i czekałem. Cisza. Próbowałem dzwonić jeszcze kilka razy, dłużej, nie rozległy się jednak oczekiwane przeze mnie odgłosy kroków. Uchyliły się za to drzwi naprzeciwko i pojawiła się w nich służąca.

– Kogo pan szuka? – spytała zasnętym głosem.

– Lokatorki tego mieszkania!

– Nikogo pan tam nie znajdzie! – odpowiedziała nieżyczliwie, z uwagą lustrując moją twarz.

Serce podskoczyło mi do gardła.

– Wyprowadziły się?!

Mój niepokój i wzburzenie najwidoczniej trochę ją zmiękczyły.

– Nie, matka jeszcze nie wróciła z Pragi, a córka zachorowała. Nie miał się nią kto zająć, lekarz z kasy chorych kazał więc położyć ją do szpitala! – odpowiedziała, kiwając głową.

Rzuciłem się w jej stronę.

– Co jej jest?! Coś poważnego?! Do którego szpitala?! Kiedy?!

Zdziwiona cofnęła się o krok pod tym gradem pytań.

– Niech pan tak nie wrzeszczy, postawi pan na nogi całą kamienicę...

Zabrali ją dwa dni temu, zdaje się, że do Charité.

– Co jej jest?

– Tego to już nie wiem!

Nawet nie podziękowałem dziewczynie, która w osłupieniu patrzyła za mną, jak zbiegam po schodach, przeskakując po cztery stopnie naraz. Od pierwszego napotkanego policjanta dowiedziałem się, jak trafić do tego szpitala. Poszedłem tam, nie do końca zdając sobie sprawę po co. Widok ogromnego budynku z kamienia, o fasadzie ciągnącej się na kilkaset metrów sprawił, że wzdrygnąłem się na całym ciele. Nie zważając na to, bez wahania podszedłem do wielkich drzwi i wywołałem stróża.

Okazał mi chyba trochę więcej grzeczności, niż na to zasługiwałem, wyciągając go w środku nocy na taki mróz; nie był jednak w stanie udzielić mi żadnych informacji. Nie wiedział nic ani o takiej kobiecie, ani o jej chorobie, ani o tym, gdzie ją położono. Na każde pytanie odpowiadał mi, siląc się na uśmiech mimo wyraźnego znudzenia: „Niech pan przyjdzie jutro po dziewiątej, wszystkiego się pan dowie!”.

Aż do rana krążyłem w pobliżu wysokich murów szpitala, cały czas o niej myśląc. Tej nocy ostatecznie zrozumiałem, jak bardzo kocham Marię Puder i jak szaleńczo jestem do niej przywiązany. Wpatrywałem się w niezliczone okna gmachu, z których na zewnątrz padało przytłumione, żółte światło, i usiłowałem odgadnąć, za którym z nich leży ona. Odczuwałem przy tym nieodparte pragnienie, aby być tam teraz obok niej, ocierać pot z jej czoła i opiekować się nią.

Zrozumiałem wtedy również, że więzy łączące nas z drugim człowiekiem często mogą się okazać silniejsze od tych, którymi jesteśmy związani z naszym własnym życiem. Po raz kolejny pojawiła się myśl, że gdybym ją stracił, przez resztę życia mógłbym już tylko toczyć się jak pusta skorupa

orzecha.

Wiatr przerzucał śnieg z miejsca na miejsce, nawiewając mi go trochę do oczu. Ulice były puste. Jedyne co jakiś czas przez bramę na teren szpitala wjeżdżała karetka, a po chwili znów wyjeżdżała na zewnątrz. Policjant patrolujący okolicę spojrzął na mnie surowo, gdy minął mnie po raz drugi. Za trzecim razem zatrzymał się i spytał, czego tutaj szukam o tej porze. Gdy wyjaśniłem, że w szpitalu leży bliska mi osoba, zasugerował, bym poszedł do domu odpocząć i wrócił tutaj jutro rano. Przy każdej kolejnej rundzie przechodził obok mnie z milczeniem pełnym współczucia.

Gdy zaczęło się robić jasno, ulice powoli się ożywiły. Przyjeżdżało coraz więcej karetek, kursujących to w jednym, to w drugim kierunku. Punktualnie o dziewiątej, mimo że nie był to dzień odwiedzin, lekarz dyżurny pozwolił mi na widzenie z chorą. Niewykluczone, że potraktował mnie wyjątkowo ze względu na mój godny politowania wygląd.

Maria leżała w jednoosobowej sali. Pielęgniarka, prowadząc mnie do niej, uprzedziła, bym nie zostawał za długo, bo nie powinna się przemęczać. Zdiagnozowano u niej zapalenie opłucnej. Według lekarza nie było to jednak nic poważnego. Kiedy wchodziłem do jej pokoju, Maria odwróciła się w stronę drzwi, a zobaczywszy, że to ja, w jednej chwili się uśmiechnęła. Niepokój szybko jednak wyparł radość z jej twarzy. Gdy tylko siostra zostawiła nas samych, od razu spytała:

– Co z tobą, Raifie?

Jej głos był taki jak zawsze, jedynie bladość jej twarzy przybrała nieco żółtawy odcień. Podeszedłem bliżej.

– Ze mną? Co z tobą?!

– To nic takiego... Szybko minie... Ale ty za to wyglądasz na wycieńczonego!

– Powiedzieli mi w „Atlantiku”, że jesteś chora. Poszedłem do twojego mieszkania, służąca sąsiadów powiedziała mi, że trafiłaś tutaj. W nocy nie chcieli mnie wpuścić do środka, musiałem więc czekać do rana...

– Gdzie?

– Tutaj... Pod szpitalem...

Obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem. Była bardzo poważna. Zdawało się, że chce coś powiedzieć, ale powstrzymała się od tego.

Pielęgniarka wymownie uchyliła drzwi. Pożegnałem się. Kiwnęła głową, ale już się nie uśmiechnęła.

Maria Puder spędziła w szpitalu dwadzieścia pięć dni. Może zatrzymaliby ją dłużej, ale powiedziała lekarzom, że nie może już tam wytrzymać, i obiecała, że w domu będzie o siebie dbać. W śnieżny dzień, z mnóstwem porad i plikiem recept w kieszeni została wypisana i nareszcie wróciła do siebie. Nie pamiętam dokładnie, co się ze mną działo przez te dwadzieścia pięć dni. Poza odwiedzinami w szpitalu, kiedy siedziałem przy niej, obserwując jej zlaną potem twarz, uciekające na boki oczy i z wielkim trudem oddychającą pierś, nie robiłem chyba niczego innego. Zdaje się, że nawet nie żyłem, bo gdybym prowadził wówczas jakieś życie, dziś mógłbym pewnie przywołać choćby strzępy wspomnień z tamtych dni. Czuwałem przy niej i bałem się, straszliwie bałem się, że ją stracę. Jej palce, które wystawały za brzeg łóżka, i wybrzuszone doł kołdry stopy, już teraz wyglądały jak u nieboszczyka. Nawet jej twarz, usta i uśmiech jakby tylko czekały stosownej chwili, by móc ostatecznie poddać się tej przerażającej metamorfozie z życia do śmierci... Co bym wtedy zrobił? Pewnie, zachowując spokój, zająłbym się organizacją jej pogrzebu, wybrał miejsce pochówku i starał się pocieszyć jej matkę, która zdążyłaby do tego czasu wrócić z Pragi. A na koniec, w towarzystwie kilku osób, oddałbym jej ciało ziemi. Po ceremonii opuściłbym cmentarz wraz ze wszystkimi, by po jakimś czasie, po kryjomu, wrócić na jej grób i zostać z nią sam na sam. I to właśnie wtedy wszystko by się dopiero zaczęło. Dopiero wtedy utraciłbym ją naprawdę. A co bym zrobił potem? Do tej pory nie miałem problemu, by obmyślić wszystko aż do ostatnich szczegółów. Za nic nie byłem jednak w stanie wyobrazić sobie dalszego ciągu. Bo i co mógłbym robić dalej, gdy po oficjalnym pożegnaniu wróciłbym, już samotnie, na jej grób? Wszystkie więzi łączące ją ze światem zostałyby

całkowicie przerwane. To, że ja nadal chodziłbym po ziemi, wydawało mi się czymś niesłychanie śmiesznym i niczym nieusprawiedliwionym... Ogarnęła mnie przerażająca pustka.

– Porozmawiaj z lekarzami, niech mnie już wypiszą! – powiedziała Maria pewnego dnia, gdy zaczęła już powoli wracać do zdrowia. Po czym dodała cicho, jakby mówiła o czymś najbardziej oczywistym pod słońcem: – Ty zaopiekujesz się mną lepiej!

Bez słowa wypadłem na korytarz. Ordynator nalegał, żeby została jeszcze przez kilka dni w szpitalu. Zgodziliśmy się na to. W końcu, dwudziestego piątego dnia, opatuliłem ją w futro, ująłem pod ramię i pomogłem zejść po schodach. Odwiozłem ją taksówką do domu, kierowca pomógł mi wprowadzić ją na górę. Gdy rozebrałem ją i położyłem do łóżka, była zupełnie wyczerpana.

Od tego dnia rzeczywiście doglądałem jej już tylko ja. Codziennie przed południem przychodziła staruszka, która sprzątała mieszkanie, rozpaliała w dużym kaflowym piecu i przygotowywała posiłek dla chorej. Mimo moich nalegań Maria nie zgodziła się sprowadzić matki. Drżącą ręką pisała w listach: „U mnie wszystko w porządku, spokojnie przezimuj w Pradze i nie martw się o nic”.

– Nawet jak przyjedzie, to i tak w niczym mi to nie pomoże, sama przecież potrzebuje opieki... Tylko niepotrzebnie będzie się zamartwiać, aż w końcu zadręczy także mnie! – Po czym dodała tym samym beztroskim tonem: – Przecież ty się mną zajmujesz! A może już cię to zmęczyło i znudziło?

Powiedziała to z poważną twarzą, nie żartowała. Prawdę mówiąc, od czasu swojej choroby nie uśmiechała się prawie wcale. Od mojej pierwszej wizyty w szpitalu, kiedy to uśmiechnęła się do mnie po raz ostatni, zachowywała niewzruszoną powagę. Gdy o coś prosiła, dziękowała albo mówiła o czymkolwiek, zawsze była poważna i zamyślona. Przychodziłem do niej codziennie skoro świt i zostawałem aż do późnej nocy. Potem przestawiłem do jej sypialni sofę z drugiego pokoju, przyniosłem pościel jej

matki i zamieszkałem u niej. Ani jednym słowem nie nawiązywaliśmy do naszej noworocznej kłótni (czy raczej rozmowy, słowo „kłótnia” nie jest tu chyba na miejscu). Wszystko – moje wizyty w szpitalu, przewiezienie jej do domu, przeprowadzka tutaj – było tak naturalne i rozumiało się samo przez się, że nie mieliśmy potrzeby o tym rozmawiać. Oboje uciekaliśmy od najmniejszej choćby wzmianki na te tematy. Ale było widać, że o czymś rozmyśla. Czułem, że wciąż mi się przypatruje, kiedy krzątałem się po pokoju albo czytałem jej na głos, jakby czegoś we mnie szukała. Pewnego wieczoru przy świetle lampki nocnej czytałem jej nowelę Jakoba Wassermanna *Usta nigdy niecałowane*. Opowiadała ona o starym nauczycielu, który, nigdy przez nikogo niekochany, całe życie czekał na miłość, nie przyznając się do tego sam przed sobą. Autor po mistrzowsku opisał duchową samotność nieszczęsnego człowieka i nadzieje, jakie żywił on w głębi serca, a które niedostrzeżone przez nikogo szybko umierały. Gdy lektura dobiegła końca, Maria zamknęła oczy i zamilkła na dłuższą chwilę. Potem odwróciła się do mnie i odezwała beznamiętnym głosem:

– Nie mówiłeś jeszcze, co robiłeś zaraz po Nowym Roku, przez te dni, kiedy się nie widzieliśmy.

– Nic nie robiłem...

– Naprawdę?

– Nie wiem...

Znowu zapadła cisza. Po raz pierwszy dotknęła tego tematu. Nie zdziwiło mnie to jednak. Mało tego, uświadomiłem sobie, że od dłuższego czasu czekałem na to pytanie. Ale zamiast odpowiedzieć, podałem jej kolację. Potem porządnie ją przykryłem i wróciłem na swoje miejsce przy wezłowiui łóżka.

– Poczytać ci coś?

– Jak chcesz...

Weszło mi w zwyczaj, że zawsze po jedzeniu czytałem jej do snu jak najnudniejsze rzeczy. Przez chwilę się wahałem.

– Jeśli chcesz, opowiem ci, co robiłem przez te pięć dni po Nowym Roku,

uśniesz jeszcze szybciej niż zwykle! – zażartowałem.

Nie roześmiała się i nie odpowiedziała na to ani słowem. Pokiwała tylko głową, jakby zgadzając się tym gestem na moją propozycję. Zacząłem mówić. Powoli, co jakiś czas robiąc przerwę dla zebrania myśli, opowiadałem o tym, dokąd poszedłem po wyjściu z mieszkania; o tym, co widziałem i o czym myślałem nad jeziorem Wannsee; jak nocami czatowałem na trasie między „Atlantikiem” a jej domem; i w końcu o tym, jak ostatniego wieczoru, dowiedziawszy się, że jest w szpitalu, natychmiast pobiegłem tam i czekałem pod nim aż do rana. Głos miałem niesamowicie spokojny. Mówiłem obojętnie, niemal tak, jakbym opowiadał o kimś obcym. Dłużej zatrzymywałem się na szczegółach, po kolei przypominałem sobie wszystko, co się wówczas we mnie działo, i obnażałem to przed nią, poddając analizie. Nie poruszyła się ani razu podczas mojej opowieści. Zamknęła oczy. Leżała nieruchomo, można było pomyśleć, że śpi. Mimo to nie przerywałem. Wszystko to bardziej niż jej opowiadałem tak naprawdę sobie, dla odświeżenia pamięci. Starałem się wiernie przedstawić swoje uczucia, których istoty sam jeszcze nie rozumiałem. Sprzeczałem się z nimi i nie dochodząc do żadnej konkluzji, przeskakiwałem na inny temat. Dopiero gdy w swojej opowieści doszedłem do tego, jak chciałem pożegnać się z nią przez telefon, otworzyła oczy. Uważnie spojrzała mi w twarz i od razu je zamknęła. Nie drgnął przy tym ani jeden mięsień na jej twarzy.

Niczego nie ukrywałem – nie widziałem takiej potrzeby, nie miałem bowiem żadnego celu, który chciałbym osiągnąć. Zdawało mi się, że wszystko to, co przeżyłem, należy już do odległej przeszłości. Między mną a tymi wspomnieniami pojawił się dystans. Dlatego też w moich sądach, zarówno o sobie, jak i o niej, byłem niemal bezwzględny, daleki od jakichkolwiek sekretnych planów czy kalkulacji. Nie przychodziło mi do głowy żadne z tych wymownych zdań, które same cisnęły mi się na język wtedy, gdy po nocach wyczekiwałem jej na ulicach. Prawdę mówiąc, nawet ich nie szukałem. Chodziło mi o to, żeby się po prostu wygadać. Wydarzenia wartościowałem nie z punktu widzenia ich powiązań ze mną,

ale przez pryzmat ich własnej rangi. Maria, mimo że nie dała tego po sobie poznać, słuchała mnie, nateżając całą uwagę.

Czułem to bardzo wyraźnie. Kiedy opowiadałem jej, o czym myślałem, czuwając przy niej w szpitalu, jak wyobrażałem ją sobie wtedy martwą, kilka razy zamrugła... To wszystko...

Zamilkłem, gdy moja opowieść dobiegła końca. Ona również milczała. Trwało to może z dziesięć minut. W końcu spojrzała na mnie i po raz pierwszy od dłuższego czasu ledwie dostrzegalnie się uśmiechnęła (albo to mi się tak tylko zdawało).

– Chyba pora już spać? – powiedziała bardzo spokojnym głosem.

Przygotowałem sobie posłanie, rozebrałem się i zgasilem światło. Do późna nie mogłem zasnąć. Jako że nie było słyhać jej oddechu, zorientowałem się, że i ona nie śpi. Oczy zamykały mi się coraz bardziej, a mimo to czekałem na ten łagodny i równomierny szelest, którego przywykłem słuchać każdego wieczoru przed snem. Ciągle wierciłem się na swoim miejscu, powstrzymując senność. Usnąłem jednak jako pierwszy.

Obudziłem się wczesnym rankiem. Było jeszcze ciemno. Skąpe światło sączyło się do pokoju spomiędzy zasłon. I tym razem nie usłyszałem jej oddechu. W pokoju panowała grobowa cisza. Oboje zdawaliśmy się czekać na coś w olbrzymim napięciu. Nagromadziło się w nas wiele rzeczy, odczuwałem to niemal namacalnie. Jednocześnie zastanawiałem się: „Ciekawe, kiedy się obudziła? A może nie spała w ogóle?”. Leżeliśmy nieruchomo, lecz w pokoju dało się niemal wyczuć wibrację krążących dookoła nas myśli.

Powoli podniosłem głowę. Moje oczy przyzwyczajone do półmroku szybko dostrzegły Marię. Przyglądała mi się, oparta o poduszkę.

– Dzień dobry! – przywitałem się i wyszedłem do łazienki przemyć twarz.

Gdy wróciłem, chora nadal znajdowała się w tej samej pozycji. Odśloniłem okno. Schowałem nocną lampkę. Zwinąłem swoje posłanie. Otworzyłem drzwi służącej i podałem Marii mleko.

Wszystko to robiłem niemal bez słowa. Każdy dzień wyglądał prawie dokładnie tak samo: wstawiałem, załatwiałem drobne sprawy w domu, a potem chodziłem do fabryki na przedpołudniową zmianę. Po powrocie czytałem Marii gazety lub książki i opowiadałem o tym, co widziałem i słyszałem na zewnątrz. I tak zastawał nas wieczór. Czy powinno to wyglądać właśnie w ten sposób? Nie wiedziałem. Wszystko ułożyło się samoistnie, ja jedynie się podporządkowałem. Nie było we mnie żadnych pragnień. Nie myślałem o przeszłości ani o przyszłości, zdawałem sobie sprawę tylko z bieżących wydarzeń. Moje serce było spokojne jak tafla morza w bezwietrzną pogodę.

Ogoliłem się, ubrałem i poszedłem pożegnać się z Marią.

– Dokąd idziesz? – spytała.

Zdziwiło mnie to.

– Czemu pytasz? Do fabryki, jak zawsze...

– A możesz dzisiaj zostać w domu?

– Mogę, ale dlaczego?

– Sama nie wiem... Chcę cię mieć dzisiaj cały dzień przy sobie!

Uznałem to za kaprys choroby, ale nic nie powiedziałem i zacząłem przeglądać poranną prasę, którą służąca jak zawsze zostawiła przy łóżku.

W zachowaniu Marii był dziwna gorączkowość, wręcz niepokój. Odłożyłem gazety i usiadłem obok niej.

– Jak się dzisiaj czujesz? – spytałem, kładąc jej dłoń na czole.

– Dobrze... Bardzo dobrze...

Nie poruszyła się, ale zrozumiałem, że nie chce, żebym cofnął rękę. Czułem, że moje palce kleją się do jej policzków i czoła, jakby całą siłę woli skupiła na tym, aby je tam zatrzymać.

– Bardzo dobrze? To dlaczego dzisiaj w nocy nie zmrużyłaś oka? – Starłem się, aby mój głos brzmiał jak najbardziej beztrzesko.

Zmieszała się na chwilę. Jej twarz oblała się rumieńcem. Było widać, że nie w smak jej odpowiadać na to pytanie. Nagle zamknęła oczy i jakby w przypływie bezsilności, odwróciła się i wyszeptała ledwie słyszalnym

głosem:

– Ach, Raif!

– O co chodzi?

Zebrała siły. Oddychała bardzo szybko.

– O nic! Nie chcę, żebyś mnie dzisiaj opuszczał... Wiesz czemu? Boję się, że wszystko, co mi wczoraj powiedziałeś, nie da mi spokoju ani przez chwilę i zaczniesz mnie prześladować, jak tylko wyjdiesz...

– Gdybym wiedział, że tak będzie, niczego bym nie powiedział!

Odpowiedziała, kiwając głową:

– Nie, nie to chciałam powiedzieć... Nie mówię o sobie... Nie mogę ci już ufać! Boję się zostawić cię samego... Masz rację, dzisiaj nie spałam prawie wcale. Ciągle o tobie myślałam. Wyobrażałam sobie wszystko, co robiłeś po naszym rozstaniu, to, jak czekałeś pod szpitalem, ze wszystkimi szczegółami, nawet z tymi, które pominąłeś... Dlatego nie mogę już zostawić cię samego! Boję się... Nie tylko dzisiaj... Już nigdy nie pozwolę ci odejść!

Na jej czole pojawiły się kropelki potu. Otarłem je z wolna. Poczułem przy tym na dłoni ciepłą wilgoć. Zdziwiony spojrzałem jej w twarz. Uśmiechała się, po raz pierwszy od dawna uśmiechała się wyraźnie i serdecznie. Jednocześnie na policzki spływały jej z oczu strużki łez. Przytuliłem ją. Uśmiechnęła się teraz jeszcze swobodniej, a łzy popłynęły obficie, jakby proporcjonalnie do tego uśmiechu. Nie wydała z siebie najmniejszego dźwięku, pierś nie drgnęła jej nawet od szlochu. Nie sądziłem, że możliwy jest płacz w tak wielkim spokoju i ciszy. Wziąłem do ręki jej dłoń, spoczywającą na białej pościeli niczym mały, biały ptak, i zacząłem się nimi bawić. Zginałem i rozkładałem jej palce, zaciskałem je w piąstki i mocno ścisakałem w swojej dłoni. Na wewnętrznej stronie jej dłoni zauważyłem linie, cieniutkie jak żyłki na liściu.

Delikatnie ułożyłem jej głowę z powrotem na poduszce.

– Zmęczysz się! – powiedziałem.

Jej oczy lśniły.

– Nie, nie! – zaprotestowała, obejmując mnie za szyję. Po czym zaczęła, jakby do siebie: – Już wiem, czego między nami brakowało! Ten brak tkwił nie w tobie, ale we mnie... Brakowało mi wiary... Myślałam, że cię nie kocham, bo nie mogłam uwierzyć, że ty tak bardzo kochasz mnie... Teraz to rozumiem. Okazuje się, że ludzie odebrali mi zdolność do ufania innym... Ale teraz już wierzę... To ty mnie przekonałeś... Kocham cię... Nie jak szalona, kocham cię zupełnie świadoma tej miłości... Bądź przy mnie... Tak bardzo bym chciała... Żebym tylko wyzdrowiała! Kiedy będę już zdrowa?

Nic na to nie odpowiedziałem. Osuszyłem jej łzy, ocierając twarzą o jej oczy.

Odtąd nie odstępowałem jej już ani na krok do czasu, aż poczuła się lepiej i stanęła na nogi. Gdy musiałem zostawić ją samą na godzinę czy dwie, żeby kupić coś do jedzenia albo wstąpić do pensjonatu po świeżą bieliznę, czas ten wydłużał nam się niemiłosiernie. Kiedy pomagałem Marii usiąść na sofie czy narzucałem jej na plecy sweter, wypełniała mnie niewyobrażalna radość, że mogę całkowicie poświęcić się drugiemu człowiekowi. Całymi godzinami siedzieliśmy przed oknem, obserwując, co się dzieje na zewnątrz. O niczym już nie rozmawialiśmy, co jakiś czas tylko patrzyliśmy na siebie, wymieniając się uśmiechem. Jej choroba i moje szczęście sprawiły, że byliśmy jak dzieci. Po kilku tygodniach nabrała sił. Przy ładnej pogodzie mogliśmy pozwolić już sobie na półgodzinne spacerunki.

Przedtem oczywiście starannie przygotowywałem ją do wyjścia. Wkładałem jej nawet pończochy, bo dostawała napadu kaszlu, jak tylko się schylała. Następnie otulałem ją w futro i pomału sprowadzałem po schodach... Odpoczywaliśmy chwilę na najbliższej ławce i szliśmy dalej, nad jeden ze stawów w Tiergarten, gdzie przyglądaliśmy się porośniętej mchami wodzie i pływającym po niej łabędziom.

I naraz wszystko się skończyło... Skończyło się tak banalnie i definitywnie, że nie od razu zdałem sobie sprawę z powagi sytuacji... Poczułem tylko zdziwienie i smutek, nie mogłem jednak przypuszczać, że

wydarzenie to odegra tak wielką i decydującą rolę w moim życiu.

W ostatnich dniach coraz rzadziej zaglądałem do pensjonatu. Mimo że miałem opłacony pokój z góry, Frau Heppner zachowywała się wobec mnie bardziej ozięble niż zazwyczaj. Pewnego dnia w końcu zwróciła się do mnie otwarcie:

– Niechże pan powie, jeśli przeniósł się pan gdzie indziej, damy znać na policję. Jeszcze będziemy mieli problemy przez pański meldunek!

Chcąc obrócić sprawę w żart, rzuciłem jej tylko: „Czy można sobie wyobrazić, abym mógł państwa porzucić?”, i szybko poszedłem do swojego pokoju. Ten pokój, w którym mieszkałem przez ponad rok, wszystkie rzeczy, których większość przywiozłem jeszcze z Turcji, i porozrzucane w nieładzie książki – wszystko to wydało mi się wtedy zupełnie obce. Wyciągnąłem z walizek potrzebne mi drobiazgi i spakowałem je w gazetę. Gdy miałem wychodzić, pojawiła się pokojówka.

– Jest telegram do pana, czeka już od trzech dni! – powiedziała, podając mi złożoną kartkę.

Najpierw nie zrozumiałem, o co chodzi, i nie mogłem się zdobyć, by odebrać depezę z jej rąk. Nie, ten kawałek papieru nie mógł mieć ze mną żadnego związku... Łudziłem się, że ignorując go, zdołam oddalić wiszącą nade mną katastrofę.

Pokojówka spojrzała na mnie ze zdziwieniem i zobaczywszy, że nie mam zamiaru ruszyć się z miejsca, położyła go na stole i wyszła. Rzuciłem się do stołu. „Co ma być, niech się stanie od razu”, pomyślałem i pośpiesznie rozłożyłem telegram.

Był od mojego szwagra. „Ojciec umarł. Wysłałem pieniądze. Wracaj natychmiast!”. I to wszystko. Kilka prostych, niepozostawiających miejsca dla wątpliwości słów... Mimo to wpatrywałem się w nie przez dłuższy czas. Po kilka razy oddzielnie odczytywałem każde słowo. Wziąłem pod ramię przygotowany wcześniej pakunek i wyszedłem na zewnątrz.

Czy mogło się stać coś takiego? Wokół mnie nic się przecież nie zmieniło. Wszystko było takie jak pół godziny temu, gdy tutaj szedłem. Nie było

żadnej przemiany ani we mnie, ani w moich myślach. Maria pewnie wypatrywała mnie już z okna. Mimo to nie byłem już tym samym człowiekiem co wcześniej. Tysiące kilometrów stąd zmarł człowiek. Upłynęło już wiele dni, może nawet tygodni, a my niczego nie wyczuliśmy. Dni mijały nam tak jak zawsze. A tu nagle świstek papieru wywraca wszystko do góry nogami, odrywa mnie od tego świata i każe mi wracać, brutalnie przypominając, że moje miejsce jest tam, w tych odległych stronach, z których nadszedł ten telegram.

Pojąłem teraz, jakim błędem było uważać za autentyczne to życie, w którego wirze znajdowałem się tutaj od kilku miesięcy, i wiązać jeszcze jakieś nadzieje z jego dalszym ciągiem. A z drugiej strony wciąż nie chciałem dopuścić do siebie prawdy. To nie tak miało być. Czy to takie istotne, gdzie człowiek się urodził i czym jest dzieckiem? Najważniejsze jest to, aby dwoje ludzi odnalazło siebie nawzajem, szczególnie na tym świecie, na którym takie szczęście przydarza się bardzo rzadko. Wszystko inne to szczegóły bez znaczenia, które powinny ułożyć się same z siebie i naturalnie podporządkować się tej najistotniejszej kwestii.

Doskonale zdawałem sobie sprawę i z tego, że jest to niemożliwe. Oto właśnie przekonywałem się, że nasze prawdziwe życie składa się jednak z takich oto banalnych szczegółów, że jest jedynie zabawką w ich ręku. Nasza logika nigdy nie będzie zgodna z logiką życia. Kobieta wygląda przez okno pociągu, do oka wpada jej kawałek węgla. Pociera oczy, nie nadając temu większego znaczenia. A ten epizod może przecież oślepić najpiękniejszą parę oczu na świecie! Podobnie dachówka, uniesiona przez lekki poryw wiatru łatwo może roztrzaskać głowę człowieka wzbudzającego podziw całego świata. Tak jak nawet nie pomyślimy o tym, by rozważać, czy pyłek węgla ważniejszy jest od oka, a dachówka od głowy, i jak jesteśmy zmuszeni przyjąć to wszystko bez słowa sprzeciwu, z taką samą pokorą musimy zgodzić się i na wszystkie pozostałe kaprysy życia.

Czy rzeczywiście tak jest? To prawda, zdarzają się rzeczy, którym nie można zapobiec i których przyczyn i sensu nie jesteśmy w stanie ogarnąć

umysłem. Lecz są i takie, których spokojnie można by uniknąć. Co takiego łączyło mnie na przykład z Havranem? Kilka gajów oliwnych, mydlarni i grono krewnych, z którymi kontaktów nigdy nie byłem ciekawy... A tutaj miałem wszystko, co stanowiło o sensie mego życia. Dlaczego więc nie mogłem zostać? Proza życia: nasze interesy w Havranie podupadną, szwagrowie nie wyślą mi pieniędzy, a ja, niezdolny do jakiegokolwiek pracy, zostanę na lodzie. Poza tym całe mnóstwo innych spraw: paszporty, ambasady, pozwolenia na pobyt... Na co to wszystko jest nam potrzebne? Nie wiadomo. Wszystko to było istotne i dla mnie, tak bardzo, że mogło nawet nadać kierunek mojemu życiu.

Powiadomiłem Marię. W pierwszej chwili zamilkła i dziwnie się uśmiechnęła, jakby chciała powiedzieć: „Tak jak myślałam...”, i wbiła wzrok w ziemię. Nie chciałem okazać się śmieszny i nie zdradziłem jej swoich myśli. Wiele kosztowało mnie, by zachować zimną krew. Jedynie kilka razy wyrwało mi się:

– Co robić? Co robić?

– Jak to co? Musisz jechać... Ja też wyjadę na jakiś czas. I tak jeszcze długo nie będę mogła wrócić do pracy. Pojadę do matki, pod Pragę. Pobyt na wsi wyjdzie mi tylko na dobre. Zostanę tam całą wiosną.

Wydało mi się trochę dziwne, że tak łatwo przeszła nad tym do porządku i od razu zaczęła snuć własne plany. Z rzadka rzucała mi ukradkowe spojrzenia.

– Kiedy wyjeżdżasz? – spytała.

– Jeszcze nie wiem... Powinienem chyba jak najszybciej, gdy tylko odbiorę pieniądze...

– To może ja pojadę jeszcze wcześniej...

– Co?!

Rozbawiło ją moje zdziwienie.

– Ależ z ciebie dzieciak, Raifie! To dziecinada, zachowywać się tak wobec nieuniknionego. Mamy jeszcze zresztą trochę czasu, pomyślimy spokojnie o wszystkim i coś postanowimy...

Znów wyszedłem, tym razem, aby pozamykać swoje drobne sprawy i wymeldować się z pensjonatu. Ku mojemu zdziwieniu, po powrocie zastałem Marię spakowaną i gotową do drogi.

– Nie ma co tracić czasu na darmo. Będzie lepiej, jak wyjadę od razu, spokojnie przygotujesz się do podróży. A poza tym... Sama nie wiem... Po prostu chcę wyjechać z Berlina przed tobą... Nie umiem tego wytłumaczyć...

– Skoro tak chcesz...

O niczym więcej nie rozmawialiśmy. Nawet słowem nie wróciliśmy do tego, co mieliśmy jeszcze przedyskutować...

Wyjechała następnego dnia wieczornym pociągiem. Popołudnie spędziliśmy w domu. Jak zwykle siedzieliśmy przed oknem i patrzyliśmy na zewnątrz. Zapisaliśmy sobie swoje adresy. Umówiliśmy się, że do każdego listu będę dołączał zaadresowaną kopertę, aby mieć pewność, że jej odpowiedź do mnie dotrze: ona nie byłaby w stanie poprawnie napisać arabskich liter, a nasza poczta w Havranie najprawdopodobniej też nie poradziłaby sobie z odcyfrowaniem alfabetu łacińskiego^[4].

Przez niemal godzinę rozmawialiśmy o mało istotnych sprawach, że w tym roku zima wyjątkowo się przedłuża, że mamy już koniec lutego, a jeszcze nie stopniał śnieg. Było jasne, że jak najszybciej chciałyby się znaleźć w pociągu. Natomiast ja, jakkolwiek bardzo niedorzeczne by to było, życzyłem sobie, aby ten czas, kiedy jeszcze mogliśmy być razem, zatrzymał się i nie upłynął nigdy.

Mimo to w naszej rozmowie nie mogliśmy wyjść poza te nieprawdopodobnie puste tematy. Co jakiś czas spoglądaliśmy na siebie, z zakłopotaniem się uśmiechając. Gdy nadszedł czas wyjścia na dworzec, oboje niemal odetchnęliśmy z ulgą. Czas płynął odtąd zatrważająco szybko. Gdy już розміściłem jej rzeczy w przedziale, uparła się, żeby wyjść jeszcze ze mną na peron. Dwadzieścia minut, które upłynęły nam na wymianie niczego niewyrażających uśmiechów, wydały mi się zaledwie sekundą. Przez głowę przelatywały mi tysiące myśli. Wolałem jednak zachować je

dla siebie, niż wypowiedzieć je, upychając w tak krótkim czasie. Ale od wczoraj można było powiedzieć sobie bardzo wiele... Dlaczego rozstawaliśmy się w ten sposób?

Zauważyłem, że przez ostatnie kilka minut Maria była lekko podenerwowana. Ucieszyło mnie to: przykro byłoby zobaczyć, jak odjeżdża bez żadnych emocji. Nieustannie chwyciła i puszczała moją dłoń.

– Czy to nie dziwne? Ty naprawdę wyjeżdżasz?

– Przecież to ty wyjeżdżasz, ja tutaj jeszcze zostaję!

Nie zwróciła uwagi na moje słowa. Złapała mnie za ramię.

– Raif... Teraz wyjeżdżam...

– Tak... Wiem!

Wybiła godzina odjazdu. Konduktor zaczął zamykać drzwi wagonów. Maria wskoczyła na stopień pociągu, a następnie nachylając się do mnie, powiedziała cicho, ale powoli i wyraźnie:

– Teraz wyjeżdżam. Ale kiedy tylko mnie wezwiesz, przyjadę... – powiedziała.

Nie od razu zrozumiałem, o co jej chodzi. Umilkła na chwilę, po czym dodała:

– Dokąd tylko mnie wezwiesz, przyjadę!

Tym razem zrozumiałem. Rzuciłem się do niej, by pocałować ją w rękę. Maria weszła do środka, pociąg cicho ruszył z miejsca. Przez chwilę biegłem przy jej oknie, potem zwolniłem i machając do niej ręką, krzyknąłem:

– Wezwę... Wezwę na pewno!

Z uśmiechem pokiwała głową. Jej twarz i spojrzenie wyraźnie mówiły o tym, że wierzy w moje słowa.

Żał mi było naszej niedokończonej rozmowy. Dlaczego od wczoraj nie zdołaliśmy do niej wrócić? Rozmawialiśmy o wszystkim: jak ułożyć walizkę, o przyjemnościach podróży i o tegorocznej zimie, a do tego, co dotyczyło nas istotnie, nie nawiązaliśmy nawet słowem! Ale może tak było lepiej? Co by dała długa rozmowa? Czy nie skończyłaby się tak samo?

Maria obrała najlepszą drogę... Bez wątpienia... Propozycja i zgoda... Krótko, bez sporów i kalkulacji! Nie mogło być piękniejszego pożegnania. Szkoda mi było tych niewypowiedzianych, ładnych słów, które skrywałem w swojej głowie. Miałem jednak świadomość, że wobec formy, jaką przyjęła Maria, były one wszystkie nieudolne i bezbarwne.

Rozumiałem już chyba, dlaczego zdecydowała się wyjechać przede mną. Przez pierwsze dni po moim wyjeździe Berlin musiałby się jej wydawać wprost nieznośny. Nawet ja, mimo że załatwiając wszystkie formalności związane z paszportem, biletami i wizą, nie miałem czasu choćby mrugnąć okiem, czułem się nieswojo, przechodząc przez ulice, po których kiedyś spacerowaliśmy we dwoje. Tymczasem nie mieliśmy wcale powodów do smutku. Wrócę do Turcji, uporządkuję tam swoje sprawy i natychmiast sprowadzę ją do siebie. To wszystko... Moja nadzwyczajna skłonność do fantazjowania dała znać o sobie i teraz. Wybrałem miejsce w okolicach Havranu, gdzie każę wybudować dla nas piękną willę, i wyobrażałem sobie, jak spacerujemy po tamtejszych wzgórzach i lasach.

Cztery dni później przez Polskę i Rumunię wróciłem do Turcji. Zarówno ta podróż, jak i lata, które nastąpiły po niej, nie wyróżniły się niczym, o czym warto by napisać... O tym, co wymusiło mój powrót do kraju, zacząłem myśleć, dopiero gdy znalazłem się na pokładzie statku w Konstancy. Mój ojciec nie żył. Zrobiło mi się wstyd, że dotarło to do mnie tak późno. Choć, prawdę mówiąc, nie było powodów, dla których miałbym kochać go prawdziwą miłością syna. Zawsze byliśmy sobie w jakiś sposób obcy. Jeśliby mnie ktoś spytał, czy mój ojciec był dobrym człowiekiem, nie potrafiłbym chyba znaleźć odpowiedzi. Nie znałem go na tyle, by móc wyrobić sobie zdanie na ten temat. Niemal nie istniał on dla mnie jako „człowiek”, w moich oczach był jedynie uosobieniem abstrakcyjnego pojęcia: „ojciec”. Ten łysy mężczyzna o okrągłej, popielatej brodzie, który wieczorami wracał do domu w ponurym nastroju, nie zaszczycając swej rodziny choćby słowem powitania, był w moim przekonaniu zupełnie kimś innym niż człowiek w rozchełstanej koszuli, którego widywałem

w kawiarni, jak śmiał się, popijał ayran i miotał przekleństwa przy partyjce tryktraka... Tak bardzo chciałem, żeby to ten drugi był moim ojcem... Ale nawet w takich chwilach, gdy tylko mnie zobaczył, jego twarz przybierała poważny wyraz.

– Czego się tutaj pałętasz? No, wypij sorbet i zmykaj do domu, tam się pobaw! – krzyczał.

Swojego zachowania wobec mnie nie zmienił, nawet gdy dorosłem, gdy wróciłem z wojska. Chociaż ja sądziłem, że coraz bardziej nabieram rozumu, on tym mniej się ze mną liczył. Lekceważąco odnosił się do moich pomysłów i poglądów. To, że w ostatnim czasie przyzwalał mi na wszystko, świadczyło wyłącznie o tym, że jego pogarda posunięta jest do tego stopnia, że nie chce się nawet zniżać do sporów ze mną.

Z drugiej strony nie pamiętałem też niczego, co mogłoby się położyć cieniem na jego pamięci. Teraz miałem odczuć nie jego nieobecność, ale całkowity brak. Zbliżając się do Havranu, popadałem w coraz większe przygnębienie. Trudno mi było wyobrazić sobie nasz dom i całe miasteczko bez niego.

Nie ma wszakże potrzeby rozpisywać się więcej na ten temat. Wolałbym pominąć milczeniem także kolejne dziesięć lat, ale dla całkowitej jasności, przynajmniej pokrótce, muszę opowiedzieć i o tamtych dniach, składających się na najbardziej absurdalny okres w moim życiu. W Havranie nie czekało mnie najcieplejsze powitanie. Szwagrowie cały czas sobie ze mnie kpili, starsze siostry były wobec mnie obojętne, a matka zahukana jeszcze bardziej niż kiedyś. Nasz dom stał pusty, mama przeniosła się do najstarszej siostry. Ponieważ wobec mnie nie wystosowano podobnej propozycji, wprowadziłem się do ogromnego domu i zacząłem gospodarzyć na własną rękę, biorąc do pomocy staruszkę, która pracowała dla naszej rodziny od wielu lat. Gdy w naturalny sposób chciałem przejąć interesy po ojcu, powiedziano mi, że cały majątek został podzielony jeszcze przed jego śmiercią. Nie mogłem jednak za żadną cenę dojść, jaka część przypadła mi w udziale. Nie było nawet mowy

o mydlarniach. Okazało się, że jakiś czas wcześniej ojciec sprzedał je jednemu z moich szwagrów. Przepadły gdzieś również uzyskane z tej transakcji pieniądze, po płynnej gotówce i złocie, o których po okolicy krążyły prawdziwe legendy, też nie było ani śladu. Matka była zupełnie nieorientowana w tych sprawach. Na moje pytania odpowiadała tylko: „Dziecko, skąd ja to mogę wiedzieć? Nieboszczyk nie powiedział w końcu, gdzie je zakopał. W ostatnich dniach twój szwagrowie nie odstępowali go ani na krok... Do samego końca nie wierzył, że umrze... Wygląda na to, że zabrał tajemnicę do grobu... Co teraz? Może poradzimy się wróżbitów... Oni wiedzą wszystko!”.

I rzeczywiście, po tej rozmowie matka obesła wszystkich jasnowidzów, jacy tylko byli w okolicach Havranu. Zgodnie z ich wskazówkami szukaliśmy w gajach oliwnych i w domu: nie zostało drzewa ni ściany, pod którymi byśmy nie kopali. Matka przeznaczyła na to wszystkie swoje oszczędności. Siostry co prawda towarzyszyły jej w tych pielgrzymkach do wrózek, nie kwapiły się jednak, aby uczestniczyć w kosztach. Nie umknęło mojej uwadze, że szwagrowie podśmiewają się z tych naszych niekończących się poszukiwań skarbu.

Ponieważ okres zbiorów już minął, nie mogłem liczyć na żadne pieniądze ze sprzedaży oliwek. Zdołałem uzyskać pewną kwotę pod zastaw przyszłorocznych plonów, byle tylko jakoś przetrwać to lato. Liczyłem na to, że jesienią, gdy zacznie się sezon, dzięki ciężkiej pracy uda mi się wyjść na prostą i jak najszybciej będę mógł ściągnąć do siebie Marię.

Po moim powrocie do Turcji regularnie do siebie pisaliśmy. Podczas wiosennych roztopów i w upalne letnie dni, wśród mnóstwa nedorzecznych spraw, które miałem na głowie, jedyną pociechą były dla mnie te chwile, gdy czytałem jej listy i odpisywałem na nie. Mniej więcej w miesiąc po moim wyjeździe wróciła z matką do Berlina. Pisałem do niej na poste restante, a ona odbierała listy z urzędu przy placu Poczdamskim. Pewnego razu w środku lata napisała coś dziwnego. Napomknęła, że ma dla mnie jakąś wspaniałą wiadomość, ale że będzie mogła przekazać mi ją

dopiero po swoim przyjeździe. (Pisałem jej wcześniej, że mam nadzieję sprowadzić ją tutaj na jesieni). Mimo że w każdym kolejnym liście dopytywałem się, co to za nowina, nie chciała zdradzić mi tej tajemnicy. Wciąż powtarzała tylko: „Cierpliwości, dowiesz się, gdy przyjadę!”.

Uzbroiłem się więc w cierpliwość i czekałem, nie tylko do jesieni, a przez całe dziesięć lat... I po tych dziesięciu latach dowiedziałem się w końcu, co to była za „wspaniała” wiadomość... Dowiedziałem się tego dopiero wczoraj wieczorem... Ale nie chcę wybiegać naprzód, po kolei.

Przez całe lato objeżdżałem konno należące do mnie oliwniki. Ze zdumieniem odkryłem, że ojciec zostawił mi, nie wiedzieć czemu, najbardziej niedostępne, nieurodzajne i zaniedbane gaje. Większość z nich, niepielegnowana od lat, zaczęła dziczeć – najwyraźniej już za czasów ojca nikt nie myślał fatygować się do nich w te górskie ostępy. Siostrą, a właściwie ich mężom, przypadły wszystkie najlepsze plantacje, położone na równinach, blisko wody i miasteczka, na których każde drzewko dawało więcej niż pół worka owoców.

Wyglądało na to, że podczas mojej nieobecności doszło tutaj do niezłego przekrętu, który ułatwiła choroba ojca, bezsilność matki i strachliwość moich sióstr. Mimo to nie traciłem nadziei, że dzięki wytrwałej pracy wszystko się jakoś ułoży. Każdy kolejny list Marii dodawał mi nowych sił i zapału.

Na początku października, gdy zaczął się czas zbioru oliwek i gdy chciałem napisać już Marii, by przyjeżdżała jak najszybciej, nagle przestałem dostawać od niej listy. Wyremontowałem dom. Sprowadziłem zamówione specjalnie w Stambule różne domowe sprzęty, w tym wannę, którą umieściłem w pomieszczeniu służącym nam dawniej w charakterze łazienki. Wcześniej kazałem je też wykafelkować. Wszystko to wprawilo w osłupienie mieszkańców Havranu, szczególnie moją rodzinę. Stałem się obiektem powszechnej pogardy, nie obeszło się również bez obelg.

Jako że nie zdradziłem nikomu powodów tych wszystkich zmian, moje zachowanie zrzucano na karb rzekomego snobizmu, zarozumialstwa

i bezkrytycznego naśladownictwa Zachodu. Uważano, że czystym szaleństwem jest, gdy człowiek taki jak ja, który jeszcze porządnie nie ogarnął swoich interesów, zaciąga długi czy wydaje tych kilka ciężko zarobionych groszy na szafę z lustrem albo wannę. W głębi serca śmiałem się z tych zarzutów. Nie byli w stanie mnie zrozumieć, a ja nie musiałem się nikomu z niczego tłumaczyć.

Upłynęło już jakieś piętnaście, dwadzieścia dni, a Maria wciąż nie pisała. Zaczęło mnie to niepokoić. Mój umysł, zawsze skłonny do podejrzeń i wątpliwości, zadreślał mnie, podsuwając tysiące możliwych scenariuszy. Gdy moje kolejne wysyłane jeden za drugim listy także pozostawały bez odpowiedzi, ogarnęła mnie rozpacz.

Rzeczywiście, ostatnio odzywała się coraz rzadziej, a i jej listy były krótsze i pisane jakby na siłę... Rozłożyłem je wszystkie przed sobą i przeczytałem po raz kolejny, jeden po drugim. Te z ostatnich miesięcy były bardziej chaotyczne, pełne niedomówień, tajemniczych aluzji i wymijających stwierdzeń, tak bardzo niepasujących do zawsze szczerej i bezpośredniej Marii. Sam już nie wiedziałem, czy chciała, żebym wezwał ją do siebie jak najszybciej, czy raczej obawiała się tego i było jej przykro, że zmuszona będzie cofnąć dane mi słowo. W każdej linijce, w każdej niedokończonej myśli i w każdym jej żarcie doszukiwałem się ukrytych podtekstów, odchodząc niemal przy tym od zmysłów.

Moje listy nie doczekały się żadnego odzewu i potwierdziła się słusność wszystkich moich obaw.

Niczego się już więcej o niej nie dowiedziałem, nie usłyszałem nawet jej imienia... Aż do wczoraj... Ale jeszcze do tego nie doszedłem... Po miesiącu wszystkie moje ostatnie listy wróciły z adnotacją: „Zwrot – przesyłka nieodebrana”. Wtedy też porzuciłem resztki nadziei. Nawet dzisiaj zdumiewa mnie, jak bardzo zmieniłem się wówczas w ciągu zaledwie kilku dni. Jakby ktoś wyrwał ze mnie to, co pozwalało mi się poruszać, widzieć, słyszeć, czuć i myśleć, jednym słowem: żyć. Wyciśnięto mnie z tego wszystkiego jak cytrynę.

Mojego stanu nie można było porównać nawet z tym, co czułem po tamtej noworocznej nocy. Wtedy nie byłem aż tak beznadziejnie zrozpaczony: miałem świadomość, że jestem blisko niej, że mogę do niej pójść i porozmawiać, przynajmniej spróbować ją przekonać. A teraz nie mogłem nic zrobić. Dzieląca nas odległość krępowała mi ręce. Zamknąłem się w domu i chodziłem po pokojach, wciąż od nowa czytając naszą korespondencję, w tym te listy, które mi odesłano. Zwracałem uwagę na rzeczy, które wcześniej mi umknęły, i uśmiechałem się gorzko.

Zainteresowanie pracą – i w ogóle życiem – niemal zupełnie we mnie zanikło. Zbiór oliwek i dostarczenie ich do tłoczni powierzyłem jakimś przypadkowym ludziom. Gdy już wychodziłem z domu, to wolałem iść w miejsce, gdzie nie spotkam nikogo. Wracałem do domu w środku nocy i od razu kładłem się do łóżka. Następnego ranka, po kilku godzinach snu, budziłem się wciąż z tą samą gorzką myślą: „Po co ja jeszcze żyję?”

Na nowo zaczęły się dla mnie puste i bezczyne dni, tak jak przed spotkaniem Marii, tyle że tym razem sprawiały mi one o wiele większy ból. Była między nimi jeszcze jedna różnica: miejsce błogiej nieświadomości, która kazała mi myśleć, że życie tak właśnie wygląda, zajęły katusze kogoś, kto już raz przekonał się, że na świecie można żyć inaczej. Nie byłem już świadomy niczego, co działo się dookoła mnie. Nie mogłem sobie wyobrazić, abym jeszcze kiedyś był w stanie czerpać z czegokolwiek przyjemność.

Na chwilę, tylko na krótką chwilę, kobieta ta wyzwoliła mnie z mojej zwykłej apatii. To ona uświadomiła mi, że jestem mężczyzną, czy w ogóle – człowiekiem, zdolnym do prawdziwego życia, i że świat wcale nie musi być tak absurdalnym miejscem, jak się uważa. Mimo to, gdy tylko zerwały się łączące nas więzy, gdy tylko wyzwoliłem się spod jej zbawiennego wpływu, natychmiast powróciłem do swego dawnego stanu. Dopiero teraz zrozumiałem, jak bardzo jej potrzebuję. Nie należałem do ludzi, którzy samodzielnie mogli kroczyć przez życie. Potrzebowałem podpory takiej jak ona. Nie umiałem bez niej żyć. Ale jednak jakoś żyłem... I oto rezultat...

Tak, jeśli można nazwać to życiem – żyłem...

Nie udało mi się uzyskać żadnej informacji na jej temat. Właścicielka pensjonatu zawiadomiła mnie, że Frau van Tiedemann już tam nie mieszka i że w związku z tym nie jest w stanie udzielić mi informacji, o które prosiłem. Bo kogo jeszcze mógłbym spytać? Maria napisała kiedyś, że po powrocie z Pragi przeniosła się z matką do innego mieszkania, nie podała mi jednak jego adresu. Ze zdziwieniem uświadomiłem sobie, jak niewielu ludzi poznałem w ciągu tych niemal dwóch lat pobytu w Niemczech. Nie zwiedziłem kraju, ale za to Berlin poznałem jednak jak własną kieszeń: nie było chyba muzeum, galerii, ogrodu botanicznego i zoo, lasu czy jeziora, których bym nie odwiedził. A jednak bezpośredni kontakt nawiązałem zaledwie z kilkoma spośród milionów berlińczyków, a tak naprawdę poznałem tylko jednego z nich.

Może więcej nie trzeba było. Jeden człowiek to chyba wystarczająco dla drugiego człowieka. A jeśli nie ma i tego jednego? Co można zrobić, gdy nagle okazuje się, że wszystko było jedynie złudzeniem, zwodniczym snem, całkowitą fantazją? Tym razem to ja utraciłem zdolność do wiary i nadziei. Gorycz i nieufność wobec ludzi, które się we mnie zrodziły, czasem przerażały nawet mnie samego. Każdy człowiek, z którym się zetknąłem, wydawał mi się wrogiem albo przynajmniej kimś, kto potencjalnie mógłby mi zaszkodzić. Uczucie to stopniowo wzmagało się, zamiast słabnąć wraz z upływem lat. Ta podejrzliwość z czasem przerodziła się we mnie w nienawiść. Odsuwałem się od każdego, kto w jakikolwiek sposób chciał się do mnie zbliżyć. Najbardziej obawiałem się zaś osób, które uważałem za najbliższe sobie, lub wydawało mi się, że je za takie uznam w przyszłości. „Nawet ona to zrobiła!” – powtarzałem sobie... Co zrobiła, tego nie wiedziałem. I właśnie dlatego wyobrażałem sobie najgorsze rzeczy, nie przebierając w osądach. No tak... Aby nie dotrzymać obietnicy, złożonej pod wpływem emocji przy pożegnaniu, najprościej było po prostu urwać kontakt bez słowa. Nie odbierać listów z poczty... Nie odzywać się... I w jednej chwili – już po wszystkim! Kto wie, co to za nowa przygoda, jaki

szczęśliwy los wyciągnęły do niej swe ramiona. Przecież taka rozsądna kobieta jak ona nie mogła z nich zrezygnować i trzymając się słowa danego naiwnemu chłopakowi – trochę po to, aby go pocieszyć – poświęcić się nieznanemu życiu, rzucić się w wir przygody, która nie wiadomo dokąd ją zaprowadzi.

Dlaczego żadna z tych myśli nie pomogła mi się pogodzić z rzeczywistością? Dlaczego tak bardzo obawiałem się wstąpić na jedną z nowych dróg, które otworzyły się potem przede mną, dlaczego do każdego zbliżającego się człowieka odnosiłem się z niepokojem, jakby przychodził zrobić mi coś złego?

Czasem zapominałem się na chwilę i zwracałem się w stronę kogoś, w kim dostrzegałem pewne podobieństwo do siebie. W takich chwilach natychmiast pojawiała się jednak ta na dobre już zakorzeniona w mojej głowie myśl: „Ostrożnie! Nie zapominaj, że ona była ci jeszcze bliższa! A mimo to zachowała się w ten sposób...”, przywołując mnie do porządku. Kiedy ktoś stawał mi się nieco bliższy, na nowo rozbudzając we mnie nadzieję, natychmiast odpędzałem ją od siebie, napominając się przy tym: „O nie, ona zbliżyła się do ciebie jeszcze bardziej... Tak blisko, jak to tylko możliwe... I sam widzisz, jak to się skończyło!”. Nikomu nie wierzyć, nie móc ufać nikomu... Każdego dnia, w każdym momencie swego życia czułem, jak bardzo jest to przerażające. Żadna z moich prób, które podjąłem, by się z tego stanu wyzwolić, nie przyniosła rezultatów... Ożeniłem się i tego samego dnia zrozumiałem, że żona jest mi obca jeszcze bardziej niż inni... Urodziły mi się dzieci... Kochałem je ze świadomością, że nigdy nie będą zdolne dać mi tego, co utraciłem w życiu...

Straciłem zainteresowanie dla swoich spraw. Pracowałem jak maszyna, nie wiedząc, co robię. Doskonale zdawałem sobie sprawę, że mnie oszukano, i nawet odczuwałem z tego powodu swoistą przyjemność. Krewni uważali mnie za głupca, ale nie dbałem o to. Moje długi z odsetkami i wydatki związane ze ślubem pochłonęły resztę tego, co jeszcze miałem. Z oliwek nie było żadnych pieniędzy. Bogacze

przyzwyczaili się do nabywania dóbr za bezcen na aukcjach. Drzewko, z którego owoce w ciągu roku mogły dać plony warte siedem, osiem lir, nie znajdowało nabywcy nawet za pół liry. Szwagrowie, by wyciągnąć mnie z trudnej sytuacji i nie dopuścić do rozproszenia rodzinnego majątku, spłacili wszystkie moje długi i przejęli należące do mnie oliwniki... Nie zostało mi nic poza czternastopokojowym podniszczonym domem i drobnymi sprzętami. Mój teść był urzędnikiem w Balikesir. Za jego wstawiennictwem przyjęto mnie do pracy w stolicy regionu. Służyłem tam, również jako urzędnik, przez kilka lat. Moje zainteresowanie życiem malało, w miarę jak powiększała mi się rodzina. Nie miałem już siły, by to zmienić. Teść zmarł i na moje plecy spadło utrzymanie rodzeństwa żony. Nie byłem w stanie tego zrobić za czterdzieści lir miesięcznie. Daleki krewniak żony załatwił mi pracę w Ankarze, w banku, w którym pracuję do tej pory. Liczył, że mimo swej nieporadności szybko awansuję dzięki znajomości niemieckiego. Oczywiście zawiodłem jego oczekiwania. Gdziekolwiek bym się znalazł, moja obecność czy nieobecność nie miała dla nikogo większego znaczenia. Pojawiło się wiele okazji i wielu ludzi, którzy znów na krótko rozbudzali we mnie nadzieję powrotu do normalnego życia i zrobienia użytku z całej tej miłości, o której wiedziałem, że w nadmiarze kryje się w głębi mego serca. Nie umiałem wszakże uwolnić się od podejrzeń. Uwierzyłem w życiu tylko jednemu człowiekowi. Zaufałem mu tak bardzo, że po jego zdradzie nie zostało już we mnie sił, by móc uczynić to raz jeszcze. Nie byłem zły na Marię. Nie byłem zdolny gniewać się na nią czy obrażać. Ale ten jeden raz rozczarowałem się. Uraza, jaką żywiłem do najbardziej zaufanej osoby w moim życiu, przeniosła się na wszystkich ludzi, ona była bowiem w moich oczach przedstawicielką całej ludzkości. Wiedziałem, że mimo upływu lat wciąż jestem do niej przywiązany, i dlatego narastała we mnie irytacja. Ona pewnie już dawno o mnie zapomniała. Kto wie, z kim była teraz, z kim wychodziła na spacer. Wieczorami, gdy siedziałem w domu, wsłuchując się w gwar wywoływany przez dzieci, w kłótnie dorosłych, pobrzękiwanie talerzy i kłapanie kapci

zmywającej naczynia żony, zamykałem oczy i wyobrażałem sobie, gdzie Maria może być w tej chwili. Być może znowu, razem z jakąś pokrewną duszą, chodziła do ogrodu botanicznego oglądać drzewa o czerwonych liściach albo w półmroku jakiejś wystawy, przy promieniach zachodzącego słońca wpadających przez okna, podziwiała nieśmiertelne dzieła mistrzów. Pewnego razu pod wieczór, wracając do domu, zaszedłem do sklepu po drobne zakupy. Gdy wychodziłem na ulicę, w pokoju wynajmowanym przez starego kawalera w domu naprzeciwko radio zaczęło grać uverturę z *Oberona* Webera. Niewiele brakowało, a wypuściłbym z rąk siatki z zakupami. Była to jedna z tych oper, które obejrzelśmy razem z Marią. Pamiętałem, że tego kompozytora darzyła szczególną sympatią i spacerując, zawsze gwizdała sobie tę uverturę. Poczulem, że na nowo ogarnia mnie świeża tęsknota, jakbym rozstał się z nią zaledwie wczoraj. Człowiek zapomina z czasem o goryczy po utracie nawet najcenniejszych dla niego rzeczy, majątku, wszystkiego, co stanowi o ziemskim szczęściu. Zaprzepaszczone okazje nigdy jednak nie dają o sobie zapomnieć i przy każdym wspomnieniu tak samo mocno ściskają za serce. To pewnie przez świadomość, że wszystko mogło potoczyć się inaczej, bo pogodzić się z nieuniknionym jakoś zawsze jesteśmy gotowi.

Nie czułem, by moja żona i dzieci były do mnie jakoś szczególnie przywiązane, nie mówiąc już o pozostałych członkach rodziny. Wiedziałem też, że nie mam prawa tego oczekiwać. Przekonanie o mojej zupełnej zbędności, które po raz pierwszy pojawiło się w tamten dziwny noworoczny dzień, na dobre zadomowiło się w mojej głowie. Do czego byłem potrzebny tym ludziom? Naprawdę tolerowali mnie tylko ze względu na te kilkanaście groszy na chleb? Człowiek potrzebuje od drugiego człowieka nie pomocy materialnej i pieniędzy, ale jego troski i miłości. Gdy tego zabraknie, obowiązki głowy rodziny sprowadzają się wówczas do utrzymywania obcych ludzi. Tęskniłem do chwili, w której to się skończy, gdy nie będą mnie już więcej potrzebować. Powoli całe moje życie przekształciło się w oczekiwanie na ten bardzo jeszcze odległy dzień.

Byłem jak więzień, który z utęsknieniem wygląda końca swojej kary. Każdy kolejny dzień cenny był o tyle, że przybliżał mnie do tego wielkiego finału. Nie uskarżając się na nic i nie będąc niczego świadom, wegetowałem dalej jak roślina. Moje uczucia stopniowo obumarły. Nic nie sprawiało mi już przykrości, nic mnie nie cieszyło.

Jak mogłem gniewać się na ludzi, skoro najcenniejszy, najlepszy i najbardziej ukochany spośród nich wyrządził mi taką krzywdę? Czego więcej mogłem spodziewać się po innych? Nie byłem też zdolny do tego, by ich kochać i ponownie się do nich zbliżyć. Raz omyliłem się co do człowieka, któremu ufałem najbardziej, któremu wierzyłem. Skąd mogłem mieć pewność, że to się nie powtórzy?

Tak miały mi już upływać pozostałe lata, aż wreszcie przyjdzie dzień, na który czekam, i wszystko dobiegnie końca. Niczego innego nie chciałem. Życie zakpiło sobie ze mnie. Niech będzie. Nie obwiniając nikogo o nic, godziłem się na wszystko, co mnie spotykało, i znosiłem to pokornie. Ale nie było potrzeby tego przedłużać. Nudziłem się, po prostu się nudziłem. Na nic więcej się nie uskarżałem.

Jednego dnia... To znaczy wczoraj, w sobotę koło południa, wróciłem do domu i przebrałem się. Żona powiedziała, że w domu brakuje kilku rzeczy: „Jutro sklepy pozamykane, skocz no jeszcze szybko na bazar”. Niechętnie przebrałem się na nowo i poszedłem do hali targowej. Było dość gorąco. Ulice pełne były wałęsających się bez celu ludzi, którzy chcieli choć trochę się ochłodzić pod koniec upalnego dnia. Kupiłem, co trzeba, i z pakunkiem pod pachą szedłem w stronę Pomnika Zwycięstwa. Nie chciało mi się wracać do domu tak jak zwykle, po krętych i wyboistych ulicach. Wolałem dziś wybrać porządny, asfaltowy chodnik, nawet jeśli przyszłoby mi przy tym nadłożyć drogi. Wielki zegar kołyszący się przed jednym ze sklepów wskazywał szóstą. Nagle poczułem, że ktoś łapie mnie za rękę. Kobięcy głos wrzasnął mi niemal prosto do ucha:

– Herr Raif!

Niemiecki zwrot bardzo nieprzyjemnie mnie zaskoczył. Nie wiem czemu,

ale miałem ochotę wzdrygnąć się i uciec.

– Nie, nie myślę się, Herr Raif, to naprawdę pan! Ależ to człowiek potrafi się zmienić! – krzyczał ten ktoś, ściągając na nas uwagę przechodniów.

Powoli uniosłem głowę. Jeszcze nim zobaczyłem twarz, poznałem ją po masywnej budowie ciała. Głos również jej się nic nie zmienił.

– Ach, Frau van Tiedemann, kto mógłby się pani spodziewać w Ankarze?!

– Nie, już nie Frau van Tiedemann... Teraz Frau Döppke! Poświęciłam dla męża swoje „van”, ale nie żałuję!

– Moje gratulacje... Czyli jednak...

– Tak, dokładnie jak pan myśli... Niedługo po pańskim wyjeździe i my opuściliśmy pensjonat... Oczywiście razem... Pojechaliśmy do Pragi...

Gdy tylko wspomniała o Pradze, coś jakby zabolalo mnie w sercu. Tym razem nie mogłem już oddalać od siebie tego, o czym jeszcze niedawno nie chciałem nawet myśleć.

Ale jak ją zapytać? Nic nie wiedziała przecież o mnie i o Marii, jak odebrałaby moje pytanie? Czy nie będzie się dopytywać, jak ją poznałem? Poza tym co mogłaby mi powiedzieć... Czy nie lepiej byłoby już w ogóle niczego się nie dowiedzieć? Co by mi z tego przyszło po upływie tylu lat, całych dziesięciu, a może i więcej?

Uświadomiłem sobie, że wciąż stoimy na środku ulicy.

– Chodźmy, usiądziemy gdzieś. Mamy sobie tyle do powiedzenia... Nie mogę się nadziwić, że widzę panią tutaj!

– O tak, dobrze byłoby gdzieś przysiąść na chwilę, ale została nam już niecała godzina do pociągu... Nie możemy się spóźnić... Gdybym wiedziała, że jest pan w Ankarze, na pewno bym zadzwoniła. Przyjechałyśmy wczoraj w nocy, dzisiaj musimy jechać dalej...

Dopiero teraz zauważyłem, że towarzyszy jej spokojna dziewczynka w wieku około ośmiu, dziewięciu lat. Uśmiechnąłem się.

– Pani córka?

– Nie, krewniaczka. Syn powoli kończy prawo!

– Cały czas podsuwa mu pani książki do czytania?

Początkowo nie zrozumiała, ale po chwili odpowiedziała, śmiejąc się:

– Ach tak, pamiętam... Nie, on już nie słucha moich rad. Wtedy był jeszcze dzieckiem, miał jakieś dwanaście lat... O mój Boże, jak ten czas szybko leci!

– Tak... Ale pani nic się nie zmieniła!

– Pan również!

Przed chwilą była nieco bardziej szczerą w tej kwestii, nie zwróciłem jej jednak na to uwagi.

Schodziliśmy w dół ulicy. Nie miałem pojęcia, jak nakierować naszą rozmowę na Marię, i wciąż kluczyłem wokół nieinteresujących mnie tematów.

– Nie powiedziała pani jeszcze, co sprowadziło ją do Ankary!

– Rzeczywiście, już panu mówię... Właściwie to nie przyjechałyśmy do Ankary, jesteśmy tu tylko przejazdem...

Zgodziła się odpocząć przez pięć minut przy lemoniadzie. Gdy usiedliśmy, podjęła na nowo:

– Mąż jest teraz w Bagdadzie... Jest kupcem kolonialnym, pamięta pan!

– Ale Bagdad nie jest chyba niemiecką kolonią?

– Oczywiście, że nie... Ale mąż specjalizuje się w owocach tropikalnych. Handluje daktylami w Bagdadzie.

– W Kamerunie też zajmował się daktylami?

Kobieta spojrzała na mnie, wyraźnie dając mi do zrozumienia, że dopuściłem się nietaktu.

– Skąd mam wiedzieć, niech pan do niego napisze i spyta! Kobiety nie wtrącają się do interesów!

– A teraz dokąd jedziecie?

– Do Berlina... W odwiedziny do kraju i... – pokazała na siedzącą obok niej bladą dziewczynkę – z powodu tego dziecka... Jest trochę słabowita, na zimę wzięliśmy ją więc do siebie. Teraz odwożę ją z powrotem do domu.

– To chyba często bywa pani w Berlinie?

- Dwa razy do roku.
- Herr Döppke musi mieć rękę do handlu!

Uśmiechnęła się przymilnie.

Ciągle nie byłem w stanie zapytać. W końcu pojąłem, że wahanie to nie wynika z tego, że nie wiem, jak zacząć, a bardziej ze strachu przed tym, czego mógłbym się od niej dowiedzieć. Ale czy i tak nie było mi wszystko jedno? Nie było we mnie żadnego żywszego uczucia. Czego się bałem? Może i Maria znalazła sobie jakiegoś swojego Herr Döppke? A może wciąż była panną i przebierając w mężczyznach, nadal szukała „człowieka godnego zaufania”? Pewnie nie pamiętała już nawet rysów mojej twarzy.

Gdy o tym pomyślałem, przyłapałem się na tym, że i ja nie mogę sobie przypomnieć jej twarzy. Teraz, po dziesięciu latach, uderzyło mnie, że przed rozstaniem nie wymieniliśmy się swoimi fotografiami... Zdumiało mnie to. Jak to się stało, że o tym nie pomyśleliśmy? No dobrze, byliśmy pewni, że zobaczymy się znów bardzo szybko, i ufaliśmy w siłę naszej pamięci. Ale jak wyjaśnić, że uświadomiłem to sobie dopiero teraz? Naprawdę nigdy nie czułem potrzeby, żeby wyobrazić sobie jej twarz?

Pamiętam, że przez pierwsze miesiące zachowywałem ją w pamięci ze wszystkimi szczegółami i że w każdej chwili, bez najmniejszego problemu, mogłem przywołać ją w swojej wyobraźni... A potem... Gdy zrozumiałem, że wszystko skończone, skrupulatnie tego unikałem. Wiedziałem, że będzie to ponad moje siły. Jej twarz, twarz Madonny w futrze, miała na mnie tak wielki wpływ, że zdolna była – istniejąc nawet tylko w mojej głowie – zakłócić moją duchową równowagę.

Przekonany, że tym razem będę w stanie zachować spokój, chciałem znów powrócić do tamtych dni i starałem się przypomnieć sobie jej twarz. Nie byłem już w stanie... A nie miałem nawet jednego zdjęcia...

Ale po co?

Frau Döppke spojrzała na zegarek i podniosła się z miejsca. Ruszyliśmy w kierunku dworca.

Ankara i Turcja zrobiły na niej jak najlepsze wrażenie.

– Nie widziałam jeszcze kraju, w którym tak bardzo szanuje się obcokrajowców! – powiedziała. – Nawet Szwajcaria, która swój dobrobyt zawdzięcza zagranicznym turystom, nie jest aż taka gościnna. Ludzie patrzą tam na ciebie jak na intruza, jakbyś chciał wtargnąć do ich domu. A w Turcji każdy zdaje się tylko czekać okazji, by jakoś pomóc gościowi z zagranicy! Poza tym sama Ankara też bardzo przypadła mi do gustu.

Kobiecie usta nie zamykały się ani na chwilę. Dziewczynka szła kilka kroków przed nami, łapiąc się za rosnące wzdłuż chodnika drzewa. Gdy byliśmy już blisko dworca, zdecydowałem się w końcu poruszyć interesujący mnie temat, starając się zachować przy tym taką obojętność, na jaką tylko będzie mnie stać.

– Dużą ma pani rodzinę w Berlinie?

– Ależ nie, wręcz przeciwnie... Tak naprawdę pochodzę z Pragi, z Niemców sudeckich... A mój pierwszy mąż był Holendrem... Dlaczego pan pyta?

– Spotkałem tam kiedyś kobietę, która przedstawiła się jako pani krewna...

– Gdzie?

– W Berlinie... Poznałem ją na wystawie malarstwa... Artystka...

Nagle nadstawiła uszu.

– Rozumiem... I co dalej?

– Dalej... Sam nie wiem... Rozmawialiśmy chyba tylko ten jeden raz... Wystawiała tam swój obraz, zresztą bardzo dobry... Trochę o tym...

– Pamięta pan jej imię?

– Bodajże Puder, czy jakoś tak... Tak, właśnie tak, Maria Puder! Pod obrazem był jej podpis... Widziałem też jej nazwisko w katalogu...

Kobieta nic na to nie odpowiedziała. Ponownie zebrałem siły.

– Zna ją pani?

– Tak. Ale jak się pan dowiedział, że jest ze mną spokrewniona?

– Nie pamiętam dokładnie... Chyba wspomniałem coś o tym, gdzie mieszkam, a ona powiedziała, że ma tam kogoś z rodziny... Czy jakoś tak...

Zapomniałem już, sama pani rozumie... Dziesięć lat!

– Tak... Kawał czasu... Jej matka powiedziała mi, że Maria w tym czasie zaprzyjaźniła się z jakimś studentem z Turcji i że nie mogła przestać o nim mówić. Zastanawiałam się, czy to pan... Tak go uwielbiała, ale nigdy nie przedstawiła go swojej matce... Czy to nie dziwne? Była wtedy w Pradze, tam dowiedziała się od córki, że chłopak musiał wyjechać z Berlina!

Doszliśmy na dworzec. Frau Döppke skierowała swe kroki prosto do pociągu. Obawiałem się, że jeśli zmienimy temat, to już do niego nie wrócimy, i że nie dowiem się w końcu tego, o co mi konkretnie chodziło. Dlatego nie spuszczałem z niej oka, z dużym zainteresowaniem czekając na to, co powie dalej.

Gdy boy hotelowy odszedł, umieściwszy wcześniej bagaże w przedziale, kobieta znów odwróciła się do mnie.

– Czemu pan pyta? Przecież powiedział pan, że nie znał dobrze Marii!

– To prawda... Ale wywarła na mnie spore wrażenie... Bardzo spodobał mi się jej obraz...

– Była dobrą malarką.

Nagle ogarnął mnie niepokój, którego istoty nie mogłem sobie uświadomić.

– Jak to była, to już nie maluje?

Kobieta rozejrzała się, szukając wzrokiem dziecka. Zobaczywszy, że dziewczynka siedzi już grzecznie w pociągu, nachyliła mi się do ucha.

– Oczywiście, że nie – powiedziała. – Przecież nie żyje!

– Jak to?!

Pytanie to wyrwało mi się z ust niczym gwizd. Oczekujący na peronie podróżni obejrżeli się na nas, nawet dziewczynka wychyliła się przez okno przedziału i przypatrywała mi się ze zdziwieniem.

Frau Döppke również wodziła po mnie badawczo oczami.

– Czemu się pan tak zdziwił? Zbladł pan... Przecież pan jej prawie nie znał!

– Bądź co bądź to zupełnie nieoczekiwana śmierć...

– Tak... Ale to stara sprawa... Będzie już z dziesięć lat...

– Dziesięć lat?! Niemożliwe...

Znów przebiegła po mnie spojrzeniem i odciągnęła na bok.

– Widzę, że śmierć Marii Puder bardzo pana interesuje. W takim razie pokrótce opowiem... Jakies dwa tygodnie po tym, jak pan się wyprowadził i wrócił do kraju, ja i Herr Döppke także opuściliśmy pensjonat. Pojechaliśmy do krewnych, którzy mają gospodarstwo pod Pragę. Zastaliśmy tam Marię Puder z matką. Moje stosunki z jej matką nie były najlepsze, ale wtedy o tym nie myślałyśmy. Maria była bardzo osłabiona, podobno przeszła jakąś ciężką chorobę. Gdy trochę się pozbierała, wróciły razem do Berlina. My też wkrótce wyjechaliśmy stamtąd do Prus Wschodnich, w rodzinne strony męża... Gdy zimą zajechaliśmy do Berlina, dowiedzieliśmy się, że Maria zmarła na początku października. Rzecz jasna odłożyłam na bok wszelkie animozje i natychmiast zadzwoniłam do jej matki. Była zrozpaczona, zdawać by się mogło, że jest sześćdziesięcioletnią staruszką. A miała zaledwie czterdzieści pięć, góra czterdzieści sześć lat. Według tego, co nam opowiedziała, po wyjeździe z Pragi Maria zaczęła czuć się nieswojo. Po wizycie u lekarza okazało się, że jest w ciąży. Bardzo się ucieszyła, lecz mimo nalegań matki nie chciała powiedzieć, kto jest ojcem. Wciąż powtarzała: „Dowiesz się później!”, napomykając coś o czekającej ją wkrótce podróży. Pod koniec ciąży jest stan nagle się pogorszył. Lekarze uznali, że poród mógłby być zbyt niebezpieczny, i chcieli interweniować mimo jej zaawansowanego stanu. Maria absolutnie nie zgodziła się poświęcić dziecka. Wkrótce potem znowu poczuła się gorzej i trafiła do szpitala. Spadek albumin czy coś w tym rodzaju... Miała osłabiony organizm jeszcze po poprzedniej chorobie... Przed rozwiązaniem kilka razy straciła przytomność. Lekarze z trudem zdołali odebrać poród i uratować dziecko. Maria ciągle miewała ataki i po tygodniu, nie wybudziwszy się ze śpiączki, zmarła. Nie zdążyła niczego wyjaśnić. Nie sądziła, że tak to się skończy. Nawet w ostatnich momentach świadomości majaczyła do matki: „Będiesz w szoku, gdy się o wszystkim

dowiesz... Ale potem i ty będziesz szczęśliwa!”), nie zdradziła jednak przy tym nazwiska ojca. Jej matka zapamiętała, że jeszcze przed przyjazdem do Pragi Maria często opowiadała o jakimś Turku. Ale ani go nigdy nie widziała, ani nie wiedziała, kto to jest... Pierwsze cztery lata dziecko spędziło w szpitalach i ochronkach, później babka zabrała je do siebie. Jest trochę słabowita i zbyt spokojna, ale to naprawdę ujmujące dziecko... Nie sądzi pan?

Czułem, że opuściły mnie wszystkie siły, jakbym miał za chwilę zwalić się na ziemię. Kręciło mi się w głowie, mimo to stałem wyprostowany i uśmiechałem się.

– Ta dziewczynka? – spytałem, pokazując głową na okno pociągu.

– Tak... Czyż nie urocza? Taka cichutka i łagodna! Nawet pan sobie nie wyobraża, jak bardzo stęskniła się za babcią!

Mówiąc to, nie spuszczała ze mnie spojrzenia. Było w nim coś nieprzyjemnego.

Pociąg miał właśnie ruszać. Weszła do środka.

Po chwili pokazała się obok dziewczynki w oknie przedziału. Dziecko z beztroskim uśmiechem obserwowało peron, co jakiś czas spoglądało także na mnie. Frau Döppke nieustannie mi się przyglądała.

Pociąg ruszył. Pomachałem im na pożegnanie. Zauważyłem, że kobieta złośliwie się uśmiecha.

Mała odsunęła się od okna i zniknęła w głębi przedziału...

Wszystko to zdarzyło się wczoraj. Gdy piszę te słowa, minęło niewiele więcej niż dwadzieścia cztery godziny.

W nocy nie zmrużyłem oka nawet na chwilę. Leżąc w łóżku, ciągle myślałem o dziecku w pociągu. Zdawało mi się, że widzę główkę dziewczynki poruszającą się wraz z kołysaniem wagonu. Dziecięca główka z burzą włosów... Nie wiedziałem, jakiego koloru są jej włosy i oczy, nie znałem nawet jej imienia. W ogóle nie zwróciłem na nią uwagi. Mimo że była tak blisko, zaledwie krok ode mnie, ani razu uważniej nie przyjrzałem

się jej twarzy. Nie uścisnąłem jej nawet ręki na pożegnanie. Nic, wielki Boże, nie wiedziałem zupełnie nic o własnej córce! Frau Döppke pewnie wszystkiego się domyśliła... Czemu tak mi się przyglądała? Na pewno odgadła... Zabrała ją i pojechała... Teraz są w drodze... Koła pociągu, przeskakując po szynach, unoszą uśpioną główkę mojej córki, delikatnie nią potrząsając...

Ciągle myślałem tylko o nich. Nie mogłem się już jednak dłużej opierać i obraz, który tak bardzo starałem się trzymać od siebie z daleka, stanął z wolna przed moimi oczami: Maria Puder, moja Madonna w futrze, z wyrazem smutku kryjącym się w kąciку ust i głębokim spojrzeniem czarnych oczu, stała teraz przede mną. W jej twarzy nie było śladu złości ani skargi. Patrzyła na mnie z oddaniem i współczuciem, może tylko lekko zdziwiona. Mimo to nie znalazłem w sobie odwagi, by wytrzymać to spojrzenie. Dziesięć lat, całe dziesięć lat chowałem w sercu urazę do zmarłej, obwiniałem nieboszczkę... Czy można było bardziej obrazić jej pamięć? Przez dziesięć lat podejrzewałem o wszystko, co najgorsze, kobietę, która była fundamentem, celem i całym sensem mojego życia, ani razu nie myśląc o tym, że mogę ją skrzywdzić takim myśleniem. Gdy wyobrażałem sobie najbardziej nieprawdopodobne rzeczy na jej temat, nawet nie przemknęło mi przez myśl, że być może jest jakaś przyczyna, dla której tak się zachowała i porzuciła mnie. A ona istniała, w dodatku największa i najbardziej nieunikniona ze wszystkich: śmierć. Niemal oszalałem ze wstydu. Targały mną wyrzuty sumienia. Choćbym do końca życia na kolanach usiłował odpokutować zbrodnię, jakiej dopuściłem się na jej pamięci, nie byłbym w stanie tego zrobić. Przypisanie jednej z najcięższych win – zdrady kochającego serca – jednej z najniewinniejszych kobiet pod słońcem nie mogło nigdy zostać mi przebaczone.

Jeszcze kilka godzin temu sądziłem, że bez fotografii nie zdołam już przypomnieć sobie jej twarzy.

W tej chwili widziałem ją jednak wyraźniej niż za życia. Dokładnie jak

na obrazie była zarazem smutna i zadowolona. Jej twarz była jeszcze bledsza, a oczy jeszcze bardziej czarne. Usta już się rozchyliły, już miały powiedzieć do mnie: „Ach, Raif!”. Żyła bardziej niż kiedykolwiek wcześniej... Umarła dziesięć lat temu! Wtedy, gdy na nią czekałem i przygotowywałem dom na jej przyjęcie. Odeszła, niczego nie wyjaśniając, zabrała swoją tajemnicę do grobu, aby oszczędzić mi jeszcze większych cierpień.

Zrozumiałem teraz, dlaczego przez te ostatnie dziesięć lat czułem do niej taką złość i dlaczego odgrodziłem się od ludzi murem nie do sforsowania: przez cały ten czas po prostu wciąż tak samo ją kochałem i nigdy nie pozwoliłem, by ktoś inny zajął jej miejsce w moim sercu. A teraz kochałem ją jeszcze bardziej. Wyciągnąłem ręce ku zjawie, która pojawiła się przede mną, chciałem ponownie ująć jej dłonie i ogrzać je w swoich. Te kilka spędzonych wspólnie miesięcy przewinęło mi się przed oczyma w najdrobniejszych szczegółach. Przypomniałem sobie wszystko, każde słowo, które padło między nami. Po kolei przeżywałem to raz jeszcze: zauroczenie portretem; to, jak oglądałem jej występ w „Atlantiku” i jak do mnie podeszła; nasze spacerowanie do ogrodu botanicznego; to, jak siedzieliśmy obok siebie pod oknem w jej pokoju, jej chorobę. Wspomnienia, których wystarczyłoby, żeby zapełnić całe życie, skondensowane w króciutkim odcinku czasu, były bardziej poruszające i żywe niż ich pierwowzory. Uświadamiały mi one, że w ciągu tych dziesięciu lat nie przeżyłem ani jednej chwili. Wszystko, o czym myślałem, co robiłem i co czułem, nie miało najmniejszego związku ze mną, zdawało się należeć do kogoś zupełnie obcego. Prawdziwy, zbliżający się już do trzydziestego piątego roku życia Raif tak naprawdę żył tylko przez tamte kilka miesięcy, by potem zagubić się w otchłaniach pustej, obcej mu osobowości.

Wczoraj wieczorem, gdy leżąc w łóżku, znów znalazłem się z Marią twarzą w twarz, zrozumiałem, że odtąd jeszcze trudniej będzie dźwigać mi to całkowicie obojętne dla mnie ciało. Będę karmił je jak kogoś obcego, będę przenosił je z miejsca na miejsce i obserwował z nieustającą pogardą

i litością. Po odejściu tej kobiety wszystko straciło już dla mnie sens – umarłem razem z nią, a może i jeszcze wcześniej...

Wszyscy pojechali dziś rano na wycieczkę za miasto. Wymówiłem się od tego, zasłaniając się stanem zdrowia. Jestem teraz w domu sam i od rana to wszystko piszę. Zaczęło się już ściemniać. Jeszcze nie wrócili. Za chwilę pewnie się pojawią, roześmiani i krzyczący. Co mnie z nimi w ogóle łączy? Cóż znaczą wszystkie więzi między nami, skoro duchowo jesteśmy tak bardzo od siebie odlegli? Od lat nie powiedziałem nikomu nawet słowa od serca. A tak bardzo potrzebowałem rozmowy. Muszę dalej wszystko dusić w sobie. Czy to nie to samo, co pogrzebać się żywcem w grobie? Ach, Mario, czemu nie możemy usiąść znowu razem pod oknem i porozmawiać? Dlaczego, idąc obok siebie w wietrzny, jesienny wieczór, nie możemy wsłuchiwać się w milczeniu w to, jak rozmawiają ze sobą nasze dusze? Dlaczego nie ma cię przy mnie?

Może i niepotrzebnie przez te dziesięć lat stroniłem od ludzi, może byłem niesprawiedliwy, nie ufając im. Gdybym szukał, pewnie znalazłbym w końcu jakąś kobietę podobną do ciebie. Jeśli o wszystkim dowiedziałbym się od razu, być może z czasem pogodziłbym się ze wszystkim i próbował odnaleźć cząstkę ciebie w innych. A teraz jest już za późno. Nie chcę już niczego zmieniać, po tym jak zrobiłem ci tak ogromną, niewybaczalną krzywdę. Ocenilem cię błędnie i na tej podstawie automatycznie obwinilem od razu wszystkich ludzi – i całkowicie zszedłem im z oczu. Dzisiaj poznałem prawdę, lecz mimo to zmuszony jestem skazać się na dożywotnią samotność. Życie to rzeczywiście gra, w którą można zagrać tylko jeden raz. Akurat ja ją przegrałem. A drugiego rozdania już nie będzie... Dla mnie zaczyna się teraz życie jeszcze gorsze niż to wcześniejsze. Znowu jak robot będę robił zakupy co wieczór. Będę spotykał się z ludźmi, którzy są mi obojętni, i wysłuchiwał tego, co mówią. Czy moje życie mogło wyglądać inaczej? Nie sądzę. Gdyby nie przypadek, który postawił cię na mojej drodze, pewnie tak samo – z tą jedną różnicą, że nieświadomie – dożyłbym jakoś swoich lat. Nauczyłaś mnie, że na świecie możliwe jest także inne

życie, że w moim wnętrzu również znajduje się dusza. Jeśli nie mogłaś doprowadzić tej lekcji do końca, to nie twoja wina... Dziękuję ci za te kilka miesięcy, w których dałaś mi możliwość pożyć naprawdę. Czyż kilka takich miesięcy nie jest równie cenne jak kilka żywotów? Jakaś część twego ciała, osierocone przez ciebie dziecko, nasza córka, będzie żyła sobie gdzieś tam daleko, nieświadoma, że jej ojciec również chodzi po tym świecie... Nasze drogi skrzyżowały się tylko ten jeden raz. I niczego się nie dowiedziałem. Ani jak ma na imię, ani gdzie dokładnie mieszka. Mimo to będę obserwował ją w marzeniach. Wymyślę dla niej wspaniałe życie i zawsze będę kroczył tuż przy niej. Wyobrażając sobie, jak dorasta, jak idzie do szkoły, jak śmieje się i smuci, postaram się wypełnić samotność tych lat, które się dla mnie teraz zaczną. Słysząc jakieś hałasy. Chyba wrócili do domu. Chcę pisać dalej. Ale po co? Tyle napisałem i co to dało? Muszę jutro kupić córce nowy zeszyt, a ten dobrze gdzieś ukryć. Ukryć wszystko, zwłaszcza to, co się dzieje w moim sercu, ukryć wszystko tak, żeby nikt tego nie zdołał odnaleźć...

Na tym kończył się zeszyt Raifa Efendiego. Na pozostałych stronach nie było żadnych notatek ani dopisków. Jakby przelał na papier już wszystko, co z takim niepokojem skrywał w sobie. Tylko ten jeden raz pozwolił sobie na zwierzenia, by potem znów zamilknąć na wiele lat.

Robiło się coraz jaśniej. By dotrzymać danego słowa, schowałem zeszyt do kieszeni i poszedłem do domu chorego. Gdy drzwi się otwały, zamieszanie i dochodzący ze środka płacz powiedziały mi wszystko. Przez chwilę stałem niezdecydowany, jak się zachować. Nie chciałem odchodzić, nie pożegnawszy się z nim po raz ostatni. Jednocześnie bałem się, że widok tego, co zostało po człowieku, wraz z którym kilka godzin wcześniej przeżywałem najbardziej treściwe chwile jego życia, okaże się ponad moje siły. Powoli wyszedłem na ulicę. Śmierć Raifa Efendiego nie zrobiła na mnie aż takiego wrażenia. Nie czułem, że bym go stracił, przeciwnie, nie opuszczała mnie myśl, że teraz w końcu odnalazłem go naprawdę.

Wczoraj wieczorem żałował, że nie zdążyliśmy nigdy szczerze porozmawiać. Nie mogłem się już z tym zgodzić. W nocy odbyłem z nim bowiem długą, bardzo długą rozmowę.

Wraz z odejściem z tego świata wszedł w moje życie jako pełnokrwisty człowiek. Niepodobna było przypuszczać, by ktoś taki jak on mógł się jeszcze kiedyś w nim pojawić. Odtąd zawsze już miałem czuć jego obecność przy sobie.

W pracy usiadłem za pustym biurkiem Raifa Efendiego. Położyłem przed sobą jego brulion w czarnej okładce i zacząłem czytać go od początku.

listopad 1940 – luty 1941

^[2] W Turcji do dziś istnieje zwyczaj nadawania noworodkom imienia zaraz po przecięciu pępowiny. Imię to jest potem najczęściej nieużywane, widnieje jednak zapisane w oficjalnych dokumentach.

^[3] Nazwiska wprowadzono w Turcji dopiero po roku 1934. Do tego czasu używano określeń wskazujących na pochodzenie (Hatipzade – syn Hatipa).

^[4] Alfabet łaciński został wprowadzony w Turcji dopiero w roku 1928 (w ramach reformy językowej Atatürka).

Madonna w futrze

Spis treści

Karta tytułowa

Przedmowa do wydania tureckiego

Madonna w futrze

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *Kürk Mantolu Madonna*

Copyright © 1943 Sabahattin Ali

The SAID WORK is protected by the International Copyright Convention

This book is published with the arrangements of ONK AGENCY LTD.

All rights reserved

© Yapı Kredi Kültür Sanat Yayıncılık Ticaret ve Sanayi A.Ş., 2013

Sertifika No: 12334

Bu kitabın telif hakları Onk Ajans LTD. Şti.aracılığıyla alınmıştır.

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2015

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony.

Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Katarzyna Rażniewska

Projekt i opracowanie graficzne serii okładki: Katarzyna Borkowska

Fotografia na okładce

© Daniel Murtagh / Trevillion Images

Wydanie I e-book

(opracowane na podstawie wydania książkowego:

Madonna w futrze, wyd. I, Poznań 2015)

ISBN 978-83-7818-935-0

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl



Plik mobi przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl